

# BEZ DEKRETU

---

---

## W numerze:

- Chodzi o wolny uniwersytet
  - Nowa „SOLIDARNOŚĆ” - nowe dylematy
  - Obyczaje żołnierzy służby zasadniczej
  - Ukraińcy i Białorusini w PRL
  - Czy Kościół przetrwa ?
- 
- 

**KRAKÓW**

**NR 22**

ZBIORY OŚRODKA KARTA

---

---

# BEZ DEKRETU

---

---

PISMO CZŁONKÓW i SYMPATYKÓW  
*solidarności*

NR 22

---

KRAKÓW 1989

---

---

---

## SPIS TREŚCI

---

### NASZA ROZMOWA

1. Chodzi o wolny uniwersytet - rozmowa z Pawłem Grasiem, Bogusławem Chrobotą i Pawłem Chojnackim ..... 3

### TEMATY

2. Andrzej Celiński - Nowe dylematy "Solidarności" ..... 9
3. Jerzy Surdykowski - Polska nad Hudsonem ..... 14
4. Maciej Klepacz - Kilka uwag o zastępczej służbie wojskowej ..... 20
5. Karol Życzkowski - Obiad zjedzony, dzień zaliczony ..... 22
6. Andrzej L. Kalinowski - Wiersze ..... 27 i 48

### MNIEJSZOŚCI NARODOWE W PRL

7. Piotr Lewicki - Ukraińcy: warunki wyjścia z getta ..... 28
8. Oleg Łatyszczonok - Białorusini w dobie "Solidarności" ..... 34

### PYTANIA O KOŚCIÓŁ

9. Adam Szostkiewicz - Kościół bez świeckich ..... 39
10. Jan Prokop - Pytania na 70-lecie KUL-u ..... 42
11. Jan Poniewski - Byłem świeckim katechetą ..... 44
12. Wacław Jasion - Zapiski na marginesie ..... 46

### KLASYCY

13. Raymond Aron - Maj 1968 w Paryżu ..... 49
14. Jerzy Pilch - Małemu narodowi przychodzi na myśl ..... 56

### OMÓWIENIA

15. Dominik Lan - Homo sovieticus a homo sapiens ..... 58
16. J.S. - My, jawniacy... ..... 61
17. Piotr Mucharski - "Kultura" w oczach przyjaciół ..... 65

### DOKUMENTY

18. List Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Czechów i Słowaków w Polsce do kardynała Franciszka Macharskiego ..... 70
19. Konrad Struga - Tumany i fetysze: Jak łatwo zostać ubekiem ..... 71
20. Od redakcji - Podziękowanie ..... 72

© Copyright by "Bez Dekretu"

Przedstawiciel "Bez Dekretu": Bogusław Sonik, Paryż, Francja

---

## Chodzi o wolny uniwersytet

z PAWŁEM GRASIEM, przewodniczącym Komisji Uczelnianej NZS UJ, BOGUSŁAWEM CHRĄBOTĄ, członkiem Klubu Chrześcijańsko-Liberalnego oraz PAWŁEM CHOJNACKIM, uczestnikiem Akcji Studenckiej WiP, członkiem Komisji Uczelnianej NZS UJ rozmawia

KRZYSZTOF BURNETKO

**BEZ DEKRETU:** *Studenci znowu stali się bohaterami pierwszych stron gazet. Sytuacja w środowisku zmienia się z tygodnia na tydzień. Pojawiają się nowe możliwości działania. Jakie formy aktywności będą według was preferowane? Co się przeżyło, a co trzeba kontynuować? Jakich form brakuje?*

**PAWEŁ GRAS:** Zaczniemy od NZS-u. Myślę, że w sytuacji, jaka zaistniała na uniwersytecie, jedynym ratunkiem dla NZS-u jest wyjście z programem, nazwijmy to, pozytywnym. To jest nasze być albo nie być. Dlaczego tak dramatycznie? Bo skończył się okres, w którym wystarczyło rzucać tanie hasła w rodzaju "Precz z komuną". Jeżeli NZS nie wystąpi z programem opartym nie na hasłach i deklaracjach czy ideologiach w mniejszym lub większym stopniu abstrakcyjnych, jeżeli nie wystąpi z konkretnymi propozycjami dla środowiska to straci całkowicie i to na długo wpływ i znaczenie.

**PAWEŁ CHOJNACKI:** Przed NZS-em stoi jeszcze jedna decyzja - usytuowanie się w konflikcie władze uczelni - studenci. Bowiem nie ma się co oszukiwać, że taki konflikt nie istnieje. Można sobie wyobrazić 2 modele Zrzeszenia czy, szerszej, ruchu studenckiego. Jeden to przybudówka samorządu czyli forma raczej dyspozycyjna wobec władz uczelni, pragnąca za wszelką cenę uniknąć wchodzenia w sytuacje konfliktowe. Drugi model nazwałbym, upraszczając, rewolucyjnym. Nie próbowałby on zacierać istniejącej różnicy pokoleń i, co za tym idzie, mentalności. Dla tego modelu idea wspólnoty-*universitas*, którą zresztą sobie ostatecznie wszyscy trochę gębę wycierają, nie byłaby czymś wartym każdej ceny. Uznawałby on za stan naturalny właśnie pewien konflikt: pokoleń, aspiracji, stosowanych metod. Stanowiska te - grzesznych dzieci rektora i buntujących się bezustannie studentów - są dwoma skrajnymi biegunami, w obliczu których NZS będzie się musiał znaleźć. Nie mówię, że zadeklarować po jednej ze stron, ale... Nie ukrywam, że moim zdaniem bardziej odpowiadające rzeczywistości i korzystniejsze dla studentów byłoby zbliżenie się do drugiego bieguna tzn. odfałszowanie idei *universitas*, dostrzeżenie, iż staje się ona fikcją. Wydarzenia z końca lutego,

a zwłaszcza, powiedzmy szczerze, szantaż ze strony rektorów, że podadzą się do dymisji, gdy na uczelni wybuchnie strajk, postawiły ten problem wyraźnie. Wiemy już coś więcej o władzach uniwersytetu. Już w maju ub. roku pojawiły się metafory, że rektor, który je symbolizuje "żyje w ciągłym póżbrocie. Raz chce zwrócić się w stronę studentów, a drugi raz w stronę ministerstwa. Tyle, że kiedy obraca się twarą do ministra, to staje tyłem do studentów, a kiedy przodem do studentów, to tyłem do ministra". Ciągłe w póżbrotach żyć nie można. Trzeba się zdecydować. Oczywiście jest to bardzo trudne - wymaga zerwania z dotychczasowymi układami i metodami działania. Sytuacja się jednak zmieniła i rektor powinien zdać sobie z tego sprawę.

Czy oprócz tych opcji - grzeźnych lub zbuntowanych - możliwa jest trzecia droga? Bo grzeźnymi być "z definicji" nie chcemy, nie możemy i nie będziemy.

**BOGUSŁAW CHRABOTA:** Ja z kolei nie bałbym się idei *universitatis* - jest to idea uniwersalna i potrzebna. Trzeba tylko przełożyć ją na język praktyki. Będzie to skomplikowane zadanie, zwłaszcza dlatego, że brak jest tradycji stowarzyszeń akademickich. Spośród różnych ich form dane nam było poznać tylko formę samorządu i kół naukowych. Teraz zaistniał NZS. Ale przecież to nie wszystko - paleta możliwości jest znacznie bogatsza. Należy dążyć do całkowitej wolności stowarzyszeń akademickich. One same dobrałyby sobie cele, a działając w warunkach swobodnego wolnego rynku wyzwołyłyby możliwości realizacji tych celów. Tego typu model nie tylko nie byłby przeciwny koncepcji *universitas*. Wręcz przeciwnie - umacniałby ją.

**PCH:** Tu trzeba się zastanowić, czy NZS jest w ogóle jeszcze potrzebny, czy jest już tylko idea?

**BD:** *NZS czy samorząd?*

**PCH:** NZS. Wydaje mi się, że funkcjonuje on teraz jako mit. Ja wyobrażałem sobie Zrzeszenie jako coś w rodzaju Frontu Jedności Narodu, tyle że opozycyjnego.

**BCH:** Rozumiesz po marksistowsku - żądasz organizacji studenckiej, która byłaby jednolita, miałaby jeden cel itd.

**PCH:** Nie, nie. Po prostu sądziłem, że najrozsądniej byłoby, gdyby wszystkie niezależne grupy studenckie znalazły wspólną przestrzeń w NZS-ie. Mówiłeś o modelu *universitas*. Może właśnie szukanie w NZS-ie elementów wspólnoty: interesów, celów, metod byłoby naszym wkładem w dążeniu do ogólnouczelnianej *universitas*? Ostatnie tygodnie pokazały jednak, że ostry konflikt istnieje również w NZS-ie...

**BCH:** Ale dlaczego właśnie Zrzeszenie miałyby grupować wszystkie siły na uczelni? To od razu skąże go na porażkę, bo taki NZS nie byłby w stanie - jak zresztą się stało - wytworzyć jednolitego frontu i nie byłby czymś jednoznaczny dla samych członków tej organizacji.

**BD:** *Ale mógłby stanowić realną siłę wobec władzy.*

**PG:** Pamiętajmy jednak, jak skończyła się próba takiej konsolidacji - była nią "Solidarność" w latach 1980-81. W naszym krakowskim przypadku już na samym początku wyszło na jaw, że uzgodnienie stanowisk między siłami liczącymi się na uniwersytecie tj. NZS-em, WIP-em, KPN-em jest bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe. Mam na myśli dyskusję nad ogłoszeniem strajku 27 lutego.

**PCH:** "Front", o którym mówiłem, był moim postulatem - tak wyobrażałem sobie strukturę ruchu studenckiego w obecnej sytuacji. Okazało się to niemożliwe. Jest wręcz przeciwnie. NZS stał się frontem nie porozumienia, ale walki poszczególnych grup. Unikam teraz oceny, kto ma rację. Pojawiło się też zjawisko oskarżania KPN-u i WIP-u o manipulowanie Zrzeszeniem. Niektórzy jego członkowie dostrzegają w tym zagrożenie.

**BD:** *Zarnuty tego typu padają zawsze i padać będą. Tylko, powtarzam, nadal jesteśmy.*

w fazie walki, prowadzonej w dodatku w niezbyt klarownych warunkach. Środowisko musi więc być silne i powinno przynajmniej w ważniejszych sprawach wypowiadać się jednym głosem.

B CH: W maju ub. roku kilka osób zaproponowało utworzenie takiego ciała, w którym na zasadzie porozumienia różnych grup politycznych można by było koordynować akcje w środowisku. Obowiązywałyby tam reguły quasi-parlamentarne. Propozycja ta została zresztą poparta przez ówczesny ITK "Solidarności". Odbiło się jedno, dosłownie jedno, spotkanie wszystkich organizacji: WEP-u, NZS-u, KPN-u, LDPN-u i innych. Do drugiego już nie doszło, bo WiP i KPN uznali pomysł za bezsensowny. Być może było to uzasadnione, niemniej ponieśliśmy klęskę. Wtedy byłem jednym z animatorów tego rozwiązania. Teraz jestem przeciwnikiem jednolitej struktury dla wszystkich osób zaangażowanych w politykę na uniwersytecie. Zresztą dzisiaj myślenie polityczne jest już tak spolaryzowane i, przynajmniej w przypadku elit, dojrzałe, podziały są tak głębokie, że nie ma szans na porozumienie się we wszystkich sprawach. Moim zdaniem w grę mogą wchodzić tylko sojusze.

P CH: Tylko, że próba z wiosny ub. roku była niedopracowana. Nie powiedziano, co to właściwie ma być. Po drugie, inicjatywa ta została odebrana przez środowisko jako niemal uzurpacja - do owej jednolitej struktury miały bowiem wejść firmy nie mające praktycznie żadnego poparcia, działające *de facto* fikcyjnie, jak to się mówi, kanapowe. Wtedy, w gorącej atmosferze strajków i wieców musiało to razić.

B CH: Ależ nie można aktywności politycznej widzieć tylko przez pryzmat strajków, ulicy i wieców...

B D: Jaką wizję uniwersytetu mają wobec tego chrześcijańscy liberałowie? Czy jest to coś na tyle oryginalnego, że nie mieści się w programie NZS-u czy samorządu? Czy konieczna jest tu podkładka ideologiczna, podkładka aż klubu politycznego?

B CH: Po pierwsze trzeba zerwać z istniejącym co najmniej od czasów "Solidarności" schematem dwuobiegowości: jest władza, rząd, partia i z drugiej strony opozycja, ba, niekiedy całe społeczeństwo; Między tymi biegunami istnieć na stały, choć w różnym nasileniu, konflikt. I tylko on może doprowadzić do postępu czyli ustępstw władzy. To przekonanie żywe jest do dzisiaj. Ja jestem zwolennikiem czegoś szerszego - nie dwu ale wielobiegowości. Tu oczywiście bardzo ważne jest usytuowanie tych różnorodnych grup, stowarzyszeń i sił politycznych na uniwersytecie w takiej strukturze, by działały one na rzecz interesów całego środowiska.

P CH: "Niech kwitnie sto tysięcy kwiatów, niech się rozwija tysiąc szkół myślenia".

B CH: Znowu marksizm, chiński tym razem. Ale coś w tym jest. Chcemy nawiązać do tradycji stowarzyszeń uniwersyteckich sprzed wojny. Studenci nie mieli wtedy swojego przedstawicielstwa w ciałach kolegialnych uczelni, nie mieli bezpośredniego wpływu na decyzje podejmowane przez senat i rady wydziałów. Mieli natomiast całkowitą wolność zrzeszania się w tzw. korporacjach czyli apolitycznych stowarzyszeniach akademickich oraz w stowarzyszeniach o zabarwieniu politycznym, które niekiedy były wręcz przedłużeniem istniejących wówczas partii i stronnictw. Proponujemy, aby w obecnej sytuacji reprezentacją całego środowiska był samorząd. Tylko on miałby udział w ciałach kolegialnych uczelni i to w stopniu większym niż obecnie. Natomiast pozostałe legalne organizacje studenckie - a postulujemy zalegalizowanie wszystkich, które się o to ubiegają - nie były bezpośrednio reprezentowane w senacie i radach wydziałów, lecz na zasadzie gry politycznej próbowałyby wprowadzić swoich ludzi do samorządu i zdobyć tam wpływy. Naszym zdaniem jest to jedyna możliwość. Żyjemy, było nie było, w systemie posttotalitarnym i kryteria uznawania, bądź nie, różnych osób i inicjatyw długo jeszcze pozostaną płynne. Zawsze więc byłiby pokrzywdzeni spośród tych, którzy aspirowałiby do posiadania przedstawicielstwa. Właśnie dlatego, aby reprezentatywne

grupy miały swoje głosy w ciałach kolegialnych musimy zdecydować się na model samorządowy - samorząd oparty na grze o charakterze parlamentarnym.

**B D:** *A jak, zdaniem NZS-u, wyglądałaby relacja między nim a samorządem? Jak wiemy, są dwie koncepcje Zrzeszenia - albo jako partii politycznej, albo jako związku zawodowego studentów. Gdyby zwyciężył drugi model, pola aktywności NZS-u i samorządu przynajmniej częściowo nałożyłyby się na siebie.*

**P G:** To ciężka sprawa. Bo, po pierwsze, sama idea zrzeszenia jest jeszcze nieokreślona i musi rozstrzygnąć się w drodze demokratycznego wyboru. Po drugie, na dobrą sprawę nikt właściwie nie wie, jak może funkcjonować samorząd.

**B D:** *To znaczy, jest pewne wyobrażenie, które jednak nigdy nie zostało zastosowane, z różnych przyczyn, w praktyce.*

**P G:** Myślę więc, że to musi dotrzeć się "w praniu". My tu nic nie wydumamy.

**B CH:** Słowem-kluczem jest tu oklepany już pluralizm. Pewne kompetencje - dla samorządu np. wyrażanie stanowiska całego środowiska, bo przecież samorząd tworzą, przynajmniej w teorii, wszyscy studenci. Pewne - dla NZS-u np. szalenie ważna działalność aktywności gospodarczej, wydawanie skryptów, książek.

**B D:** *Czy NZS będzie dążył do wprowadzenia swoich przedstawicieli do ciał kolegialnych uczelni?*

**P G:** Po ostatnich kontaktach w senacie, moim zdaniem, nie ma sensu tam wchodzić. Naszego głosu i tak nikt nie słucha i nie próbuje. Wszyscy robią swoje czyli podejmują decyzje, które wcześniej zaplanowali. Sprawy studenckie prezentować powinien chyba rzeczwiście samorząd i przedstawiciel kół naukowych. Nie widzę korzyści w zasiadaniu w senacie jednego, a na więcej nie ma szans, człowieka z NZS-u. Służyłby on tam tylko jako chłapiec do bicia. Tu powraca idea wspólnego frontu. Nie wyjaśnimy ostatecznie, przeciwko komu ma on być skierowany. Jak dotąd każda próba akcji przeciwko władzy lub systemowi powoduje ich reakcję, którą jest uderzenie w uniwersytet, w rektorów. Dopóki nie zmieni się prawo, które na to pozwala, dopóty te kłopoty nie ustaną. Obecny skład rektorski jest taki, że gdy ludzie zmusi się do wyboru między postulatami NZS-u, jak się stało ostatnio, a pozostaniem rektorów na stanowiskach, to ta druga szala przeważa.

**B CH:** I dlatego jedynym rozsądnym wyjściem jest działanie na rzecz integracji środowiska, stworzenia mocnych więzi między rektorami a studentami.

**B D:** *Niestety podczas wydarzeń lutowych nie zastosowano optymalnego rozwiązania. Aby nie dopuścić do strajku, rektorzy w praktyce użyli szantażu, co skończyło się tak, jak się skończyć musiało - konfliktem i wzajemnymi urażeniami. Tymczasem najlepszym rozwiązaniem byłby chyba kompromis - studenci nie strajkują, ale rektorzy podpisują wspólnie z nimi oświadczenie potępiające działania władz i milicji. Przecież wydawane wówczas stanowiska senatu są, łagodnie mówiąc, chybione i bezmyślne. Ja wiem, że łatwo się to mówi teraz post factum...*

**P G:** Casy czas byłem przekonany, iż nie możemy doprowadzić do sytuacji, gdy ceną naszych działań jest ustąpienie rektorów. Tych rektorów. Tylko że jeśli można zrozumieć niechęć władz uczelni do strajków i demonstracji, to nie jest do przyjęcia ich negacja dla naszego programu pozytywnego. A ona nastąpiła np. w stosunku do spotkań z Gilem i Michnikiem. Przybliżyliśmy ludziom "okrągły stół", nie ma strajków, wieców, "otwieramy głowy"... Przecież to jest alternatywa dla zadym. A tu rektorzy robią opory, twierdząc że to także godzi w uniwersytet.

**B CH:** Ależ i tu jest postęp. Gdy w marcu ub. roku Adam Michnik był zaproszony przez

organizatorów sesji na temat wydarzeń 1968, to rektor zagroził natychmiastowym rozwiązaniem imprezy, jeśli tylko Michnik pojawi się na sali. Teraz do spotkania doszło, co świadczy o pozytywnej zmianie.

B D: *Ale sytuacja w kraju jest przecież całkowicie inna.*

P CH: Władze uczelni chcą mieć po prostu tzw. święty spokój.

B CH: Rozumiesz jak radykał. Sprowadzasz formy działania tylko do nie-spokoju: strajku, zadymy.

B D: *Spotkanie z Michnikiem, którego rektorzy się bali, nie jest przecież żadnym radykalizmem. Co więcej - jest on jednym z niewielu ludzi w tym kraju, którzy mogą swym autorytetem doprowadzić do uspokojenia nawet najbardziej rozpalonych nastrojów.*

B CH: ...wydaje mi się, że musimy znaleźć formy działania oparte nie tylko na protestach. Protest ma sens tylko wtedy, gdy jest uzasadniony.

P CH: W ostatnim roku sytuacja była cały czas kryzysowa. A poza tym ja wcale nie uważam strajku, bojkotu i zadym za kwintesencję aktywności, choć mają one, niezależnie od wyniku, swoje pozytywne w postaci np. rodzenia się samoświadomości uczestników, poczucia podmiotowości itd.

B CH: Dużym osiągnięciem - naszym i naszych władz rektorskich - jest status uniwersytetu. Od 1981 roku nie było ani jednego wypadku relegacji studenta za działalność polityczną, żywa jest tradycja inicjatyw społecznych i kulturalnych, np. Przegląd Kabaretów Amatorskich PAKA organizowany w Rotundzie przez Mirka Wujasa oraz Przegląd Otrzymały Nagrodę Kulturalną "Solidarności". Tę pozycję trzeba utrzymywać, aby na jej podstawie zdobywać nowe przyczółki. Nie można jej zbyt narażać poprzez spory o rzeczy doraźne.

P CH: Ja patrzę z innej strony. Dobrze, że nie było żadnych relegacji. Ale źle, gdy ciągle zawieszają się ludzi w prawach studentów właśnie za "politykę". Władze rektorskie podważają swój autorytet zawieszając sprzedających bibułę w sklepikach czy organizujących akcję bojkotu przedmiotów ideologicznych.

B CH: Ale wiosną zeszłego roku był jeden sklepik. Teraz jest ich siedem.

B D: *Znowu sytuacja w kraju się zmienia!*

P CH: ... I każdy taki przypadek należy nagłaśniać, każde restrykcje tego typu piętnować. Bo to jest zło. Może mniejsze, ale zło. Metodę "dużo huku" wobec każdej takiej sprawy stosuje Akcja Studencka WiP i metoda ta jak na razie się sprawdza.

B CH: I to właśnie cenię, choć prezentuję stanowisko drugiego bieguna opozycji.

B D: *A jak widzicie problem upolitycznienia uniwersytetu? Czy mają na nim działać partie polityczne? Czy ma on być terenem zdobywania sobie przez nie zwolenników i miejscem walki politycznej?*

P G: Jak dotąd niezbyt im to wychodzi. Dotyczy to zarówno PZPR-u, jak i KPN-u, nie mówiąc o stronnictwach.

B CH: Grupy polityczne na uniwersytecie mogą być przedłużeniem partii.

P G: Tak czy tak, NZS nie powinien ewoluować w kierunku partii politycznej. A są takie głosy. Podobnie jak niebezpieczne byłoby ograniczenie się NZS-u do roli niezależnego ZSP. Miałby on zajmować się tym, czym dzisiaj zajmuje się "zsymp", tyle że z o-



rzelkiem w koronie. Powinien przy tym stworzyć taki program, pod którym mogłoby podpisać się całe środowisko. Czy ci, którzy tak mówią nie zauważają, że wtedy jeden monopol zastąpi drugi?

B CH: Nie należą do Zrzeszenia, ale sądzę, że jednak powinno ono wchodzić na pola opawane przez ZSP i stawać się tam dlań konkurentem. Organizowanie przez NZS imprez kulturalnych, pomocy socjalnej, biur turystycznych itd. odbierałoby "zsypancom" monopol, a przecież niekoniecznie musiałyby prowadzić do tworzenia nowego, NZS-owskiego.

P G: O tym także zadecydować muszą demokratycznie członkowie Zrzeszenia.

B D: *Tylko czy studenci dorosli do demokracji. My sobie tu rozważamy różne modelowe rozwiązania...*

B CH: ... a nie potrafimy sprawnie przeprowadzić prostych wyborów czy zebrania.

P G: Chciałbym móc kiedyś powiedzieć, że zasięga NZS-u jest nauczenie swych członków demokracji. Na razie nie mamy zielonego pojęcia o jej funkcjonowaniu nawet od strony technicznej. Ludzie nie wiedzą, co to jest votum nieufności, votum zaufania, głos formalny. Nie mają pojęcia, jak działają instytucje demokratyczne. Chodzi także o stworzenie dla nowych roczników już pewnej tradycji, aby przynajmniej one miały ułatwione zadanie.

B D: *Problem w tym, czy zdążymy ją wykształcić. Środowisko studenckie przeżywa kolejną eksplozję aktywności. Oby nie była to właśnie eksplozja, której cechą jest, jak wiadomo, szybki koniec. Czy studenci zechcą być aktywni "na dłuższą metę"? Czy towarzysstwo nie wypali się, gdy skończą się zadymy i przestaną przyjeżdżać "wielkie nazwiska"?*

P CH: Albo nadal będą przyjeżdżać, ale stanie się to czymś normalnym...

B D: *Szara praca, a taką trzeba zacząć, nie jest szczególnie pociągająca.*

B CH: Uważam, że wypalenie się nam nie grozi. Obserwuję środowisko od 5 lat i dawniej było ono stokroć pasywniejsze niż teraz. Dziś zaangażowany jest całkiem procent ludzi. Chcą działać, są aktywni. Konieczne jest tylko, aby aktywność ta nie ograniczała się do jednej formuły i do jednego celu.

P CH: Tylko, gdy nie są załatwione rzeczy podstawowe, to one muszą mieć pierwszeństwo. Ja jestem na uczelni drugi rok, czyli praktycznie od czasu owego wybuchu aktywności. I zauważyłem, że moglibyśmy w tym czasie osiągnąć o wiele więcej, gdyby różne inicjatywy się nie dublowały czy wręcz blokowały. Np. była szansa lepszego rozwiązania kwestii szkolenia wojskowego oraz przedmiotów indoktrynujących. Ale wyciąć już nas nie wytną. Mogą spacyfikować, lecz tylko wtedy, gdy spacyfikują całą opozycję.

B CH: Zaangażowanie to także koła naukowe, samorząd, imprezy kulturalne itd.

P CH: Oczywiście, choć polityka sięga i tu. Przykładowo bojkot przedmiotów ideologicznych zorganizowało koło naukowe historyków, sekcja dziejów idei i wyobraźni. Brak jest natomiast dobrej gazety uniwersyteckiej.

B CH: O tak. Jest mnóstwo ludzi piszących, ale drukują oni w swojej bibule. W "A capelli", "Słowie", "Promienistych" - pismach co prawda młodzieżowych, ale nie ściśle uniwersyteckich. Może wyjściem byłby powrót do biuletynu informacyjnego UJ? Kiedyś coś takiego wydawał samorząd, teraz formułę trzeba zmienić. Mogłoby to być forum dyskusyjne na tematy związane z uczelnią. Wydaje mi się, że mimo różnic punkt docelowy mamy ten sam - autonomiczny uniwersytet, bez ingerencji ministra, bez konieczności uzyskiwania jego zgody na nasze inicjatywy i stowarzyszenia, ze swobodą łączenia się tych ostatnich w struktury lokalne i ogólnokrajowe. Wolny uniwersytet

Rozmawiał K R Z Y S Z T O F B U R N E T K O

ANDRZEJ CELIŃSKI

## Nowe dylematy Solidarności

### DWIE FUNKCJE

"Solidarność" od samych swych początków zawsze była, jest nadal i aż do czasu zasadniczej zmiany warunków i okoliczności polskiej sceny politycznej - pozostanie rozszczepiona na dwie podstawowe funkcje realizujące się w tej części polskiego społeczeństwa, która nie jest władzą, nie utożsamia się z władzą, ani nie poczuwa się do wspólnych z nią interesów. Pierwsza z tych funkcji sprowadza się do reprezentacji interesów pracowniczych, ograniczonych zasadniczo do sfery rewindykacji w zetatyzowanych i poddanych kontroli politycznego monopoli przedsiębiorstwach. Krótko określa się ją funkcją związkową, albo mówi się: "Solidarność" jako związek zawodowy. Drugą, znacznie bardziej rozbudowaną i wewnętrznie skomplikowaną, to funkcja ruchu skupiającego i wyrażającego niepodległościowe, narodowe i społeczne aspiracje ludzi nie mieszczących się w systemie politycznym PRL, przeświadczonych, że instytucje życia publicznego, zwłaszcza instytucje władzy /na różnych jej szczeblach/ nie są ich instytucjami, a odczuwających jednocześnie potrzebę uczestniczenia, choćby biernego, w społeczeństwie obywatelskim na różnych poziomach jego organizacji. Rzecz jasna funkcja ta realizuje się nie tylko w zakładach pracy. Zdominowana jest jednak, w swej treści, przez problemy wynikające ze stosunku pracy. Druga funkcja wyznacza perspektywę polskiej drogi do wolności i integruje zasadniczo rozbieżne interesy ludzi zajmujących różne pozycje w strukturze społeczeństwa. Obie te funkcje realizują się, oczywiście, w jakiejś zarłk części określonej zbiorowości, tej mianowicie, która nie poddaje się biernie zdarzeniom, choćby trochę interesuje się życiem publicznym, przejawia jakąś aktywność.

Obie te, odmienne przecież funkcje, w historii "Solidarności" zaszębiały się, spłatały, ale i konkurowały ze sobą, ścierały, a ich współistnieniu towarzyszyły konflikty. Funkcje te ocierały się boleśnie niekiedy o siebie w warstwie formułowanych programów i, przede wszystkim, w płaszczyźnie organizacyjnej i osobowej. Wystarczy sobie przypomnieć rozmowy sprzed kilku lat z tymi kolegami, którzy już internowani zgłaszali władzom gotowość emigracji motywując to stwierdzeniem: "my nie zapisywaliś-

my się do "Solidarności", aby siedzieć". Przynajmniej część z nich rzeczywiście nie sądziła, że podejmując działalność w "Solidarności" rzuca wyzwanie systemowi. Cele obu funkcji lokowane są w innej perspektywie czasu. Ich równoczesna realizacja nie zawsze jest możliwa. "Solidarność" tymczasem, w poczuciu nieustannego zagrożenia i dążąc do możliwie maksymalnego zespolenia wewnętrznego tradycyjnie już precyzyjnie określa swe cele ostateczne, aniżeli etapowe. Poszukujemy w jej granicach, raczej tego co łączy, aniżeli tego co dzieli. Koliduje między wymienionymi funkcjami są więc kamuflowane, a ci którzy je ujawniają spychani są na marginesy.

Doświadczanie uczy, że przykłady zazwyczaj wywołują najsilniejsze kontrowersje, ale też oświetlają ujmowane w sposób ogólny problemy, a więc by nie być gołosłownym, trzy przykłady: a/ żądania rewindykacyjne rozmaitych grup zawodowych w 1980 i 81 roku z całą pewnością kolidowały z tą funkcją "Solidarności", jaką było pchnięcie kraju na drogę reform gospodarczych i politycznych, w jakimś stopniu sprzeczności: była zakodowana była już w samych porozumieniach sierpniowych, b/ słynne postanie Zjazdu odnoszące się do pewnej koncepcji geopolitycznej lokującej Polskę w korzystniejszych warunkach zewnętrznych, po prostu wcale się nie miało do funkcji związkowej, nadto wprost sprowadzało i zwiększało zagrożenie istnieniu "Solidarności" eliminując polityczną możliwość koncyliacji, c/ ścisłe łączenie postulatów płacowych i politycznych w strajkach 1988 roku tłumaczy się koniecznością mobilizacji i galwanizacji ruchu, przerwaniem mostów ponad rozwierającą się przepaścią między opisywanymi funkcjami ruchu, ale z punktu widzenia planu reform gospodarczych akceptowanych przez "Solidarność" jest konfliktowe, albowiem utrwała niekorzystną strukturę społeczną - przekonamy się o tym już niebawem.

Trzeba też wyraźnie zaznaczyć, że obie funkcje łączy cecha opozycyjności wobec władzy. Przyczyną są oczywiście stosunki własnościowe w gospodarce i zawłaszczenie instytucji państwa przez obóz władzy. Zaznaczam ten fakt, oczekując bowiem należyte wybuchu nieporozumień wokół projektów "uzwiązkowienia" "Solidarności" po jej powtórnej legalizacji, a zwłaszcza różnych nadziei politycznych z tym "uzwiązkowaniem" związanych. Tymczasem, w obecnym stanie stosunków własnościowych i przy obecnej koncentracji przestrzennej przemysłu postulat "wyprowadzenia" polityki z zakładów pracy, zapewne zasadny, jest czystą iluzją.

W krótkiej, osmioletniej historii "Solidarności", propozycje udziału obu funkcji zmieniały się. Pierwsza z nich organizowała jej zwolenników, a niekiedy większość "pozapartyjnego" społeczeństwa jedynie w wyjątkowych sytuacjach. Takich mianowicie, kiedy w procesie symbolicznego określania sytuacji narodowej jako podatnej na zmianę, albo - jak kto woli - wywołującej determinację zespalałą wydziedziczone przez władzę społeczeństwo, w momentach gwałtownego odzyskiwania przez rzesze ludzkie poczucia sensu podejmowania wysiłku na rzecz zmian, następując społeczny wybuch w najbardziej po temu sprzyjających miejscach. Ze względu na dominującą znaczenie - w strukturze polskiego społeczeństwa - tzw. wielkoprzemysłowej klasy robotniczej i jednoczesny brak demokratycznych mechanizmów życia społecznego i politycznego właśnie pracownicy wielkich zakładów przemysłowych stawali się mandatariuszami pozostałych grup społeczno-zawodowych tej części społeczeństwa, która "nie jest władzą". Ze wszelkimi konsekwencjami. Także w postaci utrwalania, w aspekcie politycznym, obecnej struktury gospodarki i struktury społecznej zdominowanej przez klasę robotniczą i biurokrację. Jest to, w gruncie rzeczy, sytuacja historyczna. Konstytuuje ją fakt, że strajk jest jedynym skutecznym narzędziem walki nie tylko w sferze stosunków pracy, ale i o zmianę systemu politycznego będącego zasadniczą barierą zaspokajania potrzeb materialnych i społecznych aspiracji rozległych grup ludności. W takich okolicznościach różnice interesów wewnątrz nieutożsamiającego się z obozem władzy społeczeństwa zacieraają się wobec pojawiającej się szansy uzyskania i zagospodarowania jakiegos własnego pola działalności, pola wyjętego spod kontroli władzy. Jak długo trwa owa symboliczna definicja sytuacji społecznej - wobec i przeciwko władzy - tj. jak długo myślenie o sytuacji politycznej w podobny sposób przebiega w różnych klasach społecznych, tak długo wewnętrzne zróżnicowanie społeczeństwa pozostaje sprawą drugorzędną. Polityka władzy może wzmocnić i niejako sztucznie przedłużyć ten okres przez niedopuszczenie politycznych elit niezależnego się od obozu władzy społeczeństwa do podejmowania odpowiedzialności za tok spraw państwowych. Jest to oczywisty czynnik zespalający nie tylko opozycję, ale całe "pozapartyjne" społeczeństwo wyrzute ze swych praw, zwłaszcza z prawa do suwerenności.

W sytuacjach "normalniejszych", nie nasyconych tak mocno emocjami, w których nie występuje "wspólnyśnienie", a więc w perspektywie historycznej - "na co dzień", raczej ta druga z wymienionych funkcji organizuje "pozapartyjne" społeczeństwo. Pojawia się wówczas

wczas nowy problem: rozwarstwienie "strony społecznej" na znakomitą mniejszość społecznie i politycznie aktywną, powodowaną raczej "powinnością" działania, a nie rachubą na szybką jego skuteczność, niekiedy też właśnie w dziedzinie działalności publicznej widzącą drogę samorealizacji i ogromną większość ożywianą demokratycznymi i niepodległościowymi wartościami, ale wcale nie skłonną do świadczenia tym wartościom w codziennym życiu, jeśli miałyby to zagrozić interesom własnym i rodziny, zwłaszcza gdyby wiązały się to miało z zagrożeniem poczucia bezpieczeństwa. Logiką tego podziału jest, że "aktywiści" przejmują bardziej altruistyczne i ogólne motywacje dla swej działalności, aniżeli pragmatycznie nastawiona większość. Powoduje to dalsze rozwarstwienie aktywu "Solidarności" i jej sympatyków w zakładach pracy. Sprawy codzienne, stanowiące treść życia tej znakomitej większości umykają bowiem uwadze zajętych problemami politycznymi aktywistów. Ten proces wtórnego rozwarstwiania "Solidarności" ułatwia wymywanie jej z zakładów pracy, czyni podatną na propagandowy, wobec określonych grup pracowniczych - skuteczny atak. W takich nienadzwyczajnych, "codziennych" okolicznościach związkowa funkcja "Solidarności" jest czynnikiem drugiego planu, albo nawet pozostaje w uśpieniu. Przede wszystkim dlatego, że w warunkach nielegalności NSZZ "Solidarność" może wypełniać swe związkowe funkcje jedynie w wyjątkowych przypadkach. Wtedy, gdy udaje się wytworzyć jakieś pole negocjacyjne z dyrekcją przedsiębiorstwa. Tak się stało w Hucie im. Lenina w Krakowie, gdzie Komitet Organizacyjny "Solidarności" skupiający siódma część załogi faktycznie dysponuje decyzjami zgody na pracę w tzw. nadgodzinach większości pracowników. Jest to sytuacja wyjątkowa, albowiem tworzy ją kombinacja różnych, nie od "Solidarności" zależnych czynników. Są to: rola huty jako monopolisty w produkcji pewnych, decydujących o kondycji całych gałęzi przemysłu, asortymentów, brak rąk do pracy zmuszający dyrekcję do zabiegania o dobrowolną pracę w godzinach nadliczbowych, brak mieszkań uniemożliwiający sprowadzenie robotników z innych regionów kraju i brak towarów na rynku wybitnie osłabiający motywację do dodatkowych zarobków. Dopiero w tych okolicznościach silna, posiadająca doświadczonego działacza i zaplecze organizacyjne poza hutą "Solidarność" może skutecznie wypełniać swe związkowe powołanie. Podobna sytuacja jest w Stalowej Woli, gdzie "Solidarność" wzmocniona jest nie tylko organizacyjnym zapleczem poza hutą, ale także bazuje na mądrym, codziennym, niejako zwyczajnym, programie działalności oswajającym załogę z jej realnym istnieniem.

Oczywiście brak pola negocjacyjnego z dyrekcją przedsiębiorstwa może być zastąpiony szczególną determinacją określonej załogi, niezwykle silnym autorytetem przywódców i dobrą organizacją, jak dzieje się w szczyńskim WPK, ale jest to sytuacja jeszcze bardziej wyjątkowa niż w Krakowie i Stalowej Woli. Spośród kilkuset zorganizowanych i jawnie działających komisji NSZZ "Solidarność" jedynie kilkanaście, włączając w to kopalnię Jastrzębia i Piekar, uzyskało możliwości rozwijania działalności związkowej. Oznacza to, że w przededniu legalizacji "Solidarności" nie dysponuje aktywnym przygotowaniem do pracy. Gorzej, chyba poza Warszawą i Lublinem, "Solidarność" nie dysponuje też rozwiniętymi strukturami regionalnymi przygotowanymi do wypełnienia funkcji pomocniczych i doradczych na wypadek umożliwienia jej legalnej działalności związkowej. Zupełnie wyjątkowa jest sytuacja Gdańska, w którym, postrajkowa struktura MKO zorganizowała szkolenie związkowe. Inne regiony, poza wymienionymi, skupiają swą działalność na kręgu tzw. klasy politycznej, docierając w głąb zakładów pracy jedynie dzięki autorytetowi osobistemu poszczególnych działaczy. Na razie, w pewnym sensie, lukę w wypełnianiu pierwszej z opisanych funkcji "Solidarności", związkowej, wypełniają samorządy pracownicze, zwłaszcza w Warszawie. Trzeba jednak zdać sobie sprawę, że nie jest to sytuacja stabilna. Oswajanie się obozu władzy z opozycją i powolne tworzenie dla niej pól satysfakcjonującej aktywności z jednej strony i jawna konkurencja w działalności związkowej z drugiej strony postawi legalizującą się "Solidarność" w najtrudniejszej w jej historii sytuacji. W sytuacji porównania mitu z rzeczywistością. Problem tym większy, że kręgi przywódcze "Solidarności" z Wałęsą, KKW, środowiskami doradczymi, prasą w ale nie mają jasnej koncepcji "Solidarności", z uwzględnieniem obu jej zasadniczych funkcji w przypadku jej legalizacji.

Wyjątkowo korzystna dla polskich aspiracji kombinacja okoliczności zewnętrznych i wewnętrznych, określających możliwość sanacji instytucji państwa i podźwignięcia upadającej gospodarki nie będzie trwała wiecznie. Najważniejsza z okoliczności zewnętrznych - pierestrojka - jest czynnikiem niestabilnym, podminowanym nabierającymi dynamiki problemami narodowościowymi i pogłębiającymi się niedoborami rynkowymi. Mniejsza zresztą o przyczynę, zwiastuje to nie od nas zależne. Zintegrowana Europa, poszukująca nowych kierunków rozwoju w swej rywalizacji z krajami basenu Pacyfiku::Stanami Zjednoczonymi, Japonią i tzw. czterema młodymi tygrysami może i zamierza zwrócić się w naszym kierunku. Uzależnione jest to od stabilności politycznej Europy Centralnej. A więc częściowo przynajmniej od nas. Rozwarstwienie polskiego społeczeństwa, w obrazie graficznym przypominającego coraz wyraźniej klepsydre sprawia, że można mówić o dwóch narodach, obu zresztą głęboko sfrustrowanych i kontestujących istniejący porządek. Młodzi robotnicy już wiedzą, że emigracja jest przywilejem lepiej sytuowanych, im pozostaje wiecogacja bez szans i bez nadziei na poprawę swego losu. Siedzimy na beczce prochu. Czy zdążymy ze swoimi reformami wpisać się w formującą się na naszych oczach Europę następnego stulecia? Czy staniami się czynnikiem stabilizującym zachodzące w Rosji przemiany? Czy zahamujemy exodus najbardziej aktywnej młodzieży szukającej normalności i jakiegoś sensu życia poza Polską? Czy wykorzystamy czas przemian, czy też spleceni w śmiertelnym uścisku zginiemy razem z tą władzą znajdując pocieszenie w tym, że to ona zawiodła nas wszystkich na skraj przepaści?

pozytywne odpowiedzi zależą od umiejętności odnalezienia drogi do wolności. Awanturę społeczeństwa walczącego o swą suwerenność i o taki ład gospodarczy, który zapewniłby godziwe warunki życia, jest utrzymanie, mimo represji stanu wojennego, i mimo emigracji, gestej siatki międzyludzkiej więzi, organizacji ciągle odnawiającej się, spajanej wspólną tradycją, wspólnym doświadczeniem i autorytetem Lecha Wałęsy. Ani w Październiku, ani w Grudniu, ani nawet w Sierpniu Polacy nie dziedziczyli politycznego i społecznego doświadczenia swoich poprzedników. Doświadczenia porażek kolejnych prób reformowania życia publicznego nie kumulowały się. U progu 1989 roku trzeba było dziecię niezależnej od władzy infrastrukturze instytucji społecznych czynnik wywierający stałą, uporczywą i zorganizowaną presję na obóz władzy. Trzeba widzieć w niej czynnik utrudniający manipulowanie społecznymi nastrojami tak często stosowanemu przez władzę wobec społeczeństwa zatamizowanego, nie posiadającego reprezentacji na poziomie władzy równorzędny. Ale w tej społecznej infrastrukturze trzeba też widzieć czynnik stabilizacji sytuacji wówczas, gdy wyczerpane zostaną możliwości dalej idących przekształceń.

Podczas gdy sprawa treści urządzeń ustrojowych, zakresu zmian w sferze życia publicznego, odblokowania gospodarki będzie furcją układu sił i warunków oraz możliwości zewnętrznych, to stabilizacja tego nowego układu stosunków politycznych zależeć będzie przede wszystkim od "Solidarności". Jeśli już wzmniemy, jako instytucja, udział w procesie tworzenia nowej umowy społecznej i jeśli zdołamy osiągnąć możliwe do przyjęcia rozwiązania i je przyjmujemy, to nieumiejętność ustabilizowania sytuacji /a podlegać ona będzie wraz z rozwojem procesu konyliacji naturalnej destabilizacji/, choćby dlatego, że demagogia taniej będzie z dnia na dzień/ przekształcać się w historyczną klęskę Polski. W takim przypadku, wobec takiej prognozy własnych możliwości lepiej dla "Solidarności" i dla Polski byłoby nie rozpoczynanie procesu instytucjonalnego dialogu. Ale - i to też trzeba wziąć pod uwagę - oznaczałoby to kres "Solidarności" utożsamianej z jej ópcyrm kręgiem przywódczym.

Tymczasem jakakolwiek próba manipulowania społecznymi nastrojami i instrumentalizowania ruchu społecznego, obojętnie przez kogo podejmowana, w jakim celu i w imię jakich wartości, musi zakończyć się porażką. Odnosi się to też do "Solidarności". Jest to konsekwencja rzeczywistego upodmiotowienia społeczeństwa, w sferze wartości, jakie stało się niekwestionowanym dorobkiem czasu, który upłynął od Sierpnia 80 roku. W tej sytuacji trzeba od samego początku procesu konyliacji jasno i bez jakiegokolwiek kamuflażu określać cele strategiczne "Solidarności" i podejmować dyskusję wokół najtrudniejszych problemów. A są nimi: granice przekształceń ustrojowych, ewentualnie ich kalendarz i gwarancje oraz wewnętrzne sprzeczności programu Związku, dotychczas, w warunkach nielegalności nie mające praktycznego znaczenia. W tej kwestii kryje się pytanie o proporcje: na ile jesteśmy reprezentacją "pozapartyjnego" społeczeństwa i na jaką szczególną bazę społeczną liczymy. Teraz - w warunkach nielegalności Związ-

ku i braku suwerenności społeczeństwa i jutro, po odzyskaniu prawa do legalnej działalności w zakładach pracy i w warunkach stopniowego uspołeczniania państwa, stopniowego wypełniania się jego struktur mandatariuszami społeczeństwa i jego różnych grup. Już teraz rozszczępienie "Solidarności" pomiędzy opisane na początku funkcje uciążliwego odchodzenie, ale w ramach ruchu, amiotrych, zorientowanych na szersze cele społeczne i polityczne działaczy od zainteresowań "związkowych". Jest rzeczą naturalną, że w tym przypadku legalizacji Związku trudniej będzie łączyć te funkcje w spójny program i realizować go wewnątrz tej samej struktury organizacyjnej. Czy jesteśmy przygotowani na te zmiany? I kogo to pytanie ma dotyczyć: nas, kilkudziesięciu osób od lat obracających się wokół tych problemów, czy też kilkudziesięciu przynajmniej tysięcy ludzi tworzących tę "Solidarność" w zakładach pracy?

Zwróćmy, przykładowo, uwagę na kilka dylematów, które najzupełniej dosłownie jutro mogą przestać nosić akademicki charakter.

Przykład I. Szczególna rola peñirona przez tzw. wielkoprzemysłową klasę robotniczą w próbach zmiany narzuconego Polsce czterdzieści lat temu systemu politycznego i modelu gospodarczego tłumaczy najlepiej przyjęcie tej opcji, która łączy sprawę niepodległości i sprawę suwerenności z problemami pracy. Kto wie, czy oparcie sprawy narodowej na tak szerokiej podstawie społecznej nie jest, dla Polski, czymś podobnym do oparcia dzieła Sejmu Wielkiego na mieszczaństwie i do przyciągnięcia chłopów do insurrekcji kościuszkowskiej. Tymczasem postulat demokracji, najściślej związany z problemem wolności, wymaga upodobnienia społecznej struktury do takiej, która jest demokracją towarzyszem. Zasadniczymi czynnikami kształtującymi społeczną strukturę są stosunki własnościowe, stopień koncentracji kapitału, swoboda decyzyj gospodarczych, i reguły podziału. Jak ocenimy ugruntować pluralizm polityczny, jeśli w wyniku cudownego postępu dialogu z władzą się do niego zbliżymy, pozostając krajem oryginalnej struktury społecznej zdominowanej przez wielkoprzemysłową klasę robotniczą i biurokrację? I jak odniesiemy się do działań utrwalających tę strukturę społeczną w świetle postępującej emancypacji młodych, którzy coraz częściej jedyną szansę dla siebie upatrują - obok emigracji - w wzięciu swego losu we własne ręce, zamiast powierzać go państwu. Zdaje mi się, że środowiska polityczne, w tym i opozycyjne, wyraźnie zazdrośnie o swój monopol, wszechobecność i omnipotencję wciąż jeszcze nie zauważają tego wielkiego procesu rozpoczynającego się przemian. Prawda, że proces ten, chociaż częścią jest właszcześnie aparatu partyjnego, ludzi władzy, klientów władzy w niczym nie przypomina czystości dzieł wyciętych z właszkciem rumiaków na głowie. Przeciwnie, jest brudny i okrutny, pełen rany i nieprawdy, ale czy nie daje nam jakiejś nadziei? A kto zarezy, że utrwalenie się w dialogu dwóch mołochów - robotników i biurokracji - da lepsze i bardziej trwałe rezultaty?

Przykład II. Wałęsa od dawna zabiegał o przyciągnięcie do programu reform przynajmniej części władzy. To było rasze doświadczenie, rocy św. Łucji. Nie dokona się sara-cja państwa i gospodarki przeciw zjednoczonemu obozowi władzy. Można było przypuszczać, i Wałęsa postawił na to, że rykowy kierunek reform gospodarczych jest, także ze względów politycznych, sprawą absolutnie priorytetową. Ze względu na niejednokrotne interesy rozmaitych aparatów umiarkane w dominującej dotychczas model gospodarki. Rzeczywiście coraz wyraźniej odczuwalne są ruchy tektoriczne w tamtym obozie jeszcze niedawno zjednoczonym przeciwko "Solidarności" i jakimkolwiek reformom. Czy jesteśmy w stanie wyciągnąć z tego wnioski? Czy też znów postawimy na jedną kartę? Czy poddajemy analizie przemiany zachodzące wewnątrz obozu władzy przynajmniej w takim stopniu, w jakim sami jesteśmy przedmiotem analiz? I czy śmiejąc się do łez z bon motu Ciołka: "nasza baza zawała" myślimy o reakcji górników z Manifestu Lipcowego, albo Wujka, kiedy przyjdzie kolej na nasz krok? Czy przygotowujemy się do tego?

Przykłady podobnych dylematów moglibyśmy mnożyć. Wszystkie obracałyby się wokół rozmaitych sposobów uczestniczenia w życiu publicznym. Nie tylko i może nawet nie przede wszystkim w zakładach pracy. Problemem i wyzwaniem jest, czy to rozszczępienie "Solidarności" na dwie funkcje: reprezentacji świata pracy wobec politycznego monopolu i przewodnika na polskiej drodze do wolności będzie nam towarzyszyć niezależnie od zmieniających się okoliczności. Bo o tym, że musi towarzyszyć, aż do czasu uzyskania suwerenności społeczeństwa wobec władzy i wytworzenia się załączkowego przynajmniej instrumentarium demokratycznej organizacji społeczeństwa, jestem przekonany. NSZZ "Solidarność" jeśli chce pozostać mocnym filarem zachodzących przemian musi sam, nie oglądając się na innych, dyskutować dylematy swego udziału w życiu Polski.

ANDRZEJ CELIŃSKI

# Polska nad Hudsonem

Polonia amerykańska jest...

Niestety. Wszelkie zdania zaczynające się w ten sposób i usiłujące przypisać Amerykanom polskiego pochodzenia jakąś szczególną cechę, są nieprawdziwe. Polonia amerykańska nie da się zamknąć w jednym, bądź dwu zdaniach, określić tak epitetem, jak superlatywem. Bynajmniej nie dlatego, że jest podobno dziesięćmilionowa /choć nigdy nie przeprowadzono rzetelnego szacunku liczby Amerykanów faktycznie przynależących się do polskiego pochodzenia/, bynajmniej nie dlatego, że Chicago jest podobno największym po Warszawie polskim miastem. Tymczasem od obiegowych nieprawd aż się roi. "Polonia jest mała i ciemna" - grzmią jedni. Inni wzdychają tęsknie do jej pochowanych w bankach dolarów, do wpływu jaki wywiera taka masa wyborców na warszawskich polityków; jakże korzystnie mogłaby odmienić smętny bieg spraw krajowych taką dobroczynną siłą, gdyby w wyniku porozumienia narodowego i wszelkiego innego "budowania mostów" zechciała włączyć się w ten bieg, inwestować, ułatwiać, pomagać... "Polonia jest oparciem opozycji - przypominają jeszcze inni - gdyby nie jej niezłomna postawa i hojne dary załamaliśmy się pod presją Czerwonych". Najczęściej zaś patrzy się z zazdrością na szczęśliwców, którym udało się z pozytywnym skutkiem przebrnąć przez wizową barierę i pozostać na zawsze za oceanem, bądź powrócić do kraju z plikiem zielonego papieru w kieszeni i z amerykańskimi wspomnieniami w sercu. Kolejki pod konsulatami są najlepszym dowodem tego, co ludzie faktycznie myślą i na co mają nadzieję, choć najczęściej - znużony wciąż tymi samymi błaganiami - konsul wbił im do paszportu pieczętą z napisem "odmowa". Jedyne wolne wybory odbywają się w Krakowie dzień w dzień na bruku ulicy Stolarskiej i wazto zastanawia się przeciw czemu i za czym głosują codziennie ci cierpliwi - choć zazwyczaj bezceremonialnie odprawiani - petenci.

Myślę, że emigracja w jakiś sposób czyni wyraźniejszymi postawy i skłonności ludzkie, dodaje wyrazistości kontrastom. Nie bardzo nawet potrafię zrozumieć dlaczego tak jest; być może wyrwanie ze środowiska, ze wspólnoty, a jednocześnie postawienie wobec wyzwania ekstremalnych, mocniej ujawnia zarówno złe cechy ludzkie /u tych, którzy byli ich nosicielami/, jak też każde osobom nastawionym prospołecznie dokazywać cudów dzielności i poświęcenia. Być może... Dość, że spotkałem w USA Polaków naprawdę wspaniałych, ludzi godnych najwyższego szacunku, a obok nich - w tych samych polskich dzielnicach Chicago, Nowego Jorku, Detroit, bądź kanadyjskiego Toronto - typków przekonanych, że skoro posiadli trochę dolarów, mają wraz z nimi patent na rację, prawdę i cnotę. A ich tłem jest tłum zapracowanych polskich robotników i przedsiębiorców szukających - zwykle nie bez sukcesu - swego szczęścia na nowym łądzie, przekonanych jednak, że tylko na siebie, na swoje ręce i głowy mogą liczyć, że w razie nieszczęścia nikt im nie przyjdzie z pomocą, dalekich od politycznych, a nawet kulturalnych zainteresowań swą dawną ojczyzną, jeśli świadczących jakąś pomoc, to tylko swojej rodzinie, jeśli wysupłujących z portmonetki jakies datki, to tylko na kościelną tacę.

A w ogóle, jaka Polonia, jacy Polacy, jaka emigracja? Bo przywoływane w rocznicowych przemówieniach - 10 milionów jawi się jeszcze bardziej mglisto, niż ta przesławna liczba członków "Solidarności".

Rzeczywiście, żyje w Ameryce 10 milionów, a może jeszcze więcej osób, w żyłach których płynie spora cząstka polskiej krwi. Środkowoeuropejski kraj doświadczający wciąż najazdów, zaborów, narzuconych przemocą systemów politycznych i związanej z tym losem

zwyyczajnej biedy, był zawsze dostarczyicielem krwi nie tylko na frontach wszelkich możliwych wojen i rewolucji. Ale przyniatająca większość z tych 10 milionów ma taki tylko związek z polskością, jak pewien spotkany gdzieś po drodze sympatyczny Amerykanin, który pamiętał faktycznie jedno słowo po polsku, a było to używanie przez jego dziadka "psiakrew". Amerykanie polskiego pochodzenia wrosli w Amerykę, od dawna stali się tacy sami jak inni ich rodacy włoskiego, irlandzkiego, niemieckiego czy jakiegokolwiek pochodzenia; prócz mglistej pamięci o przodkach i nieanglosaskiego nazwiska wszyskie inne więzy ze "starym krajem" zostały już dawno zerwane i ani im w głowie ich odbudowa. Wszyscy zresztą są w tym wielkim kraju cudzoziemskimi imigrantami w którymś tam pokoleniu, rżerni są tylko wymierający Indianie. Najlepszym, choć dość gorzkim - a przez to rzadko przytaczanym - dowodem jest czytelnictwo polskiej prasy i książki. Otóż wydawać by się mogło, że ta dziesięćmilionowa rzesza ma swoje gazety i inne wydawnictwa, które czytują w stopniu proporcjonalnym do ogólnego poziomu czytelnictwa w USA, a przynajmniej w Polsce /w Stanach Zjednoczonych na 1000 mieszkańców przypada znacznie więcej czasopism i książek niż w Polsce. Otóż nie podobnego. Najlepsza, największa i jedyna nowoczesnie redagowana polska gazeta w USA, nowojorski "Nowy Dziennik" ma średni nakład nieco poniżej 25 tys. egz. i tylko w wydaniu sobotnio-niedzielnym zbliża się do 30 tys. Istnieje jeszcze druga gazeta "Dziennik Związkowy" w Chicago, kilkanaście drobnych tygodników, z których większość vegetuje na granicy opłacalności, trochę środowiskowych biuletynów. Książki wydawane po polsku przez "The Bicentennial Publishing Corporation" /wydawca "Nowego Dziennika"/ i pomniejszych wydawców w Chicago nie przekraczają 2000 nakładu, a i tak leżą latami w kilkunastu istniejących w USA polskich księgarniach. Może Polonia chciałyby czytać po angielsku? Też nie: anglojęzyczny miesięcznik spraw polskich "The New Horizon" wydawany w Nowym Jorku przez wspomnianą "The Bicentennial Publishing Corp." ma również 2000 nakładu. Poważny kwartalnik "The Studium Papers" wydawany przez i dla amerykańskich Polaków, to jeszcze mniej. Prenumerata paryskiej "Kultury" przez osoby prywatne w USA to setki egzemplarzy, "Aneksu" czy "Kontaktu" - zaledwie dziesiątki. Amerykanie polskiego pochodzenia - jeśli czytają - to "The New York Times" albo "USA Today", tak jak wszyscy inni Amerykanie pochodzenia jakiegokolwiek. Nowo przybyli Polacy z emigracji najnowszej - o ile znają język i pracują w firmach amerykańskich - czynią podobnie, bo w ten sposób mają o czym rozmawiać z kolegami z pracy i przy okazji doskonałą angielski. Jeśli się nawet czuje doń sentyment, polskie słowo oznacza stratę czasu, na którą nie może pozwolić sobie osoba uczestnicząca w bezpardonowym współzawodnictwie o pozycję, interesy i zarobki. W efekcie czytelnictwo polskiej prasy i książki ogranicza się do wąskiej grupki nie znającej dobrze angielskiego emigracji najnowszej, "wakacjuszy" /tak nazywają tu tymczasowych przybyszów szukających zarobku/ i grona wytrwałych niepodległościowców z powojennej emigracji żołnierskiej, o których mówi się, że naprawdę nigdy nie wyemigrowali. W efekcie brakuje tego podstawowego czynnika integrującego, jakim jest słowo pisane i informacja: czy spełni tę rolę polska telewizja kablowa w Chicago /ok. 3 tys. abonentów/ i dwa konkurujące ze sobą na antenie 31 kanału, powstałe w 1988 roku polskie programy telewizyjne w Nowym Jorku, wypada wątpić: podstawowe grono widzów, to także czytelnicy polskich gazet.

Podobnie jest z organizacjami. Wprawdzie największa z nich - Związek Narodowy Polski - liczy paręset tysięcy członków, ale nie jest niczym więcej jak zamożną dziś kasą samopomocową założoną przez poprzednie pokolenia emigranckie. Podobny charakter mają inne najliczniejsze organizacje, których federacją i reprezentacją jest Kongres Polsko-Amerykański, zwany żargonowo /nie wiadomo dlaczego, bo wywołuje to skojarzenia z działającym w PRL towarzystwem "Polonia"/ "Kongresem Polonii". W skład jego wchodzi głównie wspomniane towarzystwa ubezpieczeń i samopomocy, organizacje kombatanckie, kulturalne i sportowe; stowarzyszeń rzeczywiście politycznych w Kongresie brak. Przygniatająca jednak liczba Amerykanów polskiego pochodzenia pozostaje poza zasięgiem oddziaływania jakiegokolwiek organizacji polskich, nawet samopomocowych, z tych zaś, którzy w skład ich wchodzi większość zainteresowana jest lokatą swoich oszczędności, no i ewentualnie jakimś "Kiełbasa Party" albo "The Polka Festival" przy piwie i parówkach z kapustą.



W ten sposób - zamiast mitycznych 10 milionów - oglądamy ich fałszywą reprezentację w postaci albo działaczy Kongresu będących przedstawicielami starych pokoleń zasiedziały w polskich dzielnicach amerykańskich miast, albo w postaci stosunkowo niewielkich grup aktywnej politycznie powojennej emigracji żołnierskiej, bądź najnowszej - "solidarnościowej". Ołbrzymia masa polskiej emigracji różnych czasów i pokoleń, ten trudny do określenia kształt o słabo zarysowanych konturach, jest tak gęstoko zanurzona w życiu amerykańskim, że nie potrafi i nie chce wyłonić takiej reprezentacji, która przemówiłaby jej głosem.

Już ten szkieletowy obraz każe podważyć kilka obiegowych mitów. Przede wszystkim ów mit o "10 milionach amerykańskich wyborców", których zachowaniami nad urną /w USA nie głosuje się zresztą do urny, lecz stosowana jest specjalna tablica świetlna lub karta perforowana/ mogliby pokierować przywódcy Kongresu. W mit ów wierzą dziś chyba tylko Polacy w Polsce, bo nawet rzeczeni przywódcy - choć przywołują go z okazji przemówień, parad i bankietów - nie czynią nic, by choć cząstkę z tych "10 milionów" rzucić na szalę amerykańskiej gry politycznej w intencji uzyskania proporcjonalnego do posiadanych atutów wpływu na Waszyngton i stolicę stanów.

Jest takie amerykańskie przysłowie: "if you want win it, you must be in it" /jeśli chcesz to wygrać, musisz w tym być/; skoro Amerykanie polskiego pochodzenia nie uczestniczą jako zorganizowana i świadoma swoich celów siła w amerykańskiej grze politycznej, to i nie mają wpływu na jej wyniki, nie mogą żądać od zwycięzców regulowania zaciągniętych przed wyborami długów i realizacji obietnic. Chodzi tu nie tylko o sterowanie zachowaniami wyborców przez ich przywództwo, ale także o wiązanie się w akcje wyborcze poszczególnych kongresmenów czy gubernatorów, tak poprzez pracujące dla nich grupy ochotników, jak poprzez łożenie na fundusz ich elekcji. Jeśli w ostatnich latach wyraźna przewaga republikanów w wyborach prezydenckich czyni ich nieuczynymi na tego rodzaju presje, to niżej - poczynając od składu Senatu - otwiera się pole działania, gdzie nawet niewielka lecz dobrze zorganizowana grupa może okazać się "językiem u wagi" w kwestii politycznej kariery tej lub innej postaci; potrafią to wykorzystywać różne "lobby", tak gospodarcze, jak terenowe lub etniczne, brak jednak wśród nich grupy polskiej. Co więcej, udział Amerykanów polskiego pochodzenia /można to choćby ocenić na podstawie nazwisk/ w składzie władz różnego szczebla zmalał w porównaniu ze stanem z lat sześćdziesiątych.

Miarą tego wpływu są właśnie te daremne kolejki pod konsulatami: polskie "lobby" nie potrafi nawet wyrwać takiego wpływu na politykę wizową USA, by skłonić rząd do respektowania tego ich oczywistego prawa, jakim jest prawo do zapraszania krewnych i znajomych. O większych sprawach nawet nie wspomnę. Nie uzyskał tego wpływu twórca Kongresu i wytrwały orędownik sprawy polskiej Karol Rozmarek; mimo dostępu do Roosevelta nie zapobiegł Jaicie. Nie uzyskał go zmarły w lecie 1988 roku, kolejny przywódca Kongresu Alojzy Mazewski, nie uzyskał wybrany jesienią Edward Moskal. Dzieje się tak bynajmniej nie dlatego, że Amerykanie polskiego pochodzenia są biedni; to kolejny mit. Biedę polskiej grupy etnicznej sugeruje jej rodowód, bo przybyli "za chlebem" ojcowie bądź pradziadkowie zaczęli od najniższej płatnych i najcięższych prac, tak jak zaczynają dzisiejsi emigranci. Biedę sugerować też może stan polskich dzielnic tych "Milwańków" /od Millwauke Avenue/ w Chicago, "Grinpojenta" /Greenpoint/ w Nowym Jorku, czy Hamtramck /tu nie znaleziono spolszczenia/ w Detroit, brudnawych, tandetnych, coraz częściej zasydlanych przez Czarnych i Latynosów. Tymczasem potomkowie nie znających języka i miejscowych zwyczajów emigrantów szybko okazują się nie gorszymi od innych Amerykanami, a awansowawszy do klasy średniej wyprowadzają się z "polskiego getta" do zamożniejszych dzielnic. To getto - wciąż zasilane przez napływające z kraju kolejne fale i transporty taniej siły roboczej - było formacją trwałą gdzieś do połowy naszego stulecia i nawet poniekąd dziedziczną, bo wielu pozostawało w nim na stałe, przejmując od rodziców kieszkałą znajomość języka i takąż pozycję społeczną; w ostatnich dziesięcioleciach getto rozpada się, nie zasilą go już najnowsza emigracja o wiele lepiej językowo i zawodowo przygotowana do zaoceanicznego życia, zapełniają ją co najwyżej wyzyskiwani przez gettowych przedsiębiorców "walcjusze" bez prawa pracy i pobytu. Pod względem przeciętnej zamożności polska grupa etniczna znajduje się na czwartym miejscu w USA! Ustupujemy oczywiście Anglosasom i Żydom, ale nie jesteśmy gorsi na przykład od Włochów. Wynika to z pracowitości i oszczędności Polaków, wśród których prawie nie ma /wyjąwszy nałogowych alkoholików/

prawdziwej biedy, podobnie jak prawie nie ma wielkich milionerów: dominuje stateczna, zamożna klasa średnia i obok niej nigdzie nie rejestrowani "wakacjusze". Mniejszy niż innych nacji wpływ polskiej grupy etnicznej na sprawy publiczne USA wynika po prostu z jej niezorganizowania, braku wspólnego ośrodka opiniotwórczego i głęboko zakorzenionej niechęci do polityki.

Mitem jest istnienie jakiegś zorganizowanej polskiej grupy nacisku oddziaływającej na polityków amerykańskich w Waszyngtonie; całe "The Polish Lobby" to Jan Nowak-Jeziorański, Zbigniew Brzeziński i parę jeszcze zapracowanych osób działających bez szerszego poparcia i środków finansowych, jakie troszcząca się o swoją pozycję grupa etniczna powinna łożyć na poprowadzenie odpowiedniego biura dostarczającego materiały politykom, wyrażającego w razie potrzeby stanowisko polityczne tej grupy, zabiegającego o znajomości, kontakty, wywierającego dyskretny wpływ na kulisy polityki. Gdy tych ludzi nie stanie, skończy się nawet obecny, doraźny i "po partyzancku" wywierany wpływ. Z młodszego pokolenia próbował coś robić w tym kierunku Piotr Mroczek zakładając fundację "The Solidarity Endowment" mającą tak wspierać "Solidarność" w kraju, jak oddziaływać na polityków waszyngtońskich: fundacja od początku borykała się z ubóstwem finansów, aż padła, a Piotr został ostatnio dyrektorem polskiej sekcji "Wolnej Europy" w Monachium. Próbowali - też z jeszcze niżerniejszym zapleczem finansowym - działacze grupy "Pomost"; skutek był proporcjonalny do zaplecza.

Jeszcze jednym mitem, o którym warto wspomnieć jest szczególne jakoby zainteresowanie Polską polityków amerykańskich wyrażane często w okolicznościowych przemówieniach i sentymentalnych gestach. Są oni - bo takie obowiązują reguły w tutejszym życiu politycznym - mistrzami reklamy, specjalistami od pustych gestów właśnie. Dlatego każdy kandydat na prezydenta lub gubernatora odwiedzi polską dzielnicę, sfotografuje się z krakowianką, zje porcję "polska kiełbasa". Podobnie jak wyrazi poparcie dla "Solidarności" i wolnościowych dążeń "dzielných Polaków"; wie bowiem, że nic lub niewiele go to kosztuje, a może procentować wyborczymi głosami. Tymczasem to amerykańscy, nie zaś polscy wyborcy decydują o ich klęsce lub zwycięstwie, amerykańskim, nie zaś polskim interesem politycznym muszą się oni kierować. Prawdziwym partnerem i wyzwaniem politycznym dla USA jest Rosja - obojętnie jaka by ona nie była. Dlatego jedyną polityką wschodnioeuropejską, jaka budzi zainteresowanie w Waszyngtonie jest polityka wobec ZSRR, jedynie Rosja i republikami radzieckimi zajmują się tsm naprawdę, a jeśli Polska, to tylko jako dokuczliwym wrzodem na tyłku przeciwnika; ostatnio w tej roli występować zaczyna cała podporządkowana ZSRR Europa Środkowa, nie zaś tylko krnąbrny kraj nadwiślański. Stąd też zainteresowanie "pierestrojką" znacznie przewyższa zainteresowanie "Solidarnością".

Wart przypomnienia jest też jeszcze inny aspekt dziejów polskich w USA. Ośrodkiem każdego polskiego getta była parafia; tu biło nie tylko serce polskości, ale był też azyl, gdzie można się było schronić przed wrogim i niezrozumiałym światem, szukać pomocy u jedynego wykształconego rodaka, jakim był ksiądz. Narodowa Demokracja miała otwarte pole działania i pozyskiwania sympatyków właśnie w gettowych, ksenofobicznych, skupionych dookoła plebanii społecznościach emigranckich okresu I wojny światowej i międzywojnia; jeśli w kraju zwyciężył Piłsudski, to na emigracji - zwłaszcza w USA bezapelacyjnie Dmowski. To zostało; polskie getto jest do dziś klerykałne, endeckie, antysemickie, ksenofobiczne, nietolerancyjne, zakompleksione. Ciemnogród jest tu dwa razy ciemniejszy niż w kraju. Stąd wynika dodatkowo i niebagatelny powód dzisiejszej ucieczki z polskich dzielnic warstw zamożniejszych, wykształconych, dobrze czujących się w codziennym życiu i w kulturze amerykańskiej. Tymczasem jeszcze współczesna generacja głównych postaci Kongresu i szefów głównych polskich organizacji w USA, to typowi przywódcy gettowi starego typu. Politycznie polskie getto - tak jak wszystkie, mniejszości etniczne i inne grupy systematycznie korzystające z opieki społecznej - było powiązane z Partią Demokratyczną i to też jeszcze bardziej odsuwało potrzebę uczestnictwa w amerykańskiej grze politycznej; i tak wiadomo było, że Polacy zawsze głosują na demokratów. Zmianę przyniósł dopiero przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kiedy znaczna część Amerykanów polskiego pochodzenia oddała głosy na Reagana, czego powodem były zarówno interesy ekonomiczne tak przedsiębiorców, jak robotników, a także sympatia do "Solidarności" i awersja do ZSRR. Dziś większość Polaków ob staje przy republikanach, co spowodowało także prerepublikańską orientację kierownictwa Kongresu, ale bynajmniej nie oznaczała ona chęci do wzięcia udziału w ame-

rykańskiej grze politycznej, wymagania czegokolwiek od popieranych kandydatów, rozliczenia ich ze zobowiązań. Wybór Edwarda Moskala na stanowiska prezesa Związku Narodowego Polskiego i Kongresu Polsko-Amerykańskiego zajmowane poprzednio przez śp. Alojzego Mazewskiego oznaczał kontynuację linii starych przywódców gettowych, oznaczał dominację w Kongresie postaw i interesów pokolenia zaawansowanego wiekiem, skupionego w stowarzyszeniach samopomocowych i kombatanckich, słabo zorientowanego w sprawach polskich, dalekiego od zainteresowań i temperamentów politycznych. Zaprzeczona została w tych wyborach /dokonywanych zresztą przez wąską Radę Dyrektorów Kongresu/ szansa powołania na to stanowisko albo działacza młodszego pokolenia, albo przynajmniej dodania "staremu" przywódcy, "młodego" zastępcy. To zwyczajowo "starych" wydaje się mieć daleko sięgające konsekwencje, z których sami Polacy w USA jeszcze nie zdają sobie sprawy. Na pewno odepchnięcie młodszych i bardziej dynamicznych pokoleń od Kongresu - zarówno z emigracji najnowszej, jak i spośród tej anglojęzycznej młodzieży polskiego pochodzenia, która chce pamiętać o swych związkach ze starą ojczyzną - okaże się nieodwołalne.

Kongres jest, jaki jest i inny już nie będzie. Czy znaczy to, że jest zły? Skądże. Dobrze, że jest chociaż taki. Jest w końcu przedstawicielstwem /coś z tego, że mało reprezentatywnym?/ największej, najbogatszej i potencjalnie najwięcej mogącej emigracji polskiej w świecie. Są w jego władzach ludzie tak wspaniali i zasłużeni dla kraju, choć urodzeni w USA, jak Bonawentura Migajta, wieloletni przewodniczący Komitetu Pomocy Opozycji Demokratycznej przy oddziale Kongresu na stan Illinois /kilka miesięcy temu ustąpił z funkcji ze względu na podeszły wiek/, człowiek, którego ciężkiej i prawie samotnie prowadzonej pracy działacza "Solidarności" czy KFN-u zawdzięczają kierowaną do nich pomoc w najczarniejszej nocy stanu wojennego. A przecież nie on jeden... Kongres utrzymuje i wchodzi w jego skład organizacje - mimo różnych interesów wiążących "Milwaiki" bądź "Grinpojent" z PRL-em - postawę nieprzejednania niepodległościową, opowiada się zdecydowanie za "Solidarnością". Jest klerykalny, endecki, nieruchawy i trochę zadufany w swe mity i sny o rzekomej potędze. I mimo wszystko ofiarny, zważywszy niechęć rodaków do wszelkich kwest i świadczeń; najchętniej świadczy zresztą /zgodnie z preferencjami dominującego w nim starszego pokolenia/ na pomniki, na cele związane z Kościołem i akcje charytatywne, mniej chętnie - mimo ofiarnej pracy takich ludzi jak wspomniany tu Migajta - na "Solidarności" i opozycję, zupełnie odwraca się od celów ściśle politycznych. Ma do tego prawo: trudno by ktośkolwiek narzucił rodakom z USA sposób użytkowania ich pieniędzy zebranych na cele społeczne.

Tu wypada wspomnieć o jeszcze jednym mieście krajowym: otóż nie Kongres Polsko-Amerykański jest głównym dostarczycielem środków finansowych za zasadzie omija Kongres, a dawcami pomocy są związki zawodowe i fundacje zajmujące się krzewieniem demokracji i wolności słowa w świecie /np. The National Endowment for Democracy/. Sławny milion przekazany potem przez Lecha Wałęsę na mającą powstać fundację służby zdrowia przynajmniej Kongres USA. W tej skali datki organizacji wchodzących w skład Kongresu Polsko-Amerykańskiego i wyniki organizowanych kwest pod kościołami lub podczas różnych imprez, to sumy mizerne, lecz pozwalające na paczki i zapomogi dla działaczy, redakcji, bądź innych funkcjonujących grup.

Czy Kongres może być inny? Wątpię. Jest taki, jacy są członkowie zrzeszonych w nim organizacji, zwłaszcza bogatszych. Emigracja najnowsza w zasadzie omija Kongres, a "starzy" żywią do "młodych" głęboką nieufność, podejrzewając ich - nie bez słuszności - iż chcieliby przejąć ich dorobek, mając też za złe szybki i skuteczny okres adaptacji, podczas gdy oni latami myli przysłowiowe garnki w restauracjach. Zapomnieli jednak, że w międzyczasie wynaleziono automaty do mycia naczyń, by nie wspomnieć o innych jeszcze zmianach świata. Nie inaczej jak dziś z "solidarnościową" było wczoraj z emigracją "żołnierską", nim ją jeszcze starsi stopniowo przyjęli i zaakceptowali.

Co czynią młodzi? W okresie wojny - w opozycji do Kongresu kierowanego przez Karola Rozmarka - istniała organizacja, o której mało kto dziś pamięta: Komitet Narodowy Amerykanów Polskiego Pochodzenia /KNAPP/ zajmująca w przeciwieństwie do Sikorskiego i popierającego go Rozmarka stanowisko zdecydowanie przeciwne ugodzie z Sowietami. KNAPP - którego tron stanowią postaci związane z Sanacją - bardzo gwałtownie przestrzegali przed tymi dokiadnymi wydarzeniami politycznymi, które przyniosła Jaita. Jak widać, Kongres pozostał. KNAPP - choć miał rację - nie objął swym wpływem

szerszych kręgów polskich w USA i zmarł na zwyczajny w takich razach urąg organizacyjny. Pod koniec lat siedemdziesiątych - w wyraźnej opozycji do Kongresu - powstał "Pomost" jako organizacja polityczna młodego pokolenia emigracji o wyraźnym konserwatywnym obliczu; jego założycielami byli zarówno urodzeni tu młodzi Amerykanie polskiego pochodzenia nie akceptujący przywództwa swoich ojców czy nawet dziadków, a także młodzi, żyjących poza gettem i jego mitami, dobrze czujących się w Ameryce, angażujących się aktywnie w amerykańskie życie polityczne. Niestety na dalszych losach "Pomostu" zaważało kilka charakterystycznie polskich obciążań. A więc po pierwsze, nieumiejętność oddzielenia różnicy poglądów od wzajemnego zwalczania się, bowiem od razu ogromna część energii tak "Pomostu" jak Kongresu poszła na obopólny bojkot i walkę. Po drugie, sektarstwo polityczne każące wielu działaczom i ośrodkom "Pomostu" widzieć "kolaboranta" albo "agenta" w każdym, kto nie pokrzykiwał dostatecznie hałaśliwie na "komunę". Po trzecie, "potępienieże swary", bowiem w latach 1987/88 "Pomost" - przynajmniej w swym głównym ośrodku, jakim jest Chicago - skłócił się wewnętrznie, co skończyło się procesem sądowym, pomówieniami o machlojki finansowe i organizacyjne, kompromitacją "Pomostu" wśród "zwyczajnych" emigrantów, rozżaleniem ludzi, którzy tej organizacji zawierzyli. Jeśli istnieje prawdziwa agencja - a istnieje na pewno - to jej celem jest taki właśnie stan organizacji młodych antykomunistów, bo nie krzyki są tu zagrożeniem, lecz organizacyjna siła i jej wpływy w kulisach amerykańskiej polityki. A na to "Pomost" w pewnym okresie miał realne szanse. Obecnie część członków dawnego "Pomostu" z jednym z jego założycieli Krzysztofem Racem na czele, usiłuje kontynuować działalność pod inną nazwą, określając się jako "organizacja polityczna młodych konserwatystów"; życzą im większego niż miał "Pomost" powodzenia, ale fatalnych skutków dotychczasowych zaszczości już się nie odwróci. Również inna organizacja polityczna "Freedom for Poland" założona w Chicago przez działaczy "Solidarności" nie zyskała szerszego poparcia i wpływu. Widać to choćby podczas demonstracji i wieców zwoływanych z okazji polskich rocznic niepodległościowych, albo choćby w zeszłym roku dla poparcia ówczesnych strajków: gromadzą tylko kilkusetosobowe grupki najwytrwalszych działaczy, ogół polski pozostaje głęboko obojętny.

Czy mogłoby być inaczej? Owszem, wystarczy spojrzeć się tamtejszym żydom, którzy - choć mniej liczni od Polaków - tworzą jedną z najpotężniejszych grup politycznego nacisku w USA. Wynika to nie tylko z bogactwa /są też liczni niezamożni żydzi zamieszkałi zwłaszcza w nowojorskiej dzielnicy Williamsburg popołu z Czarnymi/, ale zorganizowania i wewnętrznej solidarności. Imponująca jest ich opieka nad nowo przybyłymi rodakami, którym udziela się pożyczek i wsparcia w interesach; rzecz wśród Polaków niebywałą. Jeszcze mniej liczni Ukraińcy również imponują zwartością organizacyjną, świadomością interesu narodowego, gotowością łożenia na wspólny cel. W efekcie liczba katedr ukrainistyki na uniwersytetach /katedry takie można ufindować/, liczba ośrodków myśli ukraińskiej, a zapewne i wpływy polityczne Amerykanów pochodzenia ukraińskiego, są wyższe od polskich. Pytałem kiedyś znajomego działacza ukraińskiego w USA - jak oni to robią?

- Bardzo prosto - odpowiedział. - Wysyłamy naszych ludzi do wszystkich rodaków prowadzących jakieś interesy albo dysponujących majątkiem i grzecznie prosimy o datki na Kongres Ukraińsko-Amerykański. Listę ofiarodawców publikujemy w naszej prasie, ale publikujemy także listę tych, którzy odmówili.

Polskie piekło nad Hudsonem, Potomakiem czy jeziorom Michigan jest niczym innym jak tylko skarykaturowaną repliką polskiego piekła nad Wisłą. Żydy potrafili przekonać świat, że Holocaust nie był tylko masowym morderstwem, epizodem z powszechnej historii rzezi, że był czymś więcej, sprawą, o jakiej nikt nie powinien zapomnieć. Potomkowie obywateli wielkiego państwa federacyjnego, które było kiedyś najbardziej zaawansowaną demokracją europejską, nawet nie marzą o tym, aby przekonać świat, że brak demokracji w "sercu Europy" to nie skrzeczenie zaścianka, lecz stojące przed kulturą i polityką europejską wyzwanie.

# Kilka uwag o zastępczej służbie wojskowej

W lipcu 1988 roku Sejm wprowadził do ustawy o powszechnym obowiązku obrony przepisy o służbie zastępczej. Mogło się wydawać, że w ten sposób rozwiązany został problem osób odmawiających pełnienia służby wojskowej ze względu na sprzeciw sumienia. Nie będzie już demonstracji, odsyłania książeczek wojskowych i kolegów, "kaloryferzy"<sup>1</sup> będą pracować, a nie siedzieć - krótko mówiąc, wszyscy będą zadowoleni. I sami zainteresowani i Ruch "Wolność i Pokój", który osiągnął jeden ze swych głównych celów, i władze, mogące wykazać się humanitaryzmem, a przy okazji mające o jeden problem mniej. Tak dobrze niestety nie jest, choć nowe przepisy to bez wątpienia krok naprzód. Zaczynjmy może jednak od tego, co zostało w nich zawarte.

Służba zastępcza przeznaczona jest dla osób, którym "przekonania religijne lub wyznawane zasady moralne" nie pozwalają na odbycie służby wojskowej. Uzasadnione wnioski kieruje się - za pośrednictwem wojskowej komendy uzupełnień - do rejonowej komisji poborowej. Można to zrobić najpóźniej w dniu, w którym poborowy ma otrzymać kartę powołania. Osoba, która złożyła wniosek, do czasu podjęcia ostatecznej decyzji w jej sprawie nie może być powołana do służby wojskowej.

Podania rozpatruje rejonowa komisja poborowa w składzie poszerzonym o przedstawicieli prezydium właściwej rady narodowej i PRON. Instancją odwoławczą jest wojewódzka komisja poborowa, do której - oprócz wyżej wymienionych - dodatkowo powołuje się przedstawiciela wydziału do spraw wyznań. Decyzja tej komisji jest ostateczna.

Jeśli wniosek o służbę zastępczą zostanie uwzględniony, skierowana do niej osoba wzywana jest do wydziału zatrudnienia, gdzie otrzymuje przydział do konkretnego zakładu pracy. Służba zastępcza trwa trzy lata /dla absolwentów szkół wyższych dwa lata/ i polega na pracy w zakładach opieki społecznej, ochronie środowiska oraz gospodarce wodnej i komunalnej.

Przepisy regulujące zasady ubiegania się i odbywania służby zastępczej zawierają szereg słabych punktów. Jednym z najważniejszych jest powierzenie decydowania o przyznaniu służby zastępczej komisjom poborowym. Ich skład /przedstawiciele administracji państwowej, wojska, prezydium rady narodowej i PRON oraz lekarze/ nie może wzbudzać zaufania w sytuacji, gdy ocenie podlegają niezwykle delikatne i złożone kwestie związane z sumieniem człowieka. Jeśli dodać do tego brak jasnych kryteriów kierowania do służby zastępczej, przestaje dziwić zupełna dowolność podejmowanych decyzji czy uzasadnienia takie jak to: *"wyznanie wiary katolickiej nie klęci się z obowiązkiem służby wojskowej"*. Od poborowych deklarujących poglądy pacyfistyczne żąda się niekiedy zaświadczeń z WiP-u lub wykazania się znajomością nazwisk "przywódców". Częściej jednak rozstrzygającym dowodem jest "wywiad środowiskowy" na temat "działalności w ruchu pacyfistycznym".

Próbą przeciwdziałania tego rodzaju zjawiskom jest powstanie na wniosek WiP-u niezależnej komisji, mającej nadzorować proces przyznawania służby zastępczej. W jej pracach uczestniczą intelektualiści i działacze społeczni, cieszący się ogólnym zaufaniem: ks. prof. Bronisław Dembowski, doc. Lech Falandysz, dr Stanisława Grabska, Artur Międzyrzeczki, ks. bp Władysław Miziołek, prof. Jan Rosner, ks. dr Jan Sikorski, emerytowany gen. bryg. doc. Adam Uziębło oraz prof. Janusz Ziółkowski. Sekretarzem komisji jest Jacek Szymanderski. Na wnioski osób, których podania zostały odrzucone, komisja będzie wydawać stosowne opinie. Będzie także dążyć do zwiększenia społecznego wpływu na przyznawanie i warunki odbywania służby zastępczej.

1 - W języku angielskim osoba odmawiająca służby wojskowej ze względu na sprzeciw sumienia określana jest mianem "conscientious objector", w skrócie c.o. Stąd polski termin "kaloryfer".

Kolejną wadą nowych przepisów jest umożliwienie wysłania skierowanej do służby zastępczej osoby nawet na drugi koniec Polski. W praktyce wygląda to tak, że część "kaloryferów" z Krakowa wyekspediowano do Olsztyna, w Bieszczady czy na Śląsk, a do Krakowa przyjeżdżają oni z Wałbrzycha czy Opola. Wrocławianin może trafić do Łodzi, Piły lub Łądką Zdroju itd. Praktyki takie nie znajdują żadnego racjonalnego uzasadnienia i służą chyba jedynie rozwianiu obaw /czyich, doprawdy nie wiem/, że tak niebezpieczni osobnicy pozostawieni w domu, mogliby się spotykać i knuć... Nic więc dziwnego, że to posyłanie po kraju jest odbierane jako kara za niechęć do munduru i że są tacy, którzy na służbę zastępczą "gdzieś w Polsce" się nie godzą.

Ze zupełny absurd uważać należy wyłączenie szpitali z listy zakładów, w których odbywana może być służba zastępcza. Zarezerwowano je dla junaków z obrony cywilnej. Niektórzy z nich trafiają także do domów opieki społecznej. A "kaloryferom" każe się kopać rowy /gospodarka wodna/ lub wywozić śmieci /komunalna/. Aż strach pomyśleć, co oznacza praca w ochronie środowiska...

Trzeba też wspomnieć w tym miejscu o swoistej indoktrynacji, jakiej na specjalnie zwoływanych naradach poddawani byli przełożeni osób odbywających służbę zastępczą. Co tam mówiono, pozostaje zagadką. Ale znajomi "kaloryferzy" opowiadają, że dobre stosunki z kierownikami skończyły się, gdy wrócili z takiej narady. Zaś *"w razie naruszenia uprawnień poborowego /.../ może on wnieść skargę do kierownika zakładu pracy"*. I nigdzie więcej. Może jeszcze - a jest to przestępstwo - porzucić pracę. Przypadki takie miały już miejsce.

Sytuacja materialna osób odbywających służbę zastępczą to problem złożony. Z jednej strony "kaloryferzy" mają zapewnić minimum egzystencji, z drugiej - na nic więcej niż egzystencję ich nie stać. Zasadnicze wynagrodzenie wynosi 6400 zł, do tego dochodzi całodzienne wyżywienie i - gdy służba jest pełniona poza miejscem zamieszkania - bezpłatne zakwaterowanie. Jeżeli zakład pracy nie zapewni wyżywienia, wypłacany jest równoważnik - 630 zł dziennie. Wspomniane 6400 zł musi wystarczyć na odzież i obuwie oraz potrzeby kulturalne. Porównanie tej sumy z cenami pozostawiam czytelnikom.

W najtrudniejszym położeniu znajdują się "kaloryferzy" obarczeni rodziną, dla której muszą wynajmować mieszkanie, a nie mogą przy tym liczyć na pomoc rodziców czy tściów. Jeśli zostaną uznani za jedynych żywicieli - co nie jest rzeczą łatwą - ich najbliżsi otrzymują zasiłki, wyrównujące dochody do poziomu 18 500 zł na żonę, 15 700 zł na pierwsze i po 13 900 zł na kolejne dzieci. Zważywszy, że za mieszkanie trzeba nieraz płacić 40 - 50 tys. zł miesięcznie, nie jest to zbyt wiele.

W osobliwy sposób przepisy o służbie zastępczej traktują studentów. W myśl ustawy o powszechnym obowiązku obrony ich służba wojskowa polega na uczestniczeniu w zajęciach w studium wojskowym oraz odbyciu - po ukończeniu nauki - przeszkolenia wojskowego. Absolwenci większości szkół wyższych powoływani są do tzw. długotrwałego przeszkolenia wojskowego /t.j. na 12 miesięcy/. Krótkotrwałe /do 3 miesięcy/ przeszkolenie wojskowe przeznaczone jest dla absolwentów akademii medycznych. Studenci Wyższych szkół morskich odbywają jedynie zajęcia w studium wojskowym.

Tymczasem art. 198 ustawy o powszechnym obowiązku obrony stwierdza: *"Poborowi przeznaczeni do /.../ długotrwałego przeszkolenia wojskowego /.../ mogą, ze względu na przekonania religijne lub wyznawane zasady moralne, występować do rejonowej komisji poborowej z pisemnymi wnioskami o skierowanie ich do odbycia służby zastępczej"*. Oznacza to, że medycy i marynarze pozbawieni są w ogóle możliwości ubiegania się o służbę zastępczą, natomiast pozostali mogą to robić jedynie w odniesieniu do części służby wojskowej. Na czas zajęć w studium wojskowym muszą - jeśli chcą ukończyć studia - zapamiętać o swych przekonaniach. Kwestią zgodności tych rozwiązań z zasadami równości wobec prawa i wolności sumienia powinna się chyba zająć pani profesor Łętowska.

Na koniec coś, czego nie ma w przepisach, a co może spotkać młodego człowieka składającego podanie o służbę zastępczą. Nie najlepiej pojęta troska o obronność państwa skłania niektórych pracowników wojskowych komeńd uzupelnień do stosowania szczególnych praktyk, od zniechęcania *"dopisz, czy chcesz w Bieszczady czy na Żuławy"*, do oszukiwania. W tym przypadku cel jest jeden: *"woisnąć"* poborowemu karty powołania. *"Wniosek złożysz pan później"*, słyszy takie delikwent, a gdy przychodzi: *"później"* okazuje się, że jest już za późno.

Między innymi w celu zapobiegania takim niespodziankom utworzone zostały w kilkunastu większych miastach punkty informacyjne dla "kaloryferów". Z jednej strony służy one poradą prawną, z drugiej - zbierają dane dla wspomnianej komisji nadzorującej proces przyznawania służby zastępczej. Punkty te korzystają zwykle z gościny kościołów - w Warszawie jest to kościół pod wezwaniem św. Józefa w Ursusie, w Krakowie - Matki Bożej Częstochowskiej na osiedlu Szklane Domy, we Wrocławiu - św. Doroty przy ul. Świdnickiej.

W przedstawionych powyżej uwagach dominują raczej ciemne barwy. Oddajmy jednak sprawiedliwość nowym przepisom /i ich twórcom/: podstawowy problem został rozwiązany. Droga do służby zastępczej, choć kręta i wyboista, jest już otwarta. Po pierwszym kroku konieczne są jednak następne, które usuną opisane powyżej wady. Ich celem powinna być służba zastępcza dostępna dla każdego, kto o nią występuje, oraz oparta nie na zasadzie "równowagi dolegliwości", lecz na zasadzie jak największych korzyści dla społeczeństwa. Czy i kiedy nastąpią odpowiednie zmiany - nie wiem. Ale jestem optymistą.

M A C I E J K L E P A C Z

K A R O L Ż Y C Z - K O W S K I

# Obiad zjedzony, dzień zaliczony

## ZWYCZAJE ŻOŁNIERZY SŁUŻBY ZASADNICZEJ

Zasadnicza służba wojskowa trwa w LWP 2 lata. Dwa lata, czyli ponad 720 dni. Ta niepokojąca liczba staje się jednak olbrzymią, jeśli odliczyć dzień po dniu. Tak właśnie czynią wszyscy żołnierze; całe życie szeregowca w wojsku kręci się wokół jednej "cyfry" - ilość dni do cywila /DDC/. Z tą, tak wolno zmniejszającą się liczbą związane są wszelkie obyczaje wojska; pozycja żołnierza w kompanii znacznie mniej zależy od stopnia wojskowego, niż od długości trwania jego służby. Również w żargonie wojskowym, tak bogatym w swoiste słownictwo, najwięcej zwrotów i określeń dotyczy magicznej liczby DDC.

Pierwsze pytanie, jakie zadaje się żołnierzowi przychojącemu z innej jednostki, dotyczy jego *fali*. Tym mianem określa się każdy pobór, któremu w celu łatwiejszej wymiany informacji nadano specyficzne nazwy. I tak żołnierz rozpoczynający służbę w styczniu nazywany jest *Pinguwmem*, dalej zgodnie z kalendarzem idą *Boctany*, *Kolarze*, *Fraglesi*, *Kosatany* i *Mikołaje*. Żołnierze rozpoczynający służbę w terminie nietypowym dla danej jednostki nazywani są *Dzikami*. Szeregowcy z tego samego poboru związani są niejako solidarnością grupową; z dumną wyższością traktują kolegów z następnej *fali*.

Doświadczony żołnierz nie musi się nowo przybyłego pytać o jego *falę*. On to wie po jednym rzucie oka na strój nowego. Wszyscy żołnierze w jednostce noszą w zasadzie identyczne mundury. A jednak stary żołnierz na podstawie wyglądu kolegi oceni jego staż w armii z dokładnością do kilku miesięcy. *Kot* - młody żołnierz, nosi wysoko na brzuchu mocno ściągnięty pas, opinacze butów zapina na ostatnią dziurkę. Po 6 miesiącach służby może poluznić nieco pas, popuścić opinacze o jedną dziurkę, na pasie zakłada jedną *bojówkę* - małą sprzączkę służącą do przytroczenia bagnetu lub manierki.

Po roku służby żołnierz poluźnia dalej pas, zakłada nań drugą *bojówkę*, popuszcza opinacze na trzecią dziurkę, nosi rozpięty guzik od kieszonki na lewym ramieniu. Na zewnątrz kieszeni na piersi wystają skuwki od długopisów. Aby pokazać się z właściwej strony starzy żołnierze - *dziadkowie* - kupują i z sześć długopisów, obsadki których zdobiją ich piersi jak medale. Na 150 DDC *dziadek wchodzi na falę* - dni do wyjścia zaczyna odliczać na metrze krawieckim. Krzyżuje *bojówki* na pasie dyndającym na czwartą dziurkę. Cały jego wygląd wskazuje jednoznacznie, że nic go w wojsku już nie interesuje, że czuje się on już cywilem.

Tylko młody żołnierz ubrany jest ściśle regulaminowo, z pasem o cztery palce niżej dolnego szwu zewnętrznej kieszeni mora. Starzy żołnierze przestrzegają regulaminu w swoisty sposób: każdej *fali* "przysługuje" w danej chwili inny sposób noszenia mundur. I jeśli jakiś *kot* przez nieuwagę będzie nosił za nisko pas, to każdy *dziadek* natychmiast go *podciąga*. Bynajmniej nie z powodu przemożnej chęci skwapliwie przestrzegania regulaminu, a tylko dlatego aby młody żołnierz nie uzurpował sobie praw, które mu się w danej chwili nie należą. O ile poluźnienie pasa czy opinacze rzeczywiście może ułatwić chodzenie w mundurze, to sprawa *bojówek* czy kieszonki na rękawie ma wyłącznie znaczenie symboliczne. Z czasem odbyte już służby wiążą się istotne przywileje, dlatego strój szeregowca odgrywa podobną rolę jak pagony żołnierza zawodowego - świadczyły o jego pozycji w hierarchii wojskowej.

Młody żołnierz - *kot* - nie ma w jednostce żadnych praw. A prócz rozkazów przełożonych wykonywać musi także polecenie każdego starego żołnierza. Sprząta przypadające na starego rejonu budynku, zmywa jego męażki, ściele mu łóżko. Jest przez starych szkolony i wychowywany - czasami nieco brutalnie. Młodemu nie przysługuje na przykład przywilej siedzenia czy leżenia na łóżku podczas dnia. Jeżeli usiadzie to "*będzie go parzył*" i doprotliwie nastawione grono *dziadków* pomoże mu przez zaciągnięcie go do łazienki i włożenie w ubranie pod zimną wodę.

Stary żołnierz w każdej chwili może młodemu kazać *tlóczyć*, czyli robić pompki; może kazać mu się czoięgać lub wprost karcieć go poprzez uderzenie w ucho czy w kark. Z najbardziej popularnym "*wypłacamem karków*" związana jest cała ceremonia. Na komendę *dziadka "Do karku!"* młody odpowiada: - *Szanowna rezerwo! Karczycho ostrzyżone, ogolone do przeglądu wystawione*. Po kilku uderzeniach *kot* z uznaniem wyraża się o swym starszym koledze: - *Dziękuję starej fali, że dobrze w kark wali. Przeszły mnie dreszcz i proszę o jesszecz*.

Poza wszechobecnymi *karkami* dużą popularnością /zwłaszcza wśród starych żołnierzy/ cieszą się *uszale*, *delbety* /walenie stołkiem w wypięte siedzenie *kota*/, *king-kongi* /uderzenie po klatce piersiowej *kota*/ czy tzw. *granaty*. Na przeciagły gwizd *dziadka* *kot* pada na ziemię i zaczyna *tlóczyć*. Następnie recytuje: - *Melduję wykonanie jednego granata i 40 pompek w celu nabrania tężyzny fizycznej i gotowości bojowej. Proszę o następny zestaw ćwiczeń*.

Stare wojsko urozmaica sobie monotonię długiej służby przez organizowanie ciekawych zabaw z udziałem *kotów*. Chyba najbardziej pasjonująca jest gra w *baranki*: dwa wybrane *koty* w hełmach trącają się głowami. Podczas *dnia słońca* *koty* chodzą w maskach przeciwwgazowych, a podczas *dnia nurka* poruszają się z głowami poniżej poziomu lamperii. Zabawa *alarm dla nietopery* polega na podwieszaniu się *kotów* pod górnymi łóżkami, a *szała grająca* jest odmianą znanego *salonowca* - uderzany w siedzenie *kot* głośno jęczy trzymając głowę w szafce nocnej.

Obowiązkim młodych żołnierzy jest znać *cyfrę starego* /ilość DDC/, nazwę miejscowości, z której pochodzi oraz trasę, którą stary jeździ do domu. Podczas *przepustki* *kot* czoięga się wkoło sali i pod każdym łóżkiem wykrzykuje nazwę kolejnych stacji na drodze starego na urlop. *Koty* bawią też *dziadków* opowiadając im o swych przygodach miłosnych lub usiłują ich rozśmieszyć udając Kaczora Donalda, któregoś ze Smerfów czy Muppetów.

Przechodząc przez próg drzwi każdej sali w koszarach młody żołnierz melduje się starym i prosi o pozwolenie wejścia do sali. Ten zwyczaj jest prostym naśladownictwem oficjalnego kodeksu zachowania się żołnierza: wchodząc do pokoju, w którym znajduje się żołnierz zawodowy, szeregowiec wypowiada regulaminową formułkę: "*Obywatelu chorąży*,



szeregowy Nowak prosi o pozwolenie wejścia".

Prośba kierowana do starego żołnierza jest o wiele barwniejsza:

"Ja, kot wielki,  
Większy od krowy holenderki,  
Z poszanowaniem dla starej sali  
Proszę o pozwolenie pozostania na sali"

Na co któryś z *dziadków* zgadza się łaskawie:

"Jak upadł, to padł!", i w celu zwiększenia sprawności fizycznej *kota* sugeruje mu wykonanie na wejście 10 pompek.

Młody żołnierz nie ma prawa wejść do łóżka nawet na 5 minut przed *capstrzykiem*. Gdy dyżurny przeciągłym wyciem "Na kompani! *capstrzyk*, *capstrzyk*!" oznajmi nadejście pory spoczynku, *kot* prosi któregoś z obecnych *dziadków* o zezwolenie na wejście do łóżka: "Słońce już zaszło, szmata już schnie,

Staję przy *koju* i marzę o śnie".

Stary żołnierz po pewnym czasie wspaniałomyślnie wyrazi swą zgodę słowami "Na *Koję cyk*", lecz aby było śmieszniej może kazać młodemu na górne łóżko wchodzić *wymykiem*. Dla niewprawnego żołnierza nie jest to czynność zbyt łatwa, ale pragnienie snu jest silne - w końcu każdy się nauczy.

Oczywiście na żadną z tych czynności młodzi żołnierze nie mają najmniejszej ochoty. Robią je, gdyż jak uważają, po prostu im się 'o opłaca. Mogliby próbować stawiać się *dziadkom* i nie wykonywać ich poleceń. Mogliby, ale raczej się nie *burzą* - taki samoty protest nie ma szans powodzenia. Starzy dochodzą bowiem swych niepisanych praw w dwojaki sposób. W nocy, podczas nieobecności kadry, starzy żołnierze praktycznie rządzą wojskiem: mogą o każdej porze zbudzić niepokornego *kota*, aby skutecznie wymusić na nim uległość. Z drugiej strony stare wojsko - nieformalna elita kompanii, powiązana jest rozmaitymi układami z oficjalnie uznawaną władzą: kapralami, pisarzami, pomocnikiem szefa. Dlatego też każdy niepokorny *kot* może być pewien, że to właśnie on zostanie wyznaczony na kolejny dyżur do kuchni, do obierania ziemniaków, do czyszczenia ubikacji czy pastowania podłogi na korytarzu. Ten skomplikowany spłot nieformalnych układów podległości i oficjalnej zależności podważanych od przełożonych sprawia, że młodzi żołnierze nie mają wielkich szans na wyrwanie się spod dominacji starych żołnierzy. Jedynie co im pozostaje, to cierpliwie czekać na swoją kolej, by po roku służby samemu *ścisnąć* następnego młodą rocznik.

Liczba 720 DDC określa straszliwie długą *kity* młodego *kota*. Po 6 pierwszych miesiącach służby każdy *kot* może dostąpić zaszczytu *pracycinki kity*. Uroczystość ta poprzedzona jest *trzepaniskiem* - mocnym waleniem pasami w skórę delikwenta. Sama *pracycinka* wygląda podobnie, z tym że ciężko pracujący parciarnymi pasami *dziadkowie* popijają wódkę na koszt *pracycinanego*. Za alkohol na terenie koszar grożą srogie kary, do 2 tygodni aresztu włącznie, ale to już jest sprawa *kota*, aby w porę zdotyć wódkę na *pracycinkę*.

Mimo iż sama *pracycinka* nie wygląda atrakcyjnie z punktu widzenia *kota*, młodzi żołnierze sami ją organizują, robią listy, zbierają pieniądze, umawiają się z *dziadkami*. To wszystko po to, aby awansować w nieformalnej hierarchii wojska. Żołnierz po *pracycinie*, zwany *ogonem*, nie musi już meldować się *dziadkom*, może siedzieć na *koju* w ciągu dnia. Przeważnie jest już wtedy w jednostce następnego pobór i nasz *ogon* nie czuje się już więcej tym ostatnim w koszarach. Żołnierz, którego *kita* nie zostanie uroczysto przecięta, do końca swej służby traktowany będzie jak młody *kot*.

Młodym poborowym *opiekują się* bezpośrednio żołnierze równo o rok starsi służbą. *Dziadkowie* na 50 dni przed wyjściem do *cywila* organizują *obcinę* swoich podopiecznych. Jest to obrzęd pasowania *ogona* /po około 10 miesiącach służby/ na pełnoprawnego żołnierza. To on już w następnym miesiącu zacznie *ścisnąć* kolejnego młodego rocznik...

Sama uroczystość *obciny* nie różni się znacznie od *pracyciny*. Używa się tylko skórzanych pasów i chyba wódki leje się więcej. Oprócz *dziadków* celebrujących *obcinę*, wódkę popijają także *świadkowie* - o pół roku starsi stażem koledcy, którzy w przszłości poświadczą o *obcinie kity*. Żołnierz po *obcinie* otrzymuje tytuł *wicereserwy* i natychmiast zaczyna egzekwować swoje przywileje. Spi na dolnym łóżku, w stołówce nie czeka w kolejce, nie sprząta wyznaczonych mu rejonów, po *capstrzyku* ogląda tele-

wizję W łóżku trzyma grzałkę z żyłek - *buzię*, i wieczorami gotuje sobie herbatę. W czasie zajęć wojskowych nie przemęcza się, korzystając z prawie spontanicznej uł-przejności *kotów*, którzy zrobią za niego, co będą mogli. Gdy stary żołnierz wchodzi do sali pełnej *kotów*, wykrzykuje głośno swoją *cyfrę*. Młodzi z zazdrością odpowiadają chórem: *mało, mało lub pare*. Jeżeli przypadkiem na sali jest ktoś z mniejszą liczbą DDC od-powiada z lekceważeniem: *kosmos, kibel lub szambo*.

150 ostatnich dni służby odlicza się przy pomocy *fali* - specjalnie zdobionego me-trra krawieckiego. Stary żołnierz z radością świętuje moment *wejścia na falę*; perspek-tywa ukończenia służby staje się coraz bardziej realna, a jemu przysługuje już tytuł *rezerywy*. Dzień w wojsku liczy się zawsze z chwilą zjedzenia obiadu. Na 150 DDC sta-ry żołnierz rozpoczyna *falę* odcinając blaszaną końcówkę metra. Samą blachę rzuca do góry w tóku kolejki do stołki lub, za wiedzą kucharzy, do zupy lub kompotu. Młody *kot*, który złapie blachę lub wytowi ją z talerza, przez następne 2 tygodnie nabiera tymczasowego prawa nietykalności: żaden ze starych żołnierzy nie będzie go *ścigał*.

Każdego następnego dnia *rezerva* urywa po obiedzie jeden centymetr *fali*, wrzuca go do talerza, a wstając od stołu 3 razy stukła głośno widelcem w plastikowy talerz lub w menażkę. Na sto dni przed wyjściem do cywila po raz ostatni świętuje się *zmianę ko-du* - zmianę pierwszej cyfry DDC. Od tej chwili *dziadek* stukła po obiedzie już tylko dwukrotnie; przez ostatnie dziesięć dni puka jeden raz. Przez ostatnie 50 dni w wojsku stary żołnierz posługuje się tytułem *cywil*. Zaopatruje się w kupon totolotka i co-dziennie oprócz skracania coraz to mniejszej *fali*, skreśla na kuponie kolejną dyscy-plinę sportową.

Żołnierz *będący na fali* nie zajmuje się zbytnio bieżącymi sprawami wojska; myśla-mi już jest *w cywila*. On *ma za mało, cyfra mu blokuje* lub *fala nie pozwala*. Stara się nie wykonywać samemu dosłownie żadnej czynności; za niego zrobią młodzi. Zawcza-su przygotowuje się do upragnionego dnia. Zamawia u lokalnego specjalisty przygoto-wanie pamiętkowej chusty z kradzionego prześcieradła. Wyszywaniem, malowaniem czy ro-bieniem frędzli zajmują się w każdej jednostce specjalnie wyszkoleni fachowcy, któ-ry w ten sposób karabiają na alkohol.

Na kilka dni przed zakończeniem służby żołnierze jadą na ostatnią przepustkę, aby przywieźć ubranie cywilne. Przez całą służbę żołnierz nie przywiązał się zbytnio do munduru, zrzucając go podczas przepustki natychmiast po przyjeździe do domu. Teraz może legalnie trzymać ubranie cywilne w szatni. W koszarach wcale nie nowy mundur, ale właśnie *cywilki* są przedmiotem powszechnego pożądania.

Ostatnie dni w armii upływają na rozliczaniu się z wojskiem - zebraniu wielu poć-pisów na okazałej karcie obiegowej. *Rezerwa* wychodzi *do cywila* po ostatnim obiedzie w jednostce. Cała grupa chłopaków w ubraniach cywilnych, z barwnymi chustami na plecach, maszeruje dziarsko przez miasto do pierwszej lepszej knajpy z ochrypiłym śpie-wem na ustach:

*Niech żyje nam rezerwa, przez szereg długich lat*

*Gdy rezerwiści piją, to w sklepach wódki brak.*

*Rezerwa nie zapomniła, że młode wojsko jest,*

*Rezerwa w dupę dostała, koty dostaną też.*

*Przepustek już nie chcemy, ani urlopów też.*

*My chcemy do cywila, w cywila fajno jest.*

W knajpie przeważnie rzeczywiście zalewają się w trupa i z trudem utrzymując się na nogach z dużym wysiłkiem podążają na dworzec. Na ten dzień czekali przecież długo, bardzo długo. Marzyli o nim przez ponad 700 dni. Czyż można się dziwić, że gdy ten upragniony dzień wreszcie nadejdzie, nie pozostaje im nic innego, jak tylko pójść do baru i szybko się upić?

Stosunki między żołnierzami w armii są całkowicie zdeterminowane przez *cyfrę* - długość służby w wojsku. Ale i pomiędzy żołnierzami tego samego poboru rzadko obser-wuje się wzajemną życzliwość i solidarność. Jakoś nikogo nie przekonuje myśl, że łat-wiej byłoby znieść trudы służby mając oparcie w życzliwych kolegach. Wręcz przeciw-nie, do dobrego tonu należy robienie sobie nawzajem średnio dowcipnych kawałów w ro-dzaju chowania mundurów, butów czy polewania wodą śpiących.

W ciągu drugiego roku służby niektórzy żołnierze otrzymują awans na starszego sze-

regowca; na puste dotąd pagony przyszywają po jednej belce, zwanej *petem*. Awans nie jest zbyt mile widziany przez kolegów; stąd zwyczaj *gaszenia peta*. Świeżo awansowanego żołnierza koledzy ciągną za nogi, głową po podłodze *zapalanie*; następnie wkładają pod strumień zimnej wody *lgaszenie*.

Większość żołnierzy służby zasadniczej z niechęcią odnosi się do *bałantów* - podchorążych SPR /Szkoly Podchorążych Rezerwy/. Określenie to pochodzi od biało-bordowych naszywek na pagonach podchorążych - kolorach zbliżonych do barw ptaka łownego. Szeregowi żołnierze uważają za niesprawiedliwy przepis skracający mężczyznom po studiach służbę wojskową do jednego roku, gdyż nie można porównywać uciążliwości czynnej służby w armii z zajęciami w studium wojskowym. Widząc przechodzącego *bałanta* urządzają nań *polowanie* głośno polaczykując: - *Frr, frr. Pou! Pul Pui!*

Żołnierze każdego pododdziału tolerują wyłącznie swoich kolegów. Ta więź grupowa jest w pełni zrozumiała; bardziej irracjonalna jest otwarta niechęć lub wręcz nienawiść do żołnierzy sąsiedniej kompanii czy innej jednostki. Pojedynczy żołnierze na przepustce nawiązują często przyjazne stosunki z kolegami z innych oddziałów. Jeżeli jednak większa grupa szeregowców spotyka nieznaną sobie kompanię, bez żadnej bezpośredniej przyczyny zwraca się do nich z przekleństwami i złorzeczeniami. Być może w ten sposób mogą bez większych konsekwencji na przyszłość wyładować na kims obcym swoją złość i wściekłość.

Kilku żołnierzy, jadąc razem do domu, z reguły używa hermetycznego żargonu wojskowego, mocno nasyconego wulgaryzmami. Jednak gdy żołnierz pozostaje w przedziale sam, od razu przypomnia sobie inny język; z pasażerami rozmawia w miarę kulturalną polszczyzną. Wpływ nawet małej grupki kolegów na zachowanie się szeregowca podczas przepustki jest olbrzymi. Razem robią rzeczy, których żaden z nich nie zrobiłby sam; samotny żołnierz natomiast zachowuje się z grubszą biorąc jak *cywil*.

Opisane powyżej zwyczaje dotyczą konkretnej jednostki. W innych jednostkach niektóre punkty tego nieopisanego kodeksu zachowań i obyczajów różnią się w szczegółach, ale ogólny schemat jest taki sam. Każdy rocznik po rozpoczęciu swej służby buntuje się z początku; potem się z tym godzi; a po roku sam zaczyna *ścisnąć* młode wojsko, przekazując zwyczaje swym następcom. Na skutek dość dużej rotacji podczas służby i możliwości kontaktu podczas urlopu, lokalne obyczaje, podobnie jak żargon wojskowy, stają się znane także w innych jednostkach i nabierają charakteru ogólnopolskiego.

Oficjalny regulamin obowiązujący w LWP stanowczo zabrania jakiegokolwiek rozróżniania pomiędzy poszczególnymi poborami. Obowiązkiem kadry zawodowej jest zapewnienie w jednostkach *"właściwe stosunki między rocznikami"*, czyli zapobiec tępieniu młodych żołnierzy. I rzeczywiście zdarza się czasem, że stary żołnierz poniesie za *"naruszenie stosunków między ludzkich"* surowe kary, do kary aresztu włącznie. Jedną organizacją młodzieżową działającą obecnie w wojsku - Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej - też ma, jako jeden z głównych punktów swego programu, przyczynić się do zaniku nienormalnych układów, dających przywileje starszym rocznikom. Pomimo tych niewątpliwych wysiłków, pozycja starych żołnierzy w wojsku jest niezmienną, a kolejni roczniki przekazują swym następcom niepisany kodeks zachowań i skomplikowany ceremonial.

Jak podają historycy i wspominają ostatni żyjący żołnierze Legionów Polskich walczących podczas I wojny światowej, ich wojsko przypominało raczej *"wojujące towarzystwo"*, niż armię opartą wyłącznie o przestrzeganie regulaminów. W legionowych oddziałach panował powszechnie życzliwość wobec kolegów, solidarność, rzeczywisty szacunek do przełożonych, często miłość do dowódców. Ale wszyscy legionieści byli ochotnikami, wie- dzieli po co i dlaczego są w wojsku. Dlatego starali się, by swej niebezpiecznej i ciężkiej służby nie uczynić dodatkową nieznośną przez wrogie stosunki we własnych oddziałach. Także w Wojsku Polskim II Rzeczypospolitej stosunki między kolejnymi rocznikami wojska układały się inaczej niż obecnie.

W wojsku naturalną kolejną rzeczą zawsze będą istniały pewne różnice w pozycji szeregowych żołnierzy w zależności od czasu trwania ich służby. Żołnierz starszy stażem, przewyższający kolegów doświadczeniem, obyciem i wyszkoleniem może być kierowany do bardziej odpowiedzialnych lub nawet mniej uciążliwych zadań. Idealna równość nie jest ani możliwa, ani konieczna. Natomiast na pewno możliwa jest przebudowa całokształtu stosunku starego wojska do młodego. W wojsku jest także miejsce na wzajemną życzliwość, pomoc, poczucie solidarności. Ale zmian tych nie da się wprowadzić w ludowym.

Wojsku Polskim wyłącznie metodą rozkazów, wytycznych i regulaminów. Konieczne są daleko głębsze przemiany w świadomości żołnierzy. Nie da się zmienić wzajemnych relacji pomiędzy rocznikami, jeżeli szeregowy żołnierz nie będzie miał poczucia sensu służby, przekonania, że idąc do wojska naprawdę służy swej ojczyźnie.

KAROL ŻYCZKOWSKI

---

# Andrzej L. Kalinowski

PANSTWO

para militarna

oń zmobilizowany uzbrojony  
w cierpliwość

ona bezbronna  
zawiedzina

para militarna

z malarstwem w wózku  
Drzymały

walczą o pokój

EUTA

Nazwa art.: Dobrobut PRL  
rodzaj: całoroczne  
rozmiar: totalny  
produkcja: Rad-oskór  
gat.: zwyrodniały  
jakość: nie do zniesienia

język: obcy

cena det.: cztery /pokolenia/

przeznaczenie: piaska stopa  
życiowa...

reklamacje: .....  
1956, 1967, 1970, 1976, 1980  
1981, 1982, 1983

w najbliższym czasokresie przewidywany  
jest dalszy wzrost produkcji  
obuwia.

# MNIEJSZOŚCI NARODOWE w PRL

PIOTR LEWICKI

## Ukraińcy: warunki wyjścia z getta

Polska opozycja, jej wydawnictwa, orędownictwo Karola Wojtyły - Jana Pawła II w obronie praw jednostki i narodów, "Solidarność" i prasa katolicka, głównie "Tygodnik Powszechny" i "Znak", tworzą klimat, sprzyjający wychodzeniu Ukraińców z getta stworzonego i strzeżonego od ponad 40. lat przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Władze PRL oddały bowiem w 1947 roku w ręce MSW około 300 tysięcy Ukraińców, których Ludowe Wojsko Polskie, stosując zasadę odpowiedzialności zbiorowej, przymusowo wysiedliło jako przestępców z ojczyznych ziem na tzw. Ziemię Odzyskaną, w ramach Akcji "Wisła".

Wysiedlenie w sposób zasadniczy determinuje życie ukraińskiej mniejszości narodowej, tym bardziej, że władze PRL prowadzą przez cały powojenny okres szeroko zakrojoną propagandę antyukraińską, będącą jednym ze środków wynaradawiania Ukraińców. Opinię o wyłącznych i odwiecznych winach "hajdamaków-banderowców" napadających na bezbronnych Polaków podawano jako powód wysiedlenia najpierw podczas osiedlania Ukraińców wśród ludności polskiej /często rodem z Wołynia i Galicji Wschodniej/ przesiedlonej na tzw. Ziemię Odzyskaną, a następnie utrwalano młodemu pokoleniom za pośrednictwem podręczników, lektur szkolnych i środków masowej informacji /np. "Ślady rysich pazurów" W. Żółkiewskiej, "Luny w Bieszczadach" J. Gerharda, wydawanych wciąż w masowych nakładach oraz emitowany w telewizji w wersji filmowej "Ogniomistrz Kaleń"/.

Propagandzie tej przyswiewcały trzy cele. Po pierwsze miała ona dostarczyć władzom argumentów uzasadniających zastosowanie wobec Ukraińców odpowiedzialności zbiorowej podczas Akcji "Wisła", którą przecież w świetle prawa międzynarodowego należy określić jako zbrodnię przeciwko ludzkości.

Drugim celem, na którym także zależało ludziom Stalina, było dążenie za wszelką cenę do zupełnego zdyskredytowania w oczach Polaków i Ukraińców działaczy ukraińskich walczących o niepodległość Ukrainy, a skupionych wokół rządu Jarosława Stećki i Stefana Bandery /aresztowanych zresztą przez władze hitlerowskie po proklamowaniu w 1941 roku niepodległości Ukrainy we Lwowie bez wiedzy Niemców/, a którzy to działacze przyjęli taktykę trwania w partyzantce i walki na dwa fronty: przeciwko oddzia-

kom radzieckim i przeciwko Niemcom wg obowiązującego hasła "Ani Hitler, ani Stalin". W dodatku w Galicji Wschodniej doszło do walk polsko-ukraińskich w wyniku braku porozumienia między podziemiem polskim i ukraińskim co do kształtu granicy wschodniej, która zdaniem Polaków miałaby przebiegać wzdłuż Zbrucza, a więc zgodnie z postanowieniami traktatu zawartego przez Polskę i Rosję w Rydze w 1920 r. /w którym Polska na żądanie Moskwy wyrzekła się zasady samostanowienia narodów - Litwy, Białorusi i Ukrainy, po czym internowała sojuszniczne wojska Semena Petlury/. W tej sytuacji na dość podatny grunt padały w PRL siane przez propagandę interpretacje wydarzeń z czasów międzywojennych i II wojny światowej sprowadzające problem stosunków polsko-ukraińskich wyłącznie do walk Ukraińców na Wołyniu i w Bieszczadach, przedstawianych z reguły przez byłych uczestników tych wydarzeń w sposób jednoznacznie dyskwalifikujący Ukraińców, a szczególnie oddziały Ukraińskiej Powstańczej Armii.

I wreszcie po trzecie - upowszechniony we wszystkich środowiskach polskich negatywny stereotyp Ukraińca wywarzał miał wśród ukraińskiej mniejszości narodowej w PRL poczucie winy za błędy i grzechy części polityków ukraińskich. Postępowania tych polityków nie są w stanie do dziś ocenić obiektywnie i w całej ich złożoności tak historycy polscy, jak i ukraińscy, ale po części z tej właśnie przyczyny prowadzona zupełnie bezkarnie propaganda antyukraińska spowodowała to, że kilkaset tysięcy Ukraińców doznało niemożliwych do naprawienia krzywd wynikających z pozbawienia ich ojczyzny i skazania na wynarodowienie. Są oni już w trzecim dorastającym pokoleniu obarczani, znów zbiorowo, winą zbrodni, jakich dopuścili się niewielka procentowa grupa nacjonalistów. W dodatku wszyscy uznani za winnych zostali bądź zlikwidowani albo surowo ukarani, ponieważ podziemie ukraińskie wyłączone z amnestii uchwalonej wówczas dla rozładowania "polskiego" lasu. Mimo tych kar i poniesionych strat, w wyniku antyukraińskiej propagandy dziś - jak pisze Kazimierz Podlaski - "w opinii polskiej Ukraińcy są obciążeni zbiorowo - niestety - winą zbrodni ludobójstwa, która nie uległa przedawnieniu..."

Polacy, znający ból stosowania wobec nich zasady odpowiedzialności zbiorowej, dość łatwo mogą sobie wyobrazić, jak trudne musi być życie Ukraińców pod taką presją, w wyniku której zostali zepchnięci do getta wewnętrznego i ukrywania swego pochodzenia przed Polakami.

Pierwsze, widoczne przejawy wychodzenia Ukraińców z getta i publicznego przedstawiania własnych problemów dały się zaobserwować dopiero na początku lat 80., kiedy w prasie katolickiej, głównie w "Tygodniku Powszechnym" oraz w prasie podziemnej zaczęły o swoich problemach i stosunkach polsko-ukraińskich pisać sami Ukraińcy, a także - rzadziej - Polacy z różnych środowisk katolickich, akademickich, a także opozycyjnych. Wszystkie te publikacje, pisane z wolą uwzględnienia racji i argumentów Ukraińców oraz zrozumienia ich sytuacji, spotkały się z ostrą reakcją czynników oficjalnych, czego wyrazem była np. szeroko zakrojona akcja propagandowa przeciwko postaci Metropolity Andrzeja Szeptyckiego.

Sprawy te omówione zostały w artykule pt. "Metropolita Andrzej Szeptycki w służbie jedności Kościoła Chrystusowego" w "Bez Dekretu" /nr 9-10 i 11/ oraz w "Spotkaniach" /nr 33-34/

Aby Polacy nie przestali kojarzyć Ukraińców wyłącznie z "hajdamakami-banderowcami", którzy zaskują na wyklęcie, propagandyści zaczęli w sposób dotąd nie spotykany fałszować fakty i wyolbrzymiać liczby Polaków poległych w walkach z nacjonalistami ukraińskimi. Podjęto zatem jeszcze bardziej zdecydowaną walkę z "podnoszącymi głowy Ukraińcami" niż miało to miejsce podczas wcielania w życie hasła "Polska - ojczyzną samych Polaków" w latach 70., kiedy to m.in. już z półek księgarskich wycofano dość ambitną, jak na ówczesne warunki polskie, książkę wydaną przez Ministerstwo Obrony Narodowej A.B. Szcześniaka i W.Z. Szoty pt. "Droga donikąd". Działalność organizacji ukraińskich nacjonalistów i jej likwidacja w Polsce" /Warszawa 1973, nakład 3500 + 336 egz./ . Głównym "grzechem" tej książki jest to, że można w niej znaleźć wiele faktów wyjaśniających powody, przebieg i skutki walk polsko-ukraińskich, a także przybliżone liczby ofiar tak Polaków, jak i Ukraińców. Jedną z bezpośrednich przyczyn nie tylko wycofania tej publikacji, ale i - do dziś obowiązującego - zakazu wprowadzenia jej do zbiorów specjalnych oznaczonych w bibliotekach jako "res", było to, że

ideą tej książki było uświadomienie Polakom, że "n a c j o n a l i s t y u k r a i n s k i t o n i e n a r o d u k r a i n s k i !" Ale właśnie po to, by Polacy nadal utożsamiali nacjonalistów ukraińskich z całym narodem ukraińskim, "narodem hajdamaków-banderowców-bandytów" bez żadnych zasad etycznych i kultury, cenzura skonfiskowała w całości siedem tekstów przewidzianych do "ukraińskiego" tomu "Znaku", poświęconych kulturze ukraińskiej, życiu religijnemu i historii Cerkwi greckokatolickiej oraz wyjaśnieniu przyczyn konfliktów polsko-ukraińskich. Wśród zdjętych publikacji znajdowały się bowiem następujące materiały, naruszające pieczętowanie przez lata pielęgnowany negatywny stereotyp Ukraińca, ponieważ podejmowały taką tematykę jak np.: "Bogactwo kultury pogranicza. Dyskusja o kulturze ukraińskiej", w której udział wzięli znawcy stosunków polsko-ukraińskich /Stefan Wilkanowicz, Juliusz Zychowicz, Andrzej Vincenz, Ryszard Łużyń, Tadeusz Żychiewicz, Tadeusz Chrzanowski, Marian Jurkowski, Włodzimierz Mokry/. Następnymi, do dziś nie wydrukowanymi w "Znaku", pozostają artykuły Andrzeja Zięby i Włodzimierza Mokrego. Szkic A. Zięby "Ukraińcy i Powstanie Warszawskie" nie mógł się ukazać, ponieważ prostuje on powszechnie przyjętą nieprawdziwą opinię, iż Powstanie Warszawskie pomagali hitlerowcom tłumić wyłącznie Ukraińcy, za których polscy powstańcy uznawali z reguły ludzi ze stacjonujących wówczas w Warszawie różnych oddziałów w tym RONA /Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Ludowej dowodzonej przez Kamińskiego/ i ROA /Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii/. Z podobnych względów Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk nie dopuścił do druku artykułu W. Mokrego "Polaków i Ukraińców dziś, wczoraj, jutro", którego treść podważa fukcjonującą w powszechnej opinii polskiej tezę o Ukraińcach jako narodzie nacjonalistów, współpracujących z hitlerowcami przeciwko Polakom.

Nie mogło się także wówczas w "Znaku" ukazać opowiadanie Jana Adamskiego, a także artykuł Iwana Tyśiak-Rudnyckiego "Ukraina między Wschodem i Zachodem", podejmującego próbę scharakteryzowania Ukrainy z typologicznego punktu widzenia oraz określającego cechy składające się na jej historyczną indywidualność. Skonfiskowane zostały wtedy również materiały ukazujące prawdę o najwybitniejszej postaci Cerkwi greckokatolickiej XX wieku Metropolicie Andrzeju Szepetyckim. Z pracy tej wynika m.in., że: "w ostatniej wojnie zginęło około 6,4 mln Ukraińców /z czego około 1,3 mln na froncie/ przy ogólnych stratach ZSRR ponad 20 mln."

Zaczęły się natomiast ukazywać z dotąd nie spotykaną wręcz częstotliwością książki antyukraińskie, w których bezceremonialnie zaczęto fałszować fakty i wyolbrzymiać liczbę ofiar poniesionych przez Polaków podczas walk z nacjonalistami ukraińskimi w okresie okupacji niemieckiej oraz w "wojnie bieszcadzkiej". W sposób najbardziej jaskrawy fałszowane są wydarzenia i fakty w książkach Edwarda Prusa oraz Artura Baty.

E. Prus pomógł w co najmniej przez dziesięć lat liczbę ogólną Polaków poległych z rąk nacjonalistów ukraińskich, którą autorzy "Drogi donikąd" określili na około 60-80 tys. Polaków na terenie Polesia, Wołynia, Chełmszczyzny i Zaszania" /str.170/. Zdaniem współczesnych historyków liczba ta jest znacznie zawyżona, ponieważ wg najnowszych badań straty Polaków sięgają tu rzędu 10-20 tys. Liczby osób poległych w tych walkach po stronie ukraińskiej nie podają żadne źródła. Za to w książce Prusa "Herosi spod znaku tryzuba" /wydanej w 1985 r. przez Inst. Wydawniczy Związków Zawodowych w nakładzie 50 tys. egz./ czytamy we wstępie, iż "czytelnik otrzymał książkę wstrząsającą w swej treści dokumentalnej, książkę, która dokonuje rozrachunku z niedaląką przeszłością, nie tylko jako epitafium dla ponad 500 tys. zamordowanych Polaków przez faszystów ukraińskich w Małopolsce Wschodniej". Podobała poetyce zastosował E. Prus w swej książce pt. "Władcyka Świętojurski", poświęconą Metropolicie Andrzeju Szepetyckiemu, czego świadectwem jest chociażby następująca próbka pisarstwa pracownika Uniwersytetu Śląskiego: "zak samo niezrozumiałym będzie dla przeciętnego zjadacza chleba jego /tzn. Szepetyckiego - P.L./ stosunek do UPA - krwiożerczej formacji partyzanckiej OUN, której acokolwiek celem była samostojność Ukrainy, ale droga do niej wiodła przez obłąd, przez Morze Czerwone krwi polskiej i piramidy egipskie trupów: starców, kobiet, dzieci - razem kilkaset tysięcy!" /str.271/.

Pilnym uczniem E. Prusa okazał się Artur Bata, który postanowił napisać własną wersję tragicznej historii wsi Pawłokowa, która podzieliła losy nie jednej wsi ukraińskiej, by wspomnieć chociażby o Piskarowicach, "gdzie rozstrzelano około 300 Ukraińców", czy Zawadce Morochowskiej, w której przez przypadek ocalało jedynie dwoje niemowląt, co zostało opisane na łamach "KOS-u".

O tym jak bardzo ukraiński obraz tych wydarzeń różni się od zaproponowanego opinii polskiej, przedstawionego przez Artura Bata, świadczy relacja naoczego świadka tragedii Ukraińców w Pawłokomie Aleksandry Poticznej, której udało się przeżyć wraz ze swą 9-letnią córką i w 1950 r. wyemigrować do Kanady, gdzie złożyła zeznania co do okoliczności zamordowania 324 mieszkańców Pawłokomu, w tym 23 członków swojej rodziny.

Mający dostęp do tych źródeł Artur Bata w wydanej w 1987 r. książce "Bieszczydy w ogniu" przedstawia własną wersję wydarzeń w Pawłokomie, sugerując, że to nie z rąk oddziałów polskich została wymordowana wioska ukraińska, lecz UPA wymordowała wioskę polską. Opisane w "Bieszczydach w ogniu" wydarzenia w Pawłokomie przeżył A. Bata jako sześciolatek, wychowane, jak sam podaje, na lekturze książek, dla których kanwą stały się epizody walk z ukraińskimi "bandami" - "Wzburzony Sar" W. Szelęgowskiego, "Strzały pod Cisną" S. Myślińskiego, A. Filara "Gdy umilkną działa", "Góra-ce wzgórze" J. Łysakowskiego. Obrazy z tych książek utkwiły A. Bacie do tego stopnia, że przesyłał mu fakty i dane o sprawcach tragedii w Pawłokomie.

Zrozumienie sytuacji i problemów, przed jakimi staje dziś ukraińska mniejszość narodowa w PRL i nawiązanie z nią autentycznego kontaktu zależy zatem w pierwszym rzędzie od dostrzeżenia przez Polaków i zniwelowania diametralnej różnicy, jaka istnieje między ukraińską oceną przyczyn i skutków akcji wysiedleńczej, a oceną polską, narzuconą znacznej części społeczeństwa przez propagandę. Wyrażną wolę wysłuchiwania strony ukraińskiej oraz chęć przeciwestawiania się oficjalnej propagandzie antyukraińskiej zaczęły okazywać w śladamiświadczeniach latami 80. zarówno oficjalne środowiska katolickie /głównie Kluby Inteligencji Katolickiej/ oraz uniwersyteckie /Gdańsk, Kraków, Lublin/, jak i cały szereg ludzi związanych z "Solidarnością" i opozycją. Powstały dzięki temu możliwości wypowiedziania się przedstawicielom ukraińskiej inteligencji twórczej, którzy o nagromadzonych przez kilka dziesięcioleci, najczęściej zakazanych, problemach zaczęli mówić i pisać z wiarą i nadzieją, że proces upodmiotowienia obejmie tym razem także mniejszość ukraińską.

Pierwszej w historii PRL satysfakcjonującej Ukraińców oceny przyczyn, skutków i okoliczności towarzyszących wysiedleńczej akcji "Wisła" dokonał ze strony polskiej Tadeusz Andrzej Olszański podczas słynnego już dziś sympozjum u ojców jezuitów w Łodzi w 1987 roku. Zdaniem T. Olszańskiego źródła wysiedlenia Ukraińców należy "szukać obok starych antyukraińskich fobii i strasznych wspomnień lat okupacji na Wołyniu i w Galicji Wschodniej - w propagandowej tezie o ściśle etnograficznym rozgraniczeniu polsko-ukraińskim w 1944 r., rozgraniczeniu sprawiedliwym, po którym - co wynikało logicznie - nie było już na nowym terytorium Polski Ukraińców, a co najwyżej Lemkowie czy Bojkowie, górale o niesprecyzowanej przynależności etnicznej. Teza ta łączyła się z założeniem, przekonaniem i pragnieniem - nie tylko władzy komunistycznej, ale też co najmniej znacznej większości społeczeństwa - że w odróżnieniu "piastowskiej" Polsce nie ma i nie powinno być mniejszości narodowych: zakładano przecież wysiedlenie nie tylko Niemców i Ukraińców, ale także Litwinów i Białorusinów. Stosunek narodu polskiego do perspektywy dalszego współżycia w jednym państwie z Ukraińcami był wówczas skrajnie niechętny..."

Jak słusznie pisze T. Olszański większość autorów polskich "przemilcza całkowicie polski terror wobec Ukraińców, jednocześnie pisząc o masowym terrorze UPA na ziemiach Polski po 1944 roku, sugerując, że jego skala była porównywalna z tragedią Wołynia i Galicji Wschodniej lat poprzednich". Faktycznie "najbardziej głośna zbrodnia UPA z owego okresu, masakra w Baligródzie /42 ofiary/... miała miejsce podczas przeuwalania się frontu, gdy miasteczko znalazło się na ziemi niemieckiej". Wzmianki o polskim terrorze wobec Ukraińców oprócz Szoty i Szczęśniaka można znaleźć jeszcze w szkicu W. Nowackiego w książce "Z walki" przeciw zbrojnemu podziemiu 1944-1947" /w- 1966/, który pisze o okrucieństwie wojsk polskich, które kierując się zasadą odpowiedzialności zbiorowej występowały nie przeciw partyzantce, ale przeciwko ukraińskiej ludności wiejskiej. W województwie rzeszowskim w latach 1944-1947 - jak pisze W. Nowacki "zabito podczas walk i ucieczek około 1000 osób z oddziałów UPA i ludności cywilnej", a straty polskie podczas tej akcji "wyniosły 16 zabitych". Terror antyukraiński osiągnął szczytowe rozmiary w 1945 roku, kiedy - jak wylicza T. Olszański - "w marcu tego roku Wojska Wejściowe zamordowały około 540 mieszkańców Starego Lublińca, a w kwietniu - 400 mieszkańców Goraja. W marcu samoobrony chłopskie z udziałem jakie-



gosc oddziału leśnego wymordowały około 300 Ukraińców w Pawłokowie, a oddział NSZ 400 skoncentrowanych już do wysiedlenia Ukraińców w Piskarowicach. Inny oddział NSZ dokonał w czerwcu 1945 roku napadu na Wierchowiny mordując około 200 osób, w tym 65 dzieci. Liczne były też wypadki mordowania księży grekokatolickich i prawosławnych, zazwyczaj wraz z rodzinami, zginęło ich łącznie ponad 30". Przykładem łamania prawa wojennego jest fakt zniszczenia wiosną 1947 roku ukraińskiego szpitala pod Kraglicą.

Z wyliczeń T. Olszańskiego wynika, że przeciwko 1800 partyzantom ukraińskim i kilkuset członkom samoobrony, a więc przeciwko "maksimum 2500 ludzi. rzucano około 20000 żołnierzy i milicjantów" /zdaniem autorów ukraińskich liczba ta jest zaniżona/. Podstawowym powodem przeprowadzenia tak zmasowanej operacji wojskowej przeciw UPA było "wyłączenie UPA z amnestii 1947 roku. Amnestia ta niemal całkowicie rozładowała «polski» las...". Uspokojenie sprawy ukraińskiej "rząd polski mógł osiągnąć jednym pociąg-nięciem pióra, ale osiągnąć tego nie chciał. Przyczyn tej decyzji upatrywać należy w niepolskim charakterze UPA, ówczesne »pojednanie narodowe« miało ograniczać się wyłącznie do Polaków".

Szkicowi T. Olszańskiego przyswiedca długo oczekiwana przez Ukraińców wola zrozumienia ich problemów przez przedstawicieli opozycji polskiej oraz próba refleksji nad przyczynami głębokich polsko-ukraińskich urazów. W dodatku - zdaniem Olszańskiego - "winny za to wszystko nie możemy zrzucić wyłącznie na rząd. Akcja «Wisto» - ostatni w długim szeregu aktów przemocy w historii naszych dwu narodów przeszła bez jakiegokolwiek protestu - ze strony polskiej, przy powszechnej milczącej akceptacji. Później zaś traktowaliśmy - nie rząd, ale naród - mieszkających wśród nas Ukraińców jako zło konieczne, z wrogością i pogardą. Nie chcieliśmy mieć wśród siebie Ukraińców, gorzej, chcieliśmy wierzyć, że to naród morderców, hajdamaków itp. Nie wszyscy, to prawda, ale wystarczająca większość, byśmy musieli powiedzieć - naród; powiedzieć - my. I uderzyć się w pierś".

Wydaje się, że nasilająca się wciąż propaganda antyukraińska w PRL jest "bezsrośrednią reakcją na coraz częściej pojawiające się w poważniejszych publikacjach niezależnych przejawy refleksyjnego myślenia o przyczynach polsko-ukraińskich kontaktów, a także coraz głębiej uświadamiane przez Polaków przekonanie, iż bez Wolnej Ukrainy nie ma Wolnej Polski". ("Spotkania" 33-34). Stawka jest, jak widać, wysoka. Perspektywa życia w wolnych krajach winna interesować obie strony. Gdzie leży zatem przyczyna tego, że w dziedzinie stosunków polsko-ukraińskich nie udało się osiągnąć wyrażonej poprawy czy zneutralizowania konfliktu chociażby tak jak w odniesieniu do stosunków polsko-niemieckich, których zarówno skala, jak i bilans ofiar jest zupełnie nieporównywalny. W dodatku o winach Polaków wobec Niemców /z wyjątkiem wysiedlenia ich przez władze PRL po 1945 roku/ trudno mówić, natomiast wobec Ukraińców Polacy jednak także zawinili niejednokrotnie i to na przestrzeni wieków, od czasów zajęcia ziem ukraińskich przez Kazimierza Wielkiego w XIV wieku.

Utrzymujący się konflikt polsko-ukraiński to tylko po części efekt zdalnie sterowanej polityki Moskwy, która jak zawsze w tak ważnych dla siebie sprawach działała z wyprzedzeniem i z myślą o zaognianiu stosunków między Polakami i Ukraińcami działając już w czasie okupacji, chociażby za pośrednictwem swoich agentów przenikających do oddziałów UPA.

Najtragiczniejsze w stosunkach polsko-ukraińskich jest jednak to, że Moskwa zainteresowana w utrzymywaniu się konfliktu między Polakami i Ukraińcami nie musi w sposób bezpośredni tego konfliktu podsycać, gdyż gorliwych wykonawców swej polityki ma aż nadto wielu, zarówno spośród zasłużonych w walce z Ukraińcami "kombatantów", jak i spośród spadkobierców idei Romana Dmowskiego, a także wśród miłośników Lwowa, wysuwających dziś hasła rewindykacyjne.

Uzdrowienie stosunków polsko-ukraińskich nie będzie zatem łatwe. Tym większe więc znaczenie mają podejmowane wciąż przez środowiska opozycyjno-solidarnościowe konkretne inicjatywy, zmierzające do zapewnienia wszystkich praw Ukraińcom, jako odwiecznym mieszkańcom państwa polskiego, związanym z nim na dobre i na złe od czasu zajęcia przez Kazimierza Wielkiego Lwowa.

Stworzenie warunków dla rozwoju duchowego wysiedleńców ukraińskich w PRL jest niemożliwe bez uprzedniego zdjęcia z nich piętna winowajców-bandytów. Władze PRL powin-

ny zatem: 1/ uznać za bezprawne przymusowe wysiedlenie ludności ukraińskiej; zrehabilitować niewinnie skazanych, karanych i prześladowanych; 2/ stworzyć warunki do powrotów na ziemię ojczyste osobom wysiedlonym oraz ich rodzinom, dać prawne podstawy w dochodzeniu uzasadnionych roszczeń majątkowych z uwzględnieniem możliwości rekompensaty; 3/ umożliwić stworzenie niezbędnych warunków dla ratowania resztek zabytków ukraińskiej kultury materialnej w Polsce; 4/ wyrazić zgodę na reaktywowanie zlikwidowanych i powołanie nowych instytucji, organizacji i stowarzyszeń koniecznych dla zahamowania świadomie prowadzonego wynaradawiania Ukraińców oraz przywrócić należne im prawa do nieskrępowanego wyrażania własnej podmiotowości w zakresie potrzeb religijnych, kulturalnych, społecznych, narodowych i politycznych. Praw tych nie jest w stanie zapewnić działające pod kuratelą MSW Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne.

Dziś, kiedy nad realizacją tych postulatów czuwa Komisja do spraw Mniejszości Narodowych powstała w ramach Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym NSZZ "Solidarność", nadzieje Ukraińców na wyjście z getta i godniejsze życie w Polsce są coraz większe. Już w 1981 roku można było słyszeć wśród nich takie oto słowa wyznania w "Drożej Rusina do Polski": *"Ufam, że ludzie zaczną się pochylać nad problemami drugiego człowieka... Wierzę w to do końca, gdyż wierzę w ideę «Solidarności», która oznacza dla mnie solidaryzowanie się ze sprawami drugiego człowieka niezależnie od charakteru i skali tego problemu oraz pochodzenia narodowego czy wyznawanego poglądu przez daną jednostkę... Gdańskie trzy krzyże to po trzykroć ukrzyżowana, ale nie zabita nadzieja, nadzieja dla nas wszystkich i każdego z osobna. Jest to dla mnie nadzieja i nieugięta wiara w to, że solidaryzowanie się z problemami drugiego człowieka pozostanie ideą żywotną w społeczeństwie, a nie przyjmie charakteru formalnej instytucji. Wierzę, że im większym próbom będzie poddawana «Solidarność», z tym większą siłą będzie powracać i odradzać się jej idea. Istnieją więc podstawy by nie tracić nadziei na porozumienie się nie tylko Polaków z Polakami, na wzajemne wybaczenie błędów i zniewag oraz odbarwienie się choć minimum zaufania".* /"TP" 1981/46-47/.

Do udziału w naprawie stosunków między Polakami i Ukraińcami, tak w Polsce jak i na Ukrainie, włącza się też Kościół rzymskokatolicki w Polsce, który sprostał o wiele trudniejszemu zadaniu, podejmując już ponad dwadzieścia lat temu problem stosunków polsko-niemieckich. Ubiegłoroczny Jubileusz Milenium Chrztu Rusi-Ukrainy świętowany w całym świecie włącznie z Polską w niewielkim stopniu wpłynął na przezwyciężenie bariery dzielącej Polaków i Ukraińców, ponieważ uroczystości te odbywały się w zasadzie w sferach samych Ukraińców z udziałem bardzo nielicznych przedstawicieli społeczeństwa polskiego. Sytuację tę nieco poprawiają dość liczne relacje z tych uroczystości, publikowane w katolickiej prasie polskiej.

Istotne znaczenie w zbliżeniu polsko-ukraińskim pełnią dość często organizowane w latach 80. sesje naukowe w środowiskach akademickich Krakowa, Lublina, Gdańska, Warszawy oraz odczyty i dni kultury ukraińskiej w Klubach Inteligencji Katolickiej. Tematykę ukraińską w sposób życzliwy Ukraińcom podejmuje coraz więcej wydawnictw niezależnych, by wspomnieć takie pisma jak lubelskie "Spotkania", "Obóz", "Nowa Koalicja" "ABC", "Opinia Krakowska", "Bez Dekretu", "Arka", "Krytyka", "Zomorządność", "Robotnik Wybrzeża", "Gazeta Polska".

Wszystkie te inicjatywy roją nadzieje na ułożenie stosunków polsko-ukraińskich tak, by zgodnie z etyką chrześcijańską każdy człowiek i naród mógł wyrażać swoją podmiotowość poprzez realizowanie potrzeb religijnych, kulturalnych i politycznych, ale nie kosztem innego człowieka i narodu. Pozostaje zatem wierzyć - jak pragnie tego Jan Paweł II w orędziu zatytułowanym "Poszanowanie mniejszości warunkiem pokoju" - szacunek okazywany mniejszościom narodowym uznany zostanie przez władze i społeczeństwo *"za kamień probierczy zgodnego współżycia społecznego i jako wskaźnik obywatelskiej dojrzałości osiągniętej przez dane państwo i jego instytucje. W prawdziwie demokratycznym społeczeństwie zapewnienie mniejszości uczestnictwa w życiu publicznym jest znakiem szlachetnego postępu obywatelskiego, to zaś przynosi zaszczyt tym narodom, w których wszystkim obywatelom zostaje zagwarantowane to uczestnictwo w atmosferze prawdziwej wolności".*

PIOTR LEWICKI

# Białorusini w dobie *Solidarności*

Pisząc o sytuacji Białorusinów w latach 80. nie sposób nie wrócić myślą do poprzedzającego je dziesięciolecia.

Lata 70. to okres frontalnemu ataku przeciw wszelkim przejawom białoruskiego życia narodowego w Polsce. Teoretyczne przesłanki takiego postępowania sformułowało osłabie III Plenum KC PZPR w 1976r., ogłaszając, że Polska jest krajem jedn narodowym /tak jak ZSRR zresztą/. Przedstawiciele KC PZPR i MSW na zjazdach Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego przestali nawet posługiwać się terminem "białoruska mniejszość narodowa". Na czele aparatu partyjnego w Białymstoku stanął niekwestionowany Polak, zlikwidowano też komisję narodowościową przy KW. Z BTS-K, podporządkowanego organizacyjnie MSW, na którego etatach wciąż pozostają pracownicy białoruskiej kultury, została jedynie fasada. Jego możliwości organizacyjno-materialne zmniejszyły się do jednej trzeciej. Największym ciosem była utrata spółdzielni pracy "Beteska", ostoi finansów Towarzystwa. Zlikwidowano społeczne białoruskie muzeum etnograficzne w Białowieży. Część eksponatów przekazano muzeum w Ciechanowcu, gdzie do dziś udają zabytki mazowieckiej kultury rolnej, resztkę rozkradziono. Rozwiązano białoruską grupę estradową "Lawnicha", choć zarabiała na siebie. Przestały się ukazywać Białoruskie Prace Naukowe. Ich redakcja, postawiona wobec wyboru: wydawać je po polsku bądź nie wydawać wcale, wybrała to drugie. I wreszcie cios najbardziej dotkliwy, bo o długotrwałych skutkach. Administracyjnymi zarządzeniami zdeorganizowano białoruskie szkolnictwo. W dziesięcioleciu 1970/71 - 1980/81 liczba uczniów szkół podstawowych, uczęszczających na lekcje języka białoruskiego spada z 10 710 do 3 430, równo trzy razy.

Na przełomie lat 70. i 80. co odważniejsi Białorusini zaczęli przemyślać o założeniu podziemnej organizacji.

Myli się więc głęboko Bohdan Skaradziński, który w dyskusji nad książką Sokrata Janowicza "Białoruś, Białoruś" stwierdził, że Białorusinom zawsze coś skapnęło z okazji polskich odnow. Po grudniowej było dokładnie na odwrót. Zabrano im niemal wszystko, co było do zabrania. Nigdy nie wiadomo, na czyją zgubę dogada się Polak z Polakiem...

Szła kolejna, sierpniowa odnowa. W Białymstoku strajki zaczęły się z opóźnieniem wynikającym, jak żartowano, ze stosowania kalendarza juliańskiego. "Solidarność", dla większości Polaków niosąca obietnicę lepszej przyszłości, w Białymstoku przywdziała szaty bogoczyźnianie. "Chcenie Wilna" połączone ze wzrostem katolickiej religijności naruszyło dotychczasowy polsko-białoruski consensus. Nie wydaje się bowiem, by upadek białoruskiego życia narodowego w latach 70. dotknął szczególnie przeciętnego Białorusina. Jego życiowym ideałem był mały fiat, jak wszędzie. Konsumpcyjne nastawienie do życia oznaczało także letni patriotyzm Polaków. W Białymstoku, ogromnej wsi, gdzie /jak ktoś zauważył/ inteligenta odróżnia od robotnika tylko umiejętność gry w brydża, panował spokój. Pili wszyscy równo. Asymilacja przebiegała bezboleśnie. Od nikogo nie wymagano stanowczych deklaracji.

Po osiemdziesiątym wiele się zmieniło. Trzeba się starać, żeby być Polakiem. Biegąc do kościoła /katolickiego rzecz jasna/, śpiewać "I Brygada", no i nienawidzić ruskich. Dla starszych Białorusinów polsko-mesjanistyczny sztafaż był nie do przyjęcia. Służyli Polsce Ludowej wyrzekając się swej tożsamości, ta w zamian wymagała od nich tylko wykonywania obowiązków. Będą je wykonywać nadal.

Wśród młodszych zaznaczyły się trzy rodzaje nastawienia do rzeczywistości. Pierw-

szy to dążenie do całkowitej asymilacji. Najprościej osiągnąć to poprzez małżeństwo ze stroną katolicką. Połowa małżeństw zawieranych przez prawosławnych w Białymstoku to małżeństwa z katolikami, przy czym regułą jest przejście strony prawosławnej na katolicyzm. "Nareszcie czuję się prawdziwym Polakiem", odetchnął z ulgą pewien mój kolega, wychodząc po swoim ślubie przed kościół. Pozostała połowa zawiera jednak małżeństwa we własnym kręgu wyznaniowym. Określają się jako Polacy, lecz ożywienie prawosławnej religijności /o czym świadcza chociażby wielktysięczne pielgrzymki na białoruską Świętą Górę, Grabarkę/ osłabiło ich skłonność do asymilacji. Choć używają na co dzień języka polskiego /białoruskiego często wręcz nie znają/, to jak mogą być "prawdziwymi Polakami", skoro nie lubią Piłsudskiego, Wojtyły i Wałęsy? Wystarczy przypomnieć postać ich duchowego przewodnika, metropolity Bazylego, dziękującego władzom za rozgromienie "Solidarności". Nie oznacza to, że wyrażał on poglądy młodzieży prawosławnej. Ta zajęta była po prostu swoimi sprawami, organizacją swego Prawosławnego Bractwa o charakterze ponadnarodowościowym, co konkretnie znaczyło nie-białoruskim. Pilnowały tego władze świeckie, nie zezwalając na przykład na druk białoruskojęzycznej wersji deklaracji założycielskiej Bractwa. Dopuszczano tylko język polski i rosyjski.

Opisane wyżej postawy charakteryzują przede wszystkim mieszkańców Białegostoku, głównego ośrodka Białorusinów w Polsce, w którym jednak stanowią wyraźną mniejszość / 1/5 ogółu mieszkańców/. W Bielsku, Hajnówce i ich okolicach, gdzie Białorusini przeważają, sprawy mają się inaczej. Przeważa tu poczucie białoruskości /choć czasem pierwotnej, "tutejszej", "ruskiej" wersji/, a w części szkół, w tym w dwóch liceach, wciąż jeszcze naucza się białoruskiego. Ludność tych okolic ustosunkowała się do "Solidarności" wrogo, jako przyczyniwy bałaganu oraz narodowego i religijnego zagrożenia. Powoli zaczęto się odradzać BTS-K, powstawały nowe koła terenowe i chóry. Fasadowość Towarzystwa była tak oczywista, że wzbudziła obawy jego opiekunów z MSW. Funkcjonariusze SB namawiali młodszych działaczy do przewrotu pałacowego. Trzeba było ożywić Towarzystwo, by ruch białoruski nie wymknął się z rąk.

Niezależni działacze, skupieni wokół Sokrata Janowicza, próbowali jednak stworzyć własną organizację. Podjęto starania o rejestrację Stowarzyszenia Opieki nad Zabytkami i Rozwojem Białoruskiej Kultury Materialnej. Janowicz porozumiał się także z T. Masłowieckim, naczelnym redaktorem biuletynu białostockiej "S", co do wydawania białoruskiej mutacji pisma. Sprawa upadła na posiedzeniu regionu, a Masłowiecki otrzymał wywołanie. Region nie uznawał istnienia Białorusinów nawet jako prawosławnych Polaków. Nie zgodzono się na wywieszenie prawosławnych krzyży w lokalach związkowych.

Starania o własną organizację podjęła też młodzież studencka wywodząca się z małych miasteczek i wsi Białostocczyzny /większość z nich uczyła się w liceach w Bielsku i w Hajnówce, w których naucza się języka białoruskiego/. Białoruskie Zrzeszenie Studentów próbowało nawiązać kontakt z NZS-em. O ile w Warszawie przyjęto ich ciepło, to w Białymstoku nikt nie chciał ich słuchać.

Przez cały okres legalnego istnienia "S" Region Białystok nie zdobył się na żaden gest pod adresem Białorusinów. W napiętej sytuacji ten brak stanowiska sam w sobie stawał się stanowiskiem. Białorusinów nie ma, lub też nie powinno być w "drugiej Japonii". Szary człowiek karmiony był plotkami o widłach i kosach gromadzonych na katolickich parafiach z myślą o rzezi prawosławnych i o dotach kopanych pod Białymstokiem, nad którymi miano rozstrzeliwać Białorusinów po zwycięstwie "Solidarności" nad władzą ludową. Polacy ze swej strony przekonani byli, że Białorusini wyglądają z utęsknieniem sowieckiej interwencji. Ulubionym sportem stało się w Białymstoku znakowanie krzyżami mieszkań sąsiadów przeznaczonych do odstrzału.

W przeciwieństwie do władz białostockiego regionu, centrala "S" miała jak najlepsze chęci, czego wyrazem stała się "Uchwała w sprawie mniejszości narodowych" I Krajowego Zjazdu z taką oto konkluzją: *"Związek nasz sprzeciwia się wszelkim podziałom narodowościowym i walczyć będzie o zagwarantowanie pełni praw obywatelskich wszystkim Polakom, niezależnie od przynależności narodowej lub pochodzenia"*. Winnych tego sformułowania szuka się do dziś. Zresztą, o uchwale mało kto w Białymstoku słyszał, a poza tym było już za późno.

Wprowadzenie stanu wojennego Białorusini przyjęli z ulgą. Nareszcie koniec bezholowa i niepewności. Dość szybko okazało się jednak, że o żadnym końcu mowy być nie może. Bezholowie i niepewność utrzymują się po dziś dzień. Trzeba było jakoś sobie radzić. Psychologiczna sytuacja Białorusinów po 13 grudnia była lepsza niż Polaków, gdyż nie mieli poczucia przegranej. Dla nich w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Ponieważ władze odmówiły rejestracji Stowarzyszenia nad Zabytkami itd., zaprzestano ono działalności. Wigoru nabrano za to BIS-K, którego działalność podtrzymują wszyscy Białorusini, bez względu na zapatrywania polityczne. Coś istnieć musi. Studentów przyjął cierpiące na brak członków ZSP. W ramach tej organizacji powstała Rada Kultury Studentów Mniejszości Narodowych. Zaczął wychodzić studencki kwartalnik "Sustreczy" /"Spotkania"/, drugie po "Niwie" czasopismo białoruskie w powojennej Polsce.

Gdy mowa o działalności wydawniczej, zauważyć wypada działalność Niezależnego Wydawnictwa Białoruskiego, które opublikowało kilka zeszytów archiwalnych i kilka broszur politycznych. Ostatnio białoruski drugi obieg znacznie się ożywił. Powstały nowe wydawnictwa przedrukujące białoruską literaturę patriotyczną i historyczną oraz nowe czasopismo "Kontakt", służące wymianie myśli politycznej środowisk białoruskich w Polsce, ZSRR i na emigracji.

W 1987 r. zorganizowany na wariackich papierach I Zjazd Studentów Białoruskich zobowiązał swe prezydium do podjęcia starań o rejestrację Białoruskiego Zrzeszenia Studentów. Walka o legalizację trwała prawie 2 lata, zjednując Zrzeszeniu sympatie polskiego środowiska, w tym także, co trzeba odnotować, białostockiego NZS-u. Rejestracja BZS uwieńczyła wysiłki dwóch pokoleń białoruskich studentów, dając świadectwo ich wytrwałości i, co ważne w nieciągłej, znaczonej długimi okresami niebytu białoruskiej historii, przejmowania doświadczeń.

Rejestracja BZS, obok zawiązania się kilku nowych chórów, jest jedynym konkretnym osiągnięciem minionego okresu. Co do reszty, to:

- BIS-K uzyskało zgodę na budowę białoruskiego muzeum w Hajnówce pod warunkiem dodania do nazwy niewinnego określenia "i Ruchu Rewolucyjnego". Muzeum buduje się jako oddział okręgowego muzeum w Białymstoku. Pesymiści twierdzą, że po zakończeniu budowy z nazwy zostanie tylko jej drugi człon.
- Studenci uzyskali prawo do wystuchiwania białoruskich kazań w najmniejszej cerkwi w Białymstoku. Za to w całej reszcie kazania są po rosyjsku /sic!/.
- Powiększa się drugi obieg wydawniczy, za to niemal przestał istnieć ten pierwszy. W ostatnich latach wydano kilka tomików poetyckich, kalendarzy, almanachów i jeden utwór prozatorski. Grupa literacka "Białowieża" znajduje się w kompletnym upadku. Zagrożone jest, z przyczyn finansowych, istnienie tygodnika "Niva".
- BIS-K ma w przyszłym roku przejść na własny rozrachunek. Oznacza to, że musi podjąć działalność gospodarczą, zaczynając od zera. Skoro nie zwrócono mu jego majątku /spółdzielnia "Beteska"/, to jaką ma gwarancję, że nie zabierze mu się tego, co znów stworzy?

- Nic nie zmieniło się w białoruskim szkolnictwie, chyba że na gorsze.

- Nie uznano Białorusinów za godnych reprezentowania w Sejmie.

- Doprowadzono natomiast do końca budowę zbiornika wodnego "Siemionówka", pozbawioną gospodarczego sensu i grożącą ekologiczną katastrofą Puszczy Białowieńskiej, na obrzeżach której się znajduje. Rodzi się więc podejrzenie, że jedynym celem budowy zbiornika było wysiedlenie kilku tysięcy Białorusinów i rozbitcie w ten sposób ich terytorium etnicznego /Teoretyczne podstawy takich działań wypracowano już przed wojną/.

To, że władze dążą do likwidacji problemu białoruskiego drogą asymilacji odbywającej się w możliwie bezkonfliktowy sposób, jest dla Białorusinów jasne od dawna. Najświeższym tego potwierdzeniem jest perspektywiczny plan rozwoju kultury w województwie białostockim. W planie tym wspomina się o Tatarach i Żydach, nie ma natomiast słowa o Białorusinach.

Ci Białorusini, którzy wdali się we flirt z opozycją, przekonali się po jakimś czasie, że ta traktuje ich instrumentalnie. Dla jednych są przekąźnikami własnych idei na wschód /vide książka Kazimierza Podlaskiego "Białorusini, Litwini, Ukraińcy"/, dla innych dowodem ich demokratyzmu i otwartości. Do kompletu chętnych do pójścia w objęcia Białoruskiego Zrzeszenia Studentów brakowało tylko endeków. Niedawno się zgłosili. /Endeków zresztą Białorusini szanują. Z tymi przynajmniej sprawa jasna./

Tymczasem drugi tom "Argumentów do dialogu polsko-białoruskiego" dawno się zdezaktualizował, pokryty kurzem w wydawnictwie, które w międzyczasie zmieniło swoją "politykę wschodnią". Żaloszne. Może wniesie coś nowego Komajja d/s Mniejszości Narodowych powołana przy Lechu Wałęsie. Białorusini nie oczekują od opozycji rozwiązania ich problemów. Wiadomo, kraj się wali. Wyczuleni są jednak na intencje.

Nikde nawet przejawy porozumienia Białorusinów z opozycją obserwowali z niepokojem bracia ze wschodu. /Odpowiedzialni funkcjonariusze próbują się tam zapoznać z nieszczęsnymi "Argumentami do dialogu...", choć idzie im ciężko, bo język niezrozumiały/. Cios, jaki wyprowadzili, był równie prosty, co skuteczny. Największy tygodnik białoruski opublikował "nieoficjalną" propozycję przyłączenia Białostocczyzny do BSRR. Różnego rodzaju noty, protesty i dementi nie zmieniają podstawowego faktu. Zwiększyli się brak zaufania Polaków do Białorusinów. Niewdzięczną rolę wyrazieliście opinii prawdziwych Polaków co do białoruskich porządków na Białostocczyźnie wzięła na siebie "Kurier Podlaski", który opublikował nagrodzony w redakcyjnym konkursie reportaż "Pod różnymi krzyżami" autorstwa Kazimierza Siemieniaki. Żurnalista ten postanowił widać zdobyć sławę białostockiego Herostratesa, rzucając zapalną pod narodowościowy kocioł. W listach do redakcji znalazły się zarzuty o przygotowywanie polskiego Belfastu. To wszystko tylko słowa, niemniej po raz pierwszy w oficjalnym druku ktoś odmówił prawosławnym prawa do asymilacji, bycia Polakami po prostu. Prawosławni do Białorusin, decydując metryką chrztu /działka?/. W 68 mawiano w Białymstoku "Z żydami zrobiono porządek, ale my tu mamy swoich «żydów»". Teraz w takim duchu się pisze, a tę pisaninę nagradza. Siemieniako zarzuci Białorusinowi wysługiwanie się Stalinowi i Hitlerowi na zgubę Polaków oraz przypisał marzenia o rezaniu Łachów na wzór Białoruska Obrona Krajowa, która miała pod bronią 30 tysięcy ludzi, nie puszczając z dymem ani jednej polskiej wsi. Krwawo natomiast spacyfikował białoruską wieś Załeszany na Białostocczyźnie oddział polskiego podziemia pod dowództwem "Burego", na cześć którego wydaje się dziś w drugim obiegu znaczki pocztowe.

Ja wiem, że artykuły o białoruskich sprawach zamieszcza "Więź", że praw mniejszości broni nie tylko profesor Tomaszewski na łamach "Polityki", lecz nawet sam polski papież. Wiem, że w Warszawie działa stowarzyszenie "Pomost", które stara się zapoznać młodzież z problemami mniejszości narodowych, i że w Sochaczewie mieszka bezinteresowny przyjaciel Białorusinów dr Janusz Gajewski. Działanie pozytywnego stereotypu "cichego, łagodnego Białorusina" odczułem wielokrotnie osobiście. Przecięt y Białorusin nie czyta jednak "Tygodnika Powszechnego", tylko "Kurier Podlaski" i ciekawi go nie tyle to, co myśli o nim /zapewne nic/ przeciętny Polak w Warszawie, lecz jego sąsiad z naprzeciwka.

Artykuł Siemieniaki uderza zresztą przede wszystkim w schizoidalną grupę prawosławnych Polaków, która zaczyna być powoli swoją prawosławną polskością zmęczona. Grupa ta z niepokojem obserwuje proces porozumienia pomiędzy władzą a Kościołem. W takim układzie nie ma dla niej miejsca. Należy więc liczyć się ze stopniowym jej rozkładem w wyniku przechodzenia na katolicyzm jednych i powrotu do białoruskości drugich. To drugie zaznacza się coraz wyraźniej.

Przedstawiony przeze mnie niewesoły stan organizacyjny ruchu białoruskiego do tylko fragment rzeczywistości. Dotychczasowe osiągnięcia społeczeństwa polskiego też mieszczą się raczej w sferze duchowej niż materialnej. Wciąż nie ma legalnej "Solidarności", dostępu do publikatorów, nie mówiąc już o wolnym rynku i demokracji. Mimo to społeczeństwo jest inne niż dziesięć lat temu. To samo z Białorusinami, choć ich dojrzewanie zachodzi z opóźnieniem. Zamarcie ruchu białoruskiego w latach 70. spowodowało ponadto lukę pokoleniową. Trudno dziś spotkać czynnego Białorusina koło czterdziestki, a więc w wieku predystynującym do przewodzenia. Starsi, po pięćdziesiątce, już nie nabiorą odwagi - za wiele w swoim życiu widzieli. Niemniej zapelniają sale podczas każdego białoruskiego koncertu. Dwa dni po wiele godzin trwa przegląd białoruskich zespołów amatorskich, a tłum chętnych odchodzi sprzed kasy z pustymi rękami. Tysięczne tłumy gromadzi organizowane od kilku lat święto Kupały /noc świętojańska/.

O wiele wyraźniej widać ożywienie narodowe młodzieży. Na pierwszym studenckim rajdzie "Bałkaszczyzna" /słowo to oznacza zarówno ojczyznę jak ojcowiznę/ były trzy osoby. Teraz liczba uczestników dobiega setki. Serdeczne powitanie uczestników rajdu

przez mieszkańców mijanych wsi jest niezapomnianym przeżyciem. Bal białoruskich studentów w Białymstoku gromadzi rokrocznie kilkadziesiąt osób, a drugie tyle odprawiają bramkarze. To wszystko mimo braku własnej organizacji. Jeśli zarejestrowane niedawno Białoruskie Zrzeszenie Studentów sprawdzi się w działaniu, powstaną inne organizacje młodzieżowe.

Coraz bliższe są związki laickiego dotychczas w swej istocie ruchu białoruskiego z ruchem prawosławnym. Ruch białoruski sojusz ten proponował od niepamiętnych czasów. Dziś, mimo niechęci prawosławnej hierarchii i związanej z nią elity /oficjalnie opowiadających się za polonizacją cerkwi, a prywatnie pielęgnujących często przywiązanie do kultury rosyjskiej/, także wśród młodzieżowych działaczy prawosławnych szerzy się przekonanie o tym, że prawosławie może przetrwać w Polsce tylko w białoruskiej wersji. Powstało Białoruskie Bractwo Prawosławne pod wezwaniem św. Cyryla Turowskiego, które wydaje białoruskie czasopismo pod greckim tytułem "Fos" /"Światło"/.

Tak więc nadal będą żyć w Polsce Białorusini. Być może, w związku z rozproszeniem Ukraińców i istnym exodusem ich młodzieży do Kanady, będą tu jedyną większą mniejszością narodową. Białoruskie samokreślenie wynika zarówno z wewnętrznej dynamiki ruchu białoruskiego, jak i odrzucenia przez społeczność polską. Nie bez znaczenia jest także to, że polskość straciła swą atrakcyjność kulturową. Akces do polskości oznaczał niegdyś akces do Zachodu. Białoruski Zachód to dzisiaj Wielka Brytania, USA i Kanada, gdzie istnieją ośrodki emigracyjne, które nawiązują coraz bliższe kontakty z Białostoczną. Na Zachód zorientowane jest także polskie prawosławie. Z biegiem czasu coraz większy wpływ wywierać jednak będzie ruch narodowy na sowieckiej Białorusi, który w ostatnich miesiącach narasta w postępie wręcz geometrycznym.

Polska, mimo wszystko, wciąż jest dla Białorusina najlepszym miejscem pod słońcem /jeśli nie liczyć Ameryki/. W walce na śmierć i życie, jaką białoruskość toczy z rusyfikacją, polonizacją Białostoczniny jest co najwyżej szarpaniem za nogawki. Tępiących administracyjnie i spychanych do swoistego getta Białorusinów nie stać tu na otwarty konflikt. Po prostu będą żyć obok Polaków i ich spraw.

OLEG ŁATYSZONEK

# PYTANIA o KOŚCIÓŁ

A DAM SZOSTKIEWICZ

## Kościół bez świeckich

Świeccy w Kościele - to brzmi zniechęcająco. Powiedziano o tym już chyba wszystko: na Soborze Watykańskim II, w licznych książkach, artykułach, wypowiedziach, w rozmowach prywatnych. A świeckich w polskim Kościele dalej nie ma.

Rachityczne rady parafialne - tam gdzie je w ogóle powołano - wyręczają proboszczów w najczarniejszej robocie administracyjno-budowlanej /ale bez wpływu na finanse/. Świeccy usadowili się więc na obrzeżach. Działają w najrozmaitszych ruchach, które hierarchia traktuje z rezerwą, bo to przecież przeszczerpy z Zachodu. Niektóre z nich - jak ruch oazowy - musiały latami walczyć o uznanie i akceptację. Są oczywiście biskupi popierający oddolne inicjatywy wiernych i są ruchy /przede wszystkim ujęte w karby duszpasterstw środowiskowych/ nie wzbudzające większych zastrzeżeń czy nieufności, gdyż przewodzą im duchowni. O kształcie polskiego Kościoła, o jego codziennym życiu decyduje się jednak bez świeckich.

Jakie są przyczyny takiego stanu rzeczy? Księża wymieniają najczęściej dwie: obawę przed infiltracją oraz niezdolność polskiego laikatu do przejęcia części odpowiedzialności za Kościół. Pragnący zmian mówią natomiast zwykle o słabym przenikaniu ducha ostatniego soboru.

Infiltracja nie jest czynnym wymysłem, ale powoływanie się na nią nie jest rozwiązaniem zakorzenionego w polskim Kościele syndromu "oblężonej twierdzy".

Obserwacja potoczna każe natomiast odpowiedzieć twierdząco na pytanie czy polscy świeccy są rzeczywiście "niedojrzałi". Są. Brak im poczucia odpowiedzialności za Kościół, ich wiedza i kultura religijna nie jest głęboka, wykazują też słabą identyfikację z Kościołem-wspólnotą wiernych. Ale czy można poczuć się odpowiedzialnym za coś, co postrzega się jako zbiurokratyzowaną maszynę świadczącą religijne usługi dla ludności? Czy można utożsamić się z instytucją, w której człowiek czuje się atomek w anonimowej masie? Ktoś, kto wysłuchuje od proboszcza, że jest właściwie zerem, bo myśli o wszystkim tylko nie o Bogu, musi się czuć w świątyni coraz bardziej obco. Nie czuje natomiast, że jest tam oczekiwany, częściej czuje się petentem, nawet intruzem.



W takiej atmosferze woli się wycofać z czynnego uczestnictwa w życiu własnej parafii. Tę różnicę klimatu łatwo zrozumieć ten, kto porówna niedzielną mszę świętą w osiedlowym kościele z mszą w gronie przyjaciół czy znajomych, odprawianą przy tym przez zaprzyjaźnionego księdza. Dlaczego tę drugą Eucharystię przeżywa się głębiej i wychodzi z niej duchowo wzmocnionym? Bo odzyskuje się indywidualność. Zwłaszcza homilia brzmi wtedy inaczej - adresowana jest do konkretnych ludzi. Wiem, że teologicznie biorąc nie ma i nie może być pomiędzy tymi mszami żadnej różnicy, jest ona jednak wyraźna w sensie psychologiczno-religijnym.

Jaki obraz świata wyłania się z kazań, konferencji, dokumentów kościelnych, z rozmów z księżmi, klerykami, a także z częścią zaangażowanych świeckich członków Kościoła w Polsce?

Centralne miejsce zajmuje w nim Polska. To, co może nie dziwić w bogatych krajach Zachodu - choć i tam niepokoi - musi drażnić w kraju wlokącym się w szarym ogniu światowej cywilizacji. Główny tytuł do narodowej dumy to naturalnie Papież-Polak. Prócz Jana Pawła II nie cytuje się już żadnego innego pasterza Kościoła Rzymskiego. Autorytet Papieża w sprawach religijnych i duchowych nie podlega dyskusji, jego przenikliwe analizy etyczne, jego katecheza są godne uwagi i refleksji i zasilają na szacunek, ale źle jest, gdy autorytet ten próbuje się wykorzystywać do zablokowania rzeczowej wymiany poglądów, opinii i argumentów. Taka postawa jest sprzeczna z duchem pluralistycznych społeczeństw współczesnych. Sam Papież zresztą nie rości sobie pretensji do wszechwiedzy, unika wskazywania szczegółowych rozwiązań, ale nie waha się głosić Ewangelii i w jej świetle mówić o świecie współczesnym - w tym tkwi jego siła.

Przykładem może być tak zwana katolicka nauka społeczna, którą w Polsce prezentuje się tak, jakby nie była ona przedmiotem licznych, żywych i bogatych intelektualnie sporów poza granicami naszego kraju. W obiegu potocznym krąży zaś frazezy o "materializmie praktycznym", "konsumpcyjnym stosunku do życia", "kulcie pieniądza" i innych grzechach społecznych. Słyszymy o tym nie tylko w odniesieniu do świata zachodniego, ale i do nas samych, nędzarzy Europy. Tępy w kościołach milczą, dopiero po wyjściu ze świątyni, w rozmowach prywatnych ludzie zaczynają porównywać słowa księdza z rzeczywistością własnej biedy i luksusowych jak na polskie warunki samochodów niektórych proboszczów.

Gromy ciskane w zmaterializowany i zateizowany Zachód nie zmieniają faktu, że nadal pozostaje on nie tylko przedmiotem marzeń, ale i coraz bardziej istotnym zapleczem ekonomicznym pozwalającym całkiem przyzwyczajeniu urządzić się nad Wisłą.

Wiem, że bliższą ciału koszula i każdy Kościół narodowy zajmuje się przede wszystkim sprawami lokalnymi, zwłaszcza jeśli są one tak bolesne i trudne jak sprawy polskie. Czasem jednak wydaje mi się, że perspektywa polskiego Kościoła nauczającego jest stanowczo za wąska i uproszczona, tak jakby katolickość nie oznaczała powszechności, a tylko etnocentryczność.

Wróćmy jednak do świeckich. Istnieje jeszcze jeden powód - może najważniejszy - ich nieobecności w naszym Kościele. Utrzymujący się latami dualistyczny model polskiego Kościoła /dźwigający całą odpowiedzialność kler i bierne masy wiernych świeckich/ skutkuje podświadomą zgodą laikatu na ów status biernych podmiotów duszpasterskiej i wszelkiej innej aktywności duchowych. W ten sposób błędne koło się zamyka. Mówienie o potrójnej funkcji Ludu Bożego pozostaje pustą formułą, a świeccy dalej ulegają ciężarowi rodzimej tradycji wszędobylskiego klerykalizmu. A przecież widzi się nieraz, z jaką ulgą i niemal radością reagują młodzi zwłaszcza księża na zgłaszane samorzutnie przez świeckich - np. na wakacyjnych oazach rodzin - propozycje wyłączenia ich z niektórych obowiązków administracyjnych, na sugestie dotyczące szczegółów liturgii, doboru czytań czy oprawy muzycznej albo sposobów rozwiązania problemów czy konfliktów powstałych we wspólnocie ich sióstr i braci w wierze. Widzi się też, z jaką nadzieją przyjmują gotowość świeckich do świadczania własnym życiem, na co dzień, orędziu Ewangelii.

Bez otwarcia się na świeckich, bez uruchomienia ogromnej energii w nich potencjalnie tkwiącej i bez stworzenia dróg jej ujścia Kościół nasz może nie podołać wyzwaniu nadciągających czasów. Trzeba stworzyć rzeczywiste warunki przejścia przez nich czę-

ści odpowiedzialności za bieg spraw w polskim Kościele. Można by zacząć od spraw elementarnych - przede wszystkim od ożywienia rad parafialnych. Krokiem naprzód byłoby także powstanie w Polsce prawdziwie świeckiej prasy katolickiej, której poza nielicznymi wyjątkami u nas nie ma. W dalszej perspektywie można by pomyśleć - czemu nie? - o takich luksusach, jak katolickie stacje radiowe i telewizyjne, "Prawdziwe" katolickie środki przekazu powinny być jednak rzeczniczek katolickiej opinii publicznej /której, niestety, prawie u nas nie ma/. Inaczej skończy się na telewizyjnej mszy świętej i pogadankach. Można by uruchomić oddolny ruch ekumeniczny. Świeccy zaś mogliby ze swej strony zacząć się samorzutnie organizować wokół spraw, które są dla nich ważne. Niewykluczone, że w Polsce sformowałby się ruch katolickiego obywatelskiego nieposłuszeństwa, protestujący przeciw ustawie o przerywaniu ciąży czy karze śmierci. Mogliby się w nim spotkać na zasadzie całkowitego partnerstwa świeccy i księża nie czekający, aż hierarchia to za nich "załatwi". Można wreszcie zastanowić się nad zwołaniem ogólnopolskiego spotkania czynnych katolików świeckich, poprzedzonego podobnymi spotkaniami lokalnymi i regionalnymi. Choć przy tym podkreślić, że nie chodzi mi w tym wypadku o działalność kryptó czy jawnie polityczną, o tworzenie zrębu jakiejś przyszłej katolickiej partii politycznej, lecz wyłącznie o stworzenie platformy porozumienia na rzecz przemian wewnętrznych w naszym Kościele. Proponuję tylko odrzucenie postawy biernych malkontentów przyglądających się z boku narastaniu kryzysu w naszym Kościele.

Może jeszcze nie jest za późno. Obawiam się jednak, że jeśli nic się nie zmieni, jeśli polscy świeccy katolicy nie wybiją się na jawność i samorządność, jeśli nie staną się współgospodarzami własnych parafii, a w konsekwencji własnego Kościoła - sytuacja u nas może się rozwinąć analogicznie do takiej np. Hiszpanii, gdzie nastaniu demokracji parlamentarnej towarzyszyło rozpoczęcie lawinowo narastającej laicyzacji społeczeństwa. W pluralistycznej, suwerennej Polsce Kościół przestanie - mam nadzieję - pełnić funkcję namiastki państwa. Odejdą spod jego skrzydeł wszyscy ci społecznie zaangażowani świeccy, którzy znaleźli się w nim głównie dlatego, że nie było innych możliwości publicznego działania. Odejdzie część niezależnych działaczy robotniczych, młodzieżowych, ludzi kultury i sztuki, intelektualistów. Byłby to zresztą objaw zdrowy, bo w normalnym państwie tak właśnie być powinno. Ci, którzy zostaną, będą natomiast w dużo trudniejszej sytuacji i muszą zrobić wszystko, by nie spełniły się obawy, wyrażane dziś coraz śmielej, że obecny kształt polskiego Kościoła, Kościoła bez świeckich, może okazać się przeszkodą w dziele reewangelizacji naszego kraju. Kościół przyszłego stulecia, Kościół reewangelizacji Polski, wolny od triumfalizmu i odklerykalizowany, Kościół-wspólnota Ludu Bożego, jednoczący duchownych i świeckich, Kościół hierarchiczny, ale oparty na demokratycznych i samorządnych społecznościach parafialnych, ruchach i wspólnotach tworzonych oddolnie, Kościół dysponujący uformowaną opinią publiczną spełniającą rolę wewnętrznej świeckiej opozycji - tylko tyle i aż tyle.

ADAM SZOSTKIEWICZ

# Pytania na 70-lecie KUL-u

W 1988 r. egzaminowałem kandydatów na I rok romanistyki KUL. Większość tych młodych ludzi, zresztą dość dobrze przygotowanych i inteligentnych, to typowy produkt prł-owskiej edukacji. Ich horyzont umysłowy rzadko wykraczał poza stereotypy wbi-jane przez państwową szkołę i państwowe mass-media. Przykładowo podam, że na wielo-krotnie zadawane pytanie o Sołżenicyna, tylko raz czy dwa uzyskałem odpowiedź. Jak teraz z tych zswietyzowanych, oghupionych przez system ludzi zrobić świadomych członków "społeczeństwa obywatelskiego", dojrzałych do podmiotowości, o której wciąż mówi Papież, a o której notabene tak interesująco pouczył Gorbaczowa ex-rektor naszego uniwersytetu ks. Krapiec?... Choć zle języki powiadają, że nie zawsze tę podmioto-wość wzbudzał u siebie na KUL.

Oto więc byłoby zadanie "jedynej katolickiej uczelni na wschód od Łaby". A jak się z tego zadania wywiążemy? Czy jesteśmy autentyczną "communitas studiosorum"? Żywa wspólnotą akademicką?

W ostatnich /1988/ wyborach do samorządu uczelnianego wzięło udział znacznie mniej niż połowa studentów. Brak zresztą studenckiej reprezentacji w Radach Wydziału i w Se-nacie /tak jak i brak przedstawicieli niesamodzielnych pracowników nauki!/. Czy sprzy-ja to rozwijaniu poczucia odpowiedzialności - podmiotowości wśród uniwersyteckich "mas"? A może utrwalamy takimi niedemokratycznymi obyczajami wyrobiony w prł-owskiej szkole nawyk "nie wychylaj się"? Może studenci nauczani przykrym doświadczeniem coraz rzadziej podejmują własne inicjatywy starając się "przeczekać" - nieufnie - wszelkie pomysły naruszające odwieczny porządek rzeczy?

Stosunki między nauczającymi i studentami cechuje często taka właśnie nieufność. Sprzyja jej dosyć sztywny układ hierarchiczny, sztywny dystans ustanawiający bierną zależność od wykładowcy, który stosuje nieraz infantylne i infantylnizujące metody kontroli, jak sprawdzanie obecności na wykładach etc. Słowem zamiast dojrzałego, doro-słego traktowania przez studenta pracy na własną odpowiedzialność, mamy rygory tzw. dyscypliny studiów, której korzenie, o czym się dziwnie zapomina, tkwią w stalinow-skiej reformie uniwersytetów z 1949 roku. Łatwo zgadnąć, co się dzieje, gdy przepisy wymyślone w ponurym domu wariatów, bierzemy serio i stosujemy jak najrzetelniej. Pomi-jam sprawę samego programu studiów realizowanego na Wydziale Humanistycznym według zaleceń ministerstwa z dozwolonymi dla "sektora katolickiego" odchyleniami, bo to o-sobny temat, który ma zresztą stać się przedmiotem wewnątrzuniwersyteckiej debaty, choć obawiam się, że grono zwolenników "starego" /"da bude kak buwaio", jak mawiali galicyjscy konserwatyści/, zwolenników "systemu nakazowo-rozdzielczego", a nie "wol-nego rynku" na uniwersyteckim terenie, okaże się równie silne jak lobby "węgla i sta-li" w skali całego PRL.

Niepokoji zatem swoiste "zinterioryzowanie" sowieckich norm życia publicznego, cze-go drobnym, ale znamienym przykładem jest wymaganie od kandydata na studia opinii proboszcza, która to opinia liczy się w skali od 0 do 5 punktów - a jest to bliź-niacza replika wymaganej na państwowych uczelniach opinii "czynnika społecznego" czy-li PZPR...

A może dokonuje się tutaj symbioza dwóch najlepszych tradycji? Z jednej strony to tradycja PRL, ów klimat zswietyzowanego, skonformizowanego społeczeństwa, którym odycha także Kościół polski /"kapłan z ludu wzięty".../, jego tkanki są więc równie zagrożone jak tkanki wszystkich tu żyjących. A z drugiej strony niehowa pokusa kle-

rykalno-autorytarna europejskiego chrześcijaństwa - zasadniczo nieufnego względem inicjatyw jednostki i zasadniczo ufnego względem poleceń "autorytetu" nie tylko "biskupa", ale i "cesarza". Tu bierze początek zasada, że "owieczki należy prowadzić". A nie rozbudzać w nich osobistą odpowiedzialność i podmiotowość. Jakos tak bowiem jest, że "szatańskie podszepty" miałyby łatwiejszy dostęp do dusz maluczkich, natomiast obdarzeni charyzmą władzy byliby zazwyczaj skłonni słuchać rad Ducha Świętego. Stąd poddanie zwierzchności /"karności"/ wyrasta na cnotę fundamentalną. A reguła wiodąca staje się reguła przystosowania do istniejących układów czyli konformizm... Ilustracją niech będzie stosunek do dyscypliny studiów, jak już wspominałem, aplikowanej z całą skrupulatnością walczącej z kurzem w refektarzu klasztornej siostrzyczki. Nie chęć poprzestać na ogólnikach. Okazuje się, że na KUL-u można wyrzucić studenta w wyniku jednoosobowej decyzji prowadzącego ćwiczenia - odmowa zaliczenia równa się niedopuszczeniu do sesji egzaminacyjnej czyli usunięciu ze studiów. Na Uniwersytecie Jagiellońskim dziekan najczęściej daje w takich wypadkach zaliczenie warunkowe i pozwala przystąpić do egzaminów. Na KUL-u prodiakan do spraw studenckich /doc. Kaczmarekowski/ nie korzysta jednak z dziekańskiego "prawa łaski", zasadniając to niechęcią do stwarzania precedensu. Dura lex... Taki stan rzeczy spowodował zresztą interwencję u Rektora podpisaną przez z górą 40 studentów romanistyki. Odpowiedź padła wymijająca, a jej rezultatem była trwała frustracja młodych konstatorów potwierdzająca mądrość pokoleń: "i tak nie się nie da zrobić"...

W takim klimacie, powiedziałabym eklezyjastycznej ostrożności, mniej dziwi, że pomysły rejestracji NSZZ "Solidarność" w początku 1988 roku nie wzbudziły entuzjazmu uniwersyteckiego establishmentu. Na dwustu kilkunastu sygnatariuszy bardzo niewiele należy do KUL-owskich szczytów hierarchicznych.

Uniwersytet przeżywał okres świetności w czasach stalinizmu. Gdy gdzie indziej szalały wichry ideologicznego obłętu, KUL stanowił ostoję zdrowego rozsądku, filozofowie czy poloniści pod kierownictwem Czesława Zgorzelskiego, Ireny Sławińskiej, później Stefana Sawickiego studiowali i pracowali naukowo jak w normalnym świecie. Także w 1968 roku, w okresie marcowej epidemii wielu wyrzuczonych z państwowych uniwersytetów studentów znalazło na KUL-u schronienie. Są to piękne, niezatarte karty.

Jednakże fakt, że się stanowiło enklawę-rezerwat wśród szalejących w kraju burz, zrodził poniekąd mentalność rezerwatu. Dla ochrony wciąż zagrożonego wyjątkowego statusu uczelni rezygnowano z dynamizmu i ekspansji, z obawy przed gradobiciami odkładano siewy, jak mówi francuskie przysłowie "Ochroniajmy substancję", "nie narażajmy uczelni" mogłowiec stać się hasłem naczelnym także na czasy, gdy "gradobicia" już tak bezpośrednio nie grożą. "Nie drażnić" i "ochraniać" to zresztą postawa niewątpliwie rozumna, tyle że łatwo zeszlizgująca się w płaski konformizm /on to zaprowadził byłego rektora biskupa Hemperka do wyborów w czasie bojkotu w 1985 r.c.m.ż./... Zwłaszcza że jest co osłaniać i ochraniać: KUL buduje nowe gmachy, potrzebuje życzliwości różnych urzędów miejskich i niemiejskich, wykładowcy jeżdżą wiele za granicę, co przynosi niewątpliwie korzyści nauce, ale także i niejaki awantaż samym uczonym... A budując gmachy nie zawsze pamięta się, że trwalsze niż ceglane bywają mury duchowe. Imponująca nowa fasada przy Alejach Racławickich przykrywa liczne i uciążliwe na co dzień mankamenty życia uczelni...

W trudnych czasach pomagało KUL-owi to, że był pod bezpośrednią osłoną episkopatu. Rektorem zostawali z reguły biskupi lub też rektorzy zostawali biskupami... Można by powiedzieć, że wskutek tych ścisłych związków KUL był nie tyle uniwersytem katolickim, ile uniwersytem kościelnym. Częścią kościelnej instytucji, w której święcy pełnili role podrzędne. Ta "klerykalizacja" nie zawsze wychodzi naszemu uniwersytetowi na dobre. We współnocie akademickiej wyrabia się nawyki, by ogólnie powiedzieć, dalekie od ducha jawności, samorządności i podmiotowości... Instytucja kościelna, hierarchiczna, oparta na autorytecie, obywa się bez takich mechanizmów eliminacji i selekcji, jakie społeczność świecka częstokroć w sobie wytwarza, świadoma swej ludzkiej niedoskonałości. W samorządnym społeczeństwie obywatelskim władze można odwołać czy drugi raz ich nie wybrać, w opartej na zasadzie hierarchicznego posłuszeństwa instytucji kościelnej wygląda to zasadniczo odmiennie, taki "ustrój" Kościoła służy przekazywaniu wiary, ale dramat zaczyna się, gdy wkracza na teren świecki, gdy

przekracza swoje religijne kompetencje politykując, administrując, gospodarując itp. Jednakże w okresie zarówno ogromnych przemian, jak i ogromnej odpowiedzialności Polaków za przyszły kształt tej części Europy podstawowym dylematem KUL-u jest: czy "wygodnie przetrwać", czy podjąć wyzwanie epoki rozpadającego się komunizmu z całym ryzykiem poszukiwania odpowiedzi.

KUL ma w świecie wysoką markę, także jako uczelnia, na której wykładał ks. doc. Karel Wojtyła. Czy tym wysokim oczekiwaniem, tej koniunkturze sprosta? Czy ograniczymy się do komfortowego rentierstwa żyjąc z wysokiego kapitału, czy pomożemy powierzone talenty? "Jedyny na wschód od Łaby uniwersytet katolicki" graniczy zarazem o miedzę ze Związkiem Sowieckim, ogromnym terenem misyjnym dla Kościoła i chrześcijańskiej myśli. Rosja Gorbaczowa otwiera ogromne szanse i w tym kierunku. Żniwo bogate, ale czy robotników wystarczy? I czy nie zleniwiła ich serce? Budowanie mostów między chrześcijańską myślą Zachodu i obszarami Wschodu rysuje się jako nasze szczególnie zadanie. Istnieje w Rzymie Instytut Kultury Chrześcijańskiej im. Jana Pawła II związany z naszą uczelnią, może by oszczędzając wygospodarował trochę funduszy na wydanie w językach sowieckiego imperium - po rosyjsku, po litewsku, po ukraińsku czy białorusku, łotewsku i estońsku krótkiej broszurki pt. "Jan Paweł II o prawach człowieka i prawach wierzących"? Oby mająca powstać na KUL-u slawistyka pod kierunkiem prof. Ryszarda Łuźnego znalazła klimat sprzyjający. Oczekujemy od ludzi odpowiedzialnych za naszą uczelnię więcej rozmachu i wyobraźni na 70-lecie jej istnienia!

JAN PROKOP

JAN PONIĘWSKI

## Byłem świeckim katechetą

Byłem katechetą. Znalazłem tę pracę wyłącznie dzięki długoletniej znajomości z proboszczem. Inaczej nie miałbym szans /mężczyzna, żonaty, bez dyplomu teologii w kieszeni/. Księża, mimo nieustannych narzekania na nadmiar pracy, boją się świeckich. Obawiają się ich roszczeń finansowych /zwłaszcza gdy świecki ma na utrzymaniu rodzinę/, lepiej zatrudnić zakonnice, która będzie pracować za pół darmo. Wiadomo, siostra w klasztorze nie umrze z głodu, bliska też jej jest idea pracy dla Królestwa Bożego. Zakonnice można też zawsze - w porozumieniu z przełożoną - po cichu usunąć, gdy stanie się niewygodna. Zwolnienie świeckiego, obciążonego rodziną, wiąże się z dyskomfortem psychicznym i pewnym ryzykiem. Kto wie, co może się zalegnąć w jego głowie? Może zechce targnąć się na dobre imię Kościoła świętego? Swego czasu głośna była sprawa katechety szukającej sprawiedliwości w sądzie biskupim, a potem - nie znalazłszy jej tam - w sądzie powszechnym.

Księża obawiają się też skandalu obyczajowego /najłatwiej znajdzie pracę niezamężna dziewczyna, ze znanej proboszczowi rodziny/, no i herezji. Coraz częściej wymaga się od katechety ukończonych studiów teologicznych, kurs katechetyczny - w myśl decyzji Episkopatu uprawniającej do katechizacji - nie wystarczy. Faktem jest, że "kur-

sanci" są zazwyczaj niedouczeni. Kurs katechetyczny, który kończyłem, odznaczał się tymi samymi cechami, co całe szkolnictwo kościelne. Obok wykładów znakomitych: były i gorsze: do dziś pamiętam opowieści historyka Kościoła o masonerii, pedagoga zupełnie nie przygotowywało do problemów, z jakimi zetknąłem się w salce katechetycznej. Nie wyobrażam sobie jednak, by można było na tym poprzestać. Wymóg podnoszenia kwalifikacji jest rzeczą chwalebna, ale nie może to być czysty formalizm. Tu nieważny jest poziom wiedzy teologicznej kandydata - najwybitniejszy samouk czytający w oryginale "Summę" ma marne widoki na pracę, z otwartymi rękami natomiast przyjęta zostanie panienska ucząca się na pamięć skryptów ks. X na studiach zaocznych. A tak na marginesie: czy w katechizacji najważniejsza jest wiedza? Osobiście wolałbym, aby moje dzieci religii uczyła Matka Teresa niż profesor Hans Küng. Wiem, że nie sposób oceniać czyjąś żarliwość i wiarę, lecz rzecz ciekawa: w czasie moich starań o pracę żaden z księży nie podejmował rozmowy na tematy zasadnicze.

Katecheta świecki, który znalazł wreszcie pracę, staje wobec wielu problemów. Musi liczyć się ze zdumieniem i baczną obserwacją ze strony parafii, musi być przygotowany na nieco inne niż w szkole kontakty z młodzieżą. Nie zawsze dobrze układają się stosunki z proboszczem. Wprawdzie istnieje - ustalona przez Episkopat - dolna granica, poniżej której nie może spaść wysokość pensji /w teorii jest ona zbliżona do płacy nauczyciela, nie bierze się jednak pod uwagę, że nauczyciel dostaje sporo dodatków np. za sprawdzanie zeszytów, wychowawstwo itp.: poza tym etat katechety obejmuje więcej godzin\*, ale w życiu wygląda to różnie. Nie istnieje żadna instytucja broniąca pracowników kościelnych, odwoływanie się do kurii nie przynosi rezultatu. Znam przypadki nieregularnego wypłacania pensji, wydawania kartek na mięso w drugiej połowie miesiąca.

Księży najczęściej nie interesują zakupy pomocy katechetycznych. Sami prowadzą lekcje metodą wykładu, zarówno w klasie maturalnej, jak i w zerówce. Katecheta, chcąc urozmaicić "religię", musi nieustannie nagabywać proboszcza o pieniądze lub z własnej kieszeni kupować przezroczka, kasety, mapy, tablice pogładowe. Nie spotkałem dotąd diecezji, w której istniałaby wypożyczalnia pomocy katechetycznych.

Dość spójny program, który trzeba realizować /wizytacje, kontrole dziennika/, przewiduje, że katecheta spotyka się z uczniami szkoły podstawowej 2 razy w tygodniu. Praktyka wygląda inaczej /poza przygotowaniami do I Komunii św./.. W większości parafii katecheza odbywa się raz na tydzień. W rezultacie katecheta "przerabia" połowę tematów /wybranych na chybił trafił, bo nikt nie pomyślał o skróconej wersji programu/ i pomija w ten sposób jakiś fundamentalny dla chrześcijaństwa problem, sakrament lub przykazanie. Uderza brak synchronizacji treści katechetycznych z wiedzą zdobywaną w szkole. Młodzież uczy się np. na biologii o teorii ewolucji, nie pamiętając katechezy z klasy V o stworzeniu świata. Dotyczy to wielu kwestii historycznych, interpretacji lektur itp. Prowadzi to do swoistej schizofrenii znakomicie odzwierciedlanej przez anegdotkę o tym, jak dziecko zapytane przez siostrę zakonną o nazwę stukającego w drzewo ptaka, odpowiedziało: Duch Święty.

Katecheci z braku czasu, wyobraźni, inicjatywy często niewolniczo trzymają się programu, bez żadnych zmian realizują katechezy /nie zawsze dobre/ zawarte w podręczniku metodycznym. Niestety, kościelni metodycy i wizytatorzy za mało myślą o opracowywaniu katechez reagujących na wielkie wydarzenia w życiu narodu czy Kościoła. Obecny program powstał w latach 70., praktycznie nieobecne jest w nim nauczanie Jana Pawła II.

W większości polskich diecezji, w klasach V - VIII obowiązuje czterotomowy Katechizm Religii Katolickiej, wielokrotnie wznowiany, raz wydany nawet w Paryżu przez Editions du Dialogue /znakomite fotografie dzieł sztuki sakralnej!/. Przy względnie dobrych tomach I i II /Stary i Nowy Testament/, tom III Katechizmu grzeszy śmiertelną nudą, a IV /teologia moralna/ napisany jest w duchu współpracy z władzami państwowymi /np.: "Czy może być bezpieczne państwo bez wyszkolonej armii, bez obywatelskiej

\* - Pracowałem jako katecheta w pierwszej połowie lat 80. Od tego czasu mogły się zmienić realia finansowe. Nie bardzo w to jednak wierzę. Co więcej, z lękiem myślę, czy proboszczowie dostatecznie szybko rekompensują swym pracownikom skutki inflacji.

śłużby wojskowej? Jaką szkodę wyrządza krajowi obywatel, gdy stara się uchylić od służby wojskowej?" I jeszcze jedno kuriozum, tym razem z t.II: "Poznanie tajemnic świata winniśmy złoczyć z ofiarą Chrystusa dla zbawienia świata" - to treść podpisu pod fotografią z lekcji ...PO.

Mimo triumfalistycznych ocen polskiego katolicyzmu sądzę, że katechezę polską trawi choroba. Czas chyba najwyższy na publiczne postawienie diagnozy i poszukiwanie lekarstwa.

JAN PONIĘWSKI

WACŁAW JASION

# Zapiski na marginesie

## SPRAWA DOKUMENTU PRYMASOWSKIEJ RADY SPOŁECZNEJ

Komentarz kardynała Glempa do projektu dokumentu Prymasowskiej Rady Społecznej na temat poszanowania światopoglądów w Polsce jest niezwykle ważnym świadectwem stanu mentalności polskiego Kościoła i postaw pewnej - jak znacznej, nie sposób określić - części naszego społeczeństwa\*. Ze względu na stanowisko autora komentarza i autorytet reprezentowanej przez niego instytucji wyrażonym przezeń opiniom warto poświęcić baczną uwagę. Wszelkstronną analizą uwag Prymasa zająć się powinni teologowie - ja chciałbym jedynie zgłosić trochę dyletanckich wątpliwości, jakie nasuwają mi się przy lekturze. Jeśli sięgam po pióro mimo braku kompetencji profesjonalnych i mimo niezajomości samego dokumentu, który stał się przedmiotem krytyki Prymasa, to w przeświadczeniu, że w krytyce tej zawarte są tezy w wiele niebezpieczniejsze od sformułowań, które ją spowodowały.

Zacznijmy od centralnego dla myśli Prymasa pojęcia narodu. Nosi ono wyraźne ślady wpływu romantycznej koncepcji narodu jako organizmu, samostannego bytu zajmującego określoną, wysoką - wyższą niż jednostka - pozycję w naturalnej hierarchii istnień. Nie wdając się w polemikę z tą koncepcją - gdyż to temat na osobną książkę - wystarczy powiedzieć, że nie wydaje się ona najszcześliwiej dobrana; staje się natomiast wręcz niebezpieczna, jeśli "naród" uznamy za ośrodek, z którego emanują zasady prawa i etyki społecznej. Takie zaś rozumienie zdaje się zawierać zdanie: "*żądania neutralizacji niektórych instytucji jest żądaniem na tym etapie, nie możemy bowiem zakładać, że neutralność będzie w przyszłości odpowiadać postawom narodu*" /oba podkreślenia moje -WJ/. "Postawom" narodu niemieckiego doskonale odpowiadała polityka Hitlera, podobnie jak terror religijny rządów Chomeiniego odpowiada "postawom" narodu irańskiego. Także krwawe prześladowania chrześcijaństwa odpowiadały rozszalałym instynktom rosyjskiego muzyka, którego rękoma dokonano rewolucyjnego przewrotu. Fakt, że zło dokonywać się może z poparciem narodu w najmniejszym nawet stopniu owego zła nie usprawiedliwia. Istnieją "postawy", których aprobować - a nawet tolerować - nie wolno, choćby wyrażał się w nich najgłębszy "rdzeń" uczuć narodowych. Pewne postulaty, w tym postulat neutralności państwa, nie obowiązują na danym etapie, lecz obowiązują wiecznie. Kto tego nie rozumie, sam spycha siebie na pozycję demagoga.

Jaką alternatywę widzi Prymas dla idei państwa neutralnego światopoglądowego? Z niejasnych wzmianek można wnosić, że chodzi mu o jakąś wersję państwa wyznaniowego, w którym religia większości cieszyłaby się przywilejami prawnymi. Prymas nie zauważa

ża, iż jest to równoznaczne z przyjęciem krytykowanej przezeń zasady "cuius regio eius religio", tyle tylko, że w wersji zdemokratyzowanej. Zdemokratyzowanej - to znaczy niebezpieczniejszej, bo do ucisku państwa dodającej uniformizujący wpływ opinii publicznej.

W wywodach kardynała pojawia się także pojęcie "narodu ochrzczonego". Nie wiem, co na ten temat powiedzieliby teologowie, mnie pojęcie to wydaje się z gruntu pogardliwe. Na dodatek wynika z niego chyba, że zbawiani będziemy zbiorowo. Co jednak oczekuje nieszczyśnych Amerykanów czy Kanadyjczyków, którym Prymas odmawia prawa do miar na narodu?

Jeśli naród faktycznie jest ochrzczone, to w żaden sposób nie da się uniknąć pojęcia "Polak-katolik". Zdaniem Prymasa ośmieszenie tego wyrażenia to zadanie godne "Argumentów". Nie podzielam tej opinii, żeby mnie jednak nie stawiano w szeregu ludzi spod znaku Mysika / co jest mimo wszystko znacznie gorsze, niż znalezienie się w gronie stronnictwa Giertychów/, a co ważniejsze, by nie wyważyć dawno otwartych drzwi, zauważę jedynie, że zbitka "Polak-katolik" miesza dwa odrębne porządki wartości: porządek historyczny, w którym usytuowana jest wartość narodu, z porządkiem abso-lutnym, w który wkraczamy poprzez wiarę. Wątpię, by takie pomieszanie było korzystne dla kogośkolwiek ze składników, a z całą pewnością prowadzi ono do instrumentalizacji wiary.

Szkokująco brzmią słowa, że "w jakimś sensie" katolikami są również "uczciwi partyjni". Jak ubogi byłby katolicyzm, gdyby do zaliczenia do grona członków wspólnoty wystarczyła choćby odrobina "sentymentu" dla Kościoła. Zauważmy na marginesie, że prawo do miana "prawdziwych Polaków" przyznane zostało "naszym dzisiejszym przywódcom partyjnym", nie dostąpili zaś tej łaski przedstawiciele "lewicy laickiej". "Prawdziwym" Polakiem jest więc Jaruzelski, co ile odczuwa wzruszenie na wspomnienie swej ministranckiej młodości, nie jest natomiast Michnik - przynajmniej tak długo, dopóki nie skorzysta z pozostawionej przez Prymasa furtki i nie nawróci się na judaizm.

Kolejne zaskoczenie stanowiła dla mnie opinia, iż postulat "wolności sumienia i wyznania" to tylko maska dla propagowania ateizmu i dlatego należy się go wyrzec. Kompetencjom teologów pozostawiam rozstrzygnięcie, jak ma się wolność sumienia i wyznania do proponowanej w zamian "wolności religijnej", od siebie chcę tylko zaznaczyć, że bez zagwarantowania pierwszej z tych dwu wolności nie sposób sobie wyobrazić jakiegokolwiek znośnego ładu społecznego.

Zgłoszone w punkcie 4 "Uwag" zastrzeżenia wobec zasady "prywatności" religii opierają się na nieporozumieniu, na nieuchwytywaniu związku zachodzącego między kategoriami "prawa", "obowiązku" i "przymusu", można je więc pominąć. Nie sposób jednak przejść obojętnie wobec prymasowskiej krytyki postulatu swobody duszpasterskiej wszystkich wyznań. Można mieć niskie zdanie o działalności Świadków Jehowy czy o praktykach kultów wschodnich - bo trzeci z podanych przez Prymasa przykładów to zjawisko z innego poziomu, trudno nazwać satanistów wyznaniem - ale odmawianie im prawa do istnienia to oznaka co najmniej arogancji, arogancji kogoś, kto ma poczucie odniesienia ostatecznego tryumfu.

Brak zrozumienia dla zasad neutralności państwa czy wolności sumienia wyjaśnia się wraz z pojawieniem się drugiego, obok narodu, ważnego pojęcia w myśleniu społecznym kardynała Glempa - pojęcia demokracji. Polegać ma ona na tym, "że uznaje wolę większości, pozostawiając mniejszości możliwość starania się o zdobycie większości". Dla każdego, kto choćby otarł się o elementarz polityki, jest rzeczą jasną, że taka definicja demokracji czyni z niej nie co innego, jak dyktaturę większości. W czasach, gdy na ustach wszystkich jest hasło pluralizmu, warto dostrzec, że jego wro-gowie znajdują się nie tylko w obozie komunistycznym.

Trzecie z fundamentalnych pojęć, z których rozumieniem w ujęciu Prymasa chciał-bym polemizować, nie pojawia się wprawdzie na kartach jego rozważań, pośrednio jednak przez nie przebiega. Chodzi o pojęcie prawdy. Jeśli jest coś łączącego różno-rakie nurty dzisiejszej filozofii, to przeświadczenie, że prawda wyłania się z dia-logu, z ubogacającej wzajemnie konfrontacji cząstkowych perspektyw. Sposób myślenia kardynała Glempa fascynacji filozofią raczej nie zdradza. Koncepcja prawdy, jaka ry-suje się w tekście, zakłada nie tylko, że prawda jest jedna - z czym trudno byłoby się nie zgodzić - ale i że została ona złożona w ręce jednego depozytariusza, w do-datku w postaci gotowej, nie wymagającej rozwinięcia przez dalszą refleksję. Nie moż-na przy takim pojmowaniu prawdy liczyć na zrozumienie obowiązku wsłuchiwania się w świadectwa innych, na świadomość własnych ograniczeń.

Nie można też liczyć na przenikliwość większą niż ta, jaka wykazał Prymas dostrze-gając na mapie ideowej Polski - obok wierzących - tylko "beźbożników pospolitych" i lewicę laicką. Przy tak nieskomplikowanym widzeniu rzeczywistości społecznej nie ma



co raczej oczekiwać jakiejś poważniejszej diagnozy trawiących Polskę nieszczęść.  
Nad przekonaniem, że niewiara równa się chorobie duchowej człowieka, zatrzymywał się nie będę. Zastanawiam się, dla kogo sąd taki jest silniejszym policzkiem: dla niewierzących czy dla chrześcijan?

WACŁAW JASION

---

# Andrzej L. Kalinowski

## PLAGIAT

nie miałem zielonego  
pojęcia

zachodzę  
w głowę  
bez ogródek

uszy wędzną

kobyłka u płotu

wyprowadzam  
w pole

ani widu ani słychu

a tu  
piąte koło  
u wozu

jesień - ręce opadają

## ZNAK

znak szczególnie  
ukryty znak  
znak czasu

na szlaku w pół słowa

znak kropka nad i i  
znak symbol  
znak po sobie

znak przytwierdzony do serca  
znak, jak wszystkie znaki  
na niebie

znak protestu

RAYMOND ARON

## Maj 1968 w Paryżu

Wydarzenia majowe 1968 roku, jak wszystkie rewolucyjne dni we Francji, nie giną w mgłę przeszłości, są nadal obecne, wydają się heroiczne, to znów komiczne, w zależności od nastawienia ludzi, budzą wciąż emocje nawet, a może przede wszystkim, socjologów\*). Dyskusjom zbuntowanych studentów dostarczyli oni tak wiele idei i słów, że ich związek poczuł się tym bezpośrednio poruszony i z tej racji bardziej niż inne rozdarły. Co oznaczało owo trzęsienie ziemi, które podczas kilku dni groziło zburzeniem majestatyicznego gmachu; wzniesionego w ciągu dziesięciu lat panowania gaullizmu? Jeszcze dzisiaj dyskutują o tym nawet cudzoziemcy. Jeszcze dzisiaj dyskutują o tym nawet cudzoziemcy. W pewnym angielskim czasopiśmie, w recenzji z kilku książek poświęconych francuskiemu Majowi, zastanawiano się wciąż nad zaletami mojej broszury<sup>1)</sup>; najlepszej czy najgorszej wśród tej literatury? Jeszcze w roku 1979, z okazji nagrody Goethego, R. Dahrendorf wyraził się na temat mojej postawy wobec "wydarzeń" z taką oględnością, że odgadnięto jego uczucia: pod ciśnieniem emocji byłem jakoby gorszy niż rzeczywistość jestem i podobno niewierny samemu sobie. W zawołanych słowach nakłaniał on do wyrozumiałości i znał okoliczności łagodzące.

Nie nadawałem się, przynajmniej tak mi się wydawało, na obrońcę starej Sorbony i mandarynów. W dziennikach i czasopiśmie krytykowałem zawsze francuską organizację szkolnictwa wyższego; krytykowałem jako zbyt trudną maturę, stanowiącą końcowy egzamin w szkole średniej i niewystarczającą jako środek selekcji przed wstąpieniem na uniwersytet; krytykowałem docenturę, która nie gwarantuje jakości nauczania i nie przygotowuje do prowadzenia badań; krytykowałem całkowitą niezależność pierwszego po Bogu w swej katedrze profesora, który często nie wie, co robią jego koledzy. /.../ Zanim przytoczę polemiki, jakie wzbudziły moje artykuły z le Figaro i "La Révolution introuvable", chciałbym zatrzymać się przez chwilę na samych wydarzeniach i odróżnić historię od socjologii kryzysu, wyjaśnić różnorodność ocen, których był on i pozostałe nadal przedmiotem ze względu na samą heterogeniczność całości, nazwanej "wydarzeniami majowymi".

Zacznijmy od historii, od opisu wydarzeń. "Wydarzenia" dzielą się na cztery fazy. Pierwsza rozpoczyna się w momencie wkroczenia policji na dziedziniec Sorbony i trwa do poniedziałku 13 maja - dnia strajku generalnego i ponownego otwarcia Sorbony; druga wyznaczona jest przez rozszerzenie się strajków, z początku dzikich, w końcu zaś skoordynowanych, czy raczej kierowanych przez partię komunistyczną i doprowadzających do pertraktacji na ulicy Grenelle pod egidą rządu; trzecia faza obejmuje tylko kilka dni, wyraźne odrzucenie porozumienia z Grenelle przez strajkujących z Billancourt, zakwestionowanie prezydenta i premiera, zapowiedź przez François Mitterranda swojej kandydatury do Pałacu Elizejskiego w przypadku wycofania się Generała - a wszystko to udrammatyzowane przez zniknięcie na kilka godzin prezydenta Republiki i uwiercenie przemówieniem tegoż we czwartek 30 maja, po którym nastąpiła wielka manifestacja na Polach Elizejskich; ostatnia faza trwała kilka tygodni - przywrócenie porządku, likwidacja ognisk rewolty w Sorbonie i w Odeonie, wybory powszechne, które przyniosły świetne zwycięstwo większości - zresztą świetne raczej z uwagi na liczbę mandatów uzyskanych w Zgromadzeniu niż liczbę zdobytych głosów /.../

Socjolog interesuje się bardziej przyczynami wydarzeń, całościową koniunkturą, jaka spotęgowała następstwa niepokojów, które na początku nie były tak duże. Jakie przyczyny sprawiły, że sytuacja stała się zapalna? Odpowiedzi różnią się w zależności od obserwacji rzeczowych danych i od tego, czy traktuje się poważnie zbuntowanych. /.../

Pośród zjawisk najpoważniejszych badania socjologiczne wydobycją na jaw fenomen pokoleniowy: studenci, którzy pochodzą z rodzin nie mających doświadczenia w sprawach szkolnictwa wyższego, zdezorientowani w swym nowym środowisku i niepewni własnego wyboru, opawiali się, że po odebraniu dyplomu nie znajdą zatrudnienia. Żyli w lę-

\* Fragmenty rozdziału XVIII książki Raymonda Arona "Mémoires, 30 ans de réflexion politique", Juillard, Paris 1983. W Polsce ma się ona ukazać jeszcze w tym roku nakładem wydawnictwa WERS. Wydawnictwu oraz tłumaczowi dziękujemy za łaskawą zgodę na wcześniejszą publikację fragmentów w B.D./Red./

ku i osamotnieniu, w niepewnej sytuacji życiowej. Ewentualnie przyłączali się do bardziej zamożnych kolegów, by wraz z nimi krzyzcć: precz ze społeczeństwem konsumpcyjnym!

Inwektywy rzucane pod adresem egzaminów i konkursów stanowiły integralną część mionej rewolucji. Niekoniecznie musiały być one przyczynami eksplozji, ilustrowały raczej formę, jaką przybrały "letnie wakacje". Grupy studentów o różnych skłonnościach politycznych opracowały plany odrodzenia uniwersytetu; profesorowie i studenci, którzy zazwyczaj rozmawiali ze sobą rzadko, mówili do siebie na "ty", ewentualnie zamieniali się rolami, ponieważ uczniowie życzyli sobie odtąd uczestniczyć w komisjach egzaminacyjnych, a nawet w nominacji nauczycieli. Nie był to wyłącznie francuski karnawał, niektóre jego oznaki uwidoczniły się także w studenckich rewoltach innych krajów, atoli u nas przybrał on formę typowo francuską.

Dystans dziеляcy profesorów i studentów jest większy we Francji niż w uniwersytetach anglo-amerykańskich; wpływ, jaki profesor Sorbony wywierał czasami na całokształt danej dziedziny nie ma zgoła odpowiednika w innych krajach, ponieważ gdzie indziej nie ma odpowiednika paryskiej centralizacji. Wielcy szefowie medycyny nie zostali wymyśleni na użytek demagogii i buntu. Okoliczności sprzyjały uzasadnionym niekiedy wybuchom przeciwko nadużyciom i odbiegającym od normy sposobom wyrażania się hierarchii.

Jeżeli przejdziemy teraz od studentów do robotników, to okaże się, że również tutaj analizy wyodrębniają przyczyny, motywacje i ideologie. Wśród przyczyn początkowych strajków wymienia się względnie surową politykę prowadzoną przez Michela Debré w ciągu roku, który poprzedził wydarzenia. Najniższe płace pozostały w tyle w stosunku do średniego poziomu płac. Zagwarantowana płaca minimalna nie została zrewaloryzowana w zależności od wzrostu wszystkich wynagrodzeń. Porozumienia z Grenelle wywołały w roku 1969 okresową dewaluację franka, wszelako dziś jeszcze niektórzy, na przykład Raymond Barre, broniliby tezy, że gospodarka francuska przeżyłaby bez dewaluacji podwyżkę o 20 do 25% - co w każdym razie sugeruje, że w fazie poprzedniej były one wyraźnie zaniżone. Ale niezależnie od tego, jak duża byłaby odpowiedzialność za poziom płac w punkcie wyjścia, w czasie dzikich strajków, wśród milionów bezrobotnych, spory wykraczały daleko poza zwyczajne roszczenia: struktura przedsiębiorstwa, styl zarządzania, samorząd, społeczeństwo konsumpcyjne, walka z zanieczyszczeniem, upodobanie do saturnaliałów - oto tematy dyskusji, w których brały udział setki tysięcy zwolnionych z pracy Francuzów; pracy, zdefiniowanej tradycyjnie przez Marksa jako "rządy konieczności".

To nagłe oderwanie się od codziennej nudy, odegrana raczej niż rzeczywiście przeprowadzona quasi-rewolucja, wzbudziły sympatię, a nawet entuzjazm. Uliczne potyczki, które przerodziły się w zamieszki, starcia między manifestantami i oskarżaną ustawicznie o używanie przemocy policją, dostarczają przyjemności wiecznym miłośnikom bieżących, chciwym widoku niepowodzeń, jakie przytrafiają się żandarmowi. Radosne wybruki młodych, którzy każdego wieczora wyruszają na "manif"\* odświeżają uczucia dorosłych - tak dalece ci ostatni nie zdają sobie sprawy, że ich czas już minął. Barwny tłum wypełniający amfiteatry i korytarze budynków uniwersyteckich, wiele publicznie non stop, zaimprowizowani mówcy, którzy za ledwie świadomi są tego, że powielają gesty i zdania wielkich przodków - bawią i przyciągają ciekawskich. W uniwersytetach, a nawet liceach, profesorowie spotykają się z mniej lub bardziej gwałtownymi namietnościami, jedni ustępują, a niekiedy nawet uciekają przed rozwoleczonymi studentami, inni wnoszą zapórę przed zalewem demagogii, utopii czy urojeń, przepelnionego złudzeniem, że oto przeżywa się historyczne dni.

Między 15 a 30 maja życie narodowe jest poniekąd sparaliżowane, większość fabryk nie funkcjonuje, robotnicy okupują swe miejsca pracy i pieczołowicie konserwują maszyny; strajk ogarnął nawet usługi publiczne, gdzie niegdzie improwizowano coś na kształt komu, którymi kierowali robotnicy lub przywódcy związków. Aż do ostatnich dni swobody wesół nastroj góruje nad przemocą, właściwą tego rodzaju społecznym szalom. Nie ma w tym nic poważnego. Zabawa trwa i nie wychodzi to w całosci "na dobre". Z końcem miesiąca irytacja z powodu "rozgardiaszu" zajmuje stopniowo miejsce sympatii okazwanej owej "podziwu godnej młodzieży": obawa przed prawdziwą rewolucją psuje przyjemność czerpaną z widowiska.

W tym momencie wytania się nowe pytanie. Co się rzeczywiście stało? W czasie ostatnich dni, między poniedziałkiem 27 i czwartkiem 31 maja, rząd chwije się lub tak

\*używany w języku potocznym skrót od słowa "la manifestation"/manifestacja/. Przypis red./

się przynajmniej wydaje. Studencki karnawał, być może. Lecz ktoś nie przypomina sobie obrad w Zgromadzeniu Narodowym? E. Pisani ma zabrać głos w imieniu rządu jako reprezentant większości i ku zdziwieniu i oburzeniu Georges Pompidou wygłasza opozycyjne przemówienie. Na konferencji prasowej Valéry Giscard d'Estaing sugeruje ustąpienie premiera. 27 maja, na konferencji prasowej, François Mitterrand oświadcza, że ustąpienie generała de Gaulle'a, jeśli nie nastąpi wcześniej, zaraz po 16 czerwca /przewidywana data referendum/, spowoduje naturalnie upadek premiera i jego rządu. "Przewidyując to proponuję, aby natychmiast ustanowiony został rząd tymczasowy./s../" Nieco dalej zastanawiał się nad osobą prezydenta Republiki. "Kto będzie prezydentem Republiki? Zdecydują o tym wybory powszechne. Wszelako zapowiadam je wam już teraz, ponieważ ewentualny termin wynosi tylko osiemnaście dni i chodzi o tę samą walkę: ja jestem kandydatem." Te wypowiedzi oznaczały pogwałcenie Konstytucji, która przewiduje, że w razie dymisji prezydenta Republiki premier pozostaje na stanowisku, zaś przewodniczący Senatu sprawuje władzę prezydenta Republiki aż do wyboru następcy. Twierdził, że dymisja generała de Gaulle'a pociągnęłaby za sobą ustąpienie premiera, F. Mitterrand brał pod uwagę i zalecał rozwiązanie niezgodne z Konstytucją lub - jeśli kto woli - rewolucyjne.

Jako przewodniczącego rządu tymczasowego proponował on Pierre'a Mendés-France'a, który dał się wciągnąć w tę awanturę. We środę 29 maja o godzinie 21, kiedy Generał przybył do Colombey i szykował się do powrotu do Paryża, P. Mendés-France nie odrzucił "odpowiedzialności, jaka - powiedział - mogłaby mi być powierzona za lewicę, za całą zjednoczoną lewicę." "Co się zaś tyczy rządu przejściowego, to nie będzie chodziło o rząd neutralny, lecz o rząd ruchu, zorientowany w stronę społeczeństwa sprawiedliwszego i bardziej socjalistycznego. Powinien on podejmować bezpośrednie decyzje, o których mówiliśmy dzisiaj i będziemy mówić nadal w ciągu najbliższych dni, aby urzeczywistnić całkowite porozumienie." Wyniosły republikanin pracował już nad utworzeniem gabinetu, wyłonionego z zamieszek, skoro tylko prezydent i premier ustąpią lub zostaną odsunięci. Nie nadążając za wydarzeniami wierzył jeszcze w rozwiązanie rewolucyjne, gdy tymczasem Generał przygotowywał kontrnatarcie, a jego zwolennicy organizowali defiladę na 30 maja. Alfred Fabre-Luce opublikował w Le Monde artykuł zatytułowany "Mendés w Pałacu Elizejskim."

Poza strajkami i studencką gadaniną istniał oczywiście ściśle polityczny kryzys, którego liczne oznaki zaobserwowałem. Urzędnicy opuszczali ministerstwa, deputowani większości obwiniali już to prezydenta, już to premiera, żądając ustąpienia jednego lub drugiego. Klasa rządząca obawiała się przewrotu. Kilku minutowe przemówienie usmiałrzyło niepokój ludzi będących u władzy i zniszczyło nadzieje tych, którzy tak jak w latach 1830 i 1848 chcieli zająć miejsce władzy obalonej przez ulicę.

29 maja zatelefonowałem do mnie A. Kojève; rozmawialiśmy ponad pół godziny: bardziej niż ja był przekonany, że nie chodzi o rewolucję, lecz o coś "w tym rodzaju". Nie ma rewolucji, powiedział mi, bo nikt nie zabija, ani nie chce zabijać. Zamieszki wzbudziły w nim głęboką pogardę /reakcja białego Rosjanina/. Opowiedziałem mu, że w Stanach Zjednoczonych nie mogłem usiedzieć na miejscu, spragniony powrotu, aby widzieć i działać. Odpowiedział mi wówczas: "Spieszo panu było zobaczyć z bliska błazenadę tego odrażającego kretynizmu?" 24 godziny później nie wątpię już w to, że wydarzenia nosiły cechy wielkiej Historii; czy z tego powodu zasługują one na szacunek lub obelgi, które dziś jeszcze wynoszą je bądź deprecjonują?

Skąd bierze się jeszcze dzisiaj tyle przeciwstawnych namiętności uzewnętrznianych w stosunku do "wydarzeń majowych"? Odpowiedz na to pytanie wydaje mi się obecnie stosunkowo łatwa. Historyk lub socjolog konstruuje przedmiot - "wydarzenia majowe" - który jest do tego stopnia niejednorodny, że w zależności od uwzględnianych elementów tego przedmiotu zmienia się sam problem i sposób wyjaśniania.

Wszelka interpretacja zmierza do koncentracji na tylko jednym aspekcie wydarzeń - albo na rewolwie studenckiej, albo na szerzeniu się strajków, albo na oryginalności francuskiego Maja w stosunku do porównywalnych zjawisk w innych krajach, albo też na ideologicznej dyskusji studentów czy pracowników najemnych.

Rewolty studenckie, które w latach sześćdziesiątych nawiedziły świat od Japonii po Paryż, przetwarzając się przez Berkeley i Harvard, mogą być w każdym przypadku, z wyjątkiem zarażenia lub naśladownictwa, wyjaśnione przez przyczyny czysto narodowe. Nie było we Francji "wojny wietnamskiej", tak jak i w Stanach Zjednoczonych nie było paryskiej centralizacji, czyli setek tysięcy studentów, stoczonych wewnątrz przestarzałych struktur. Wolno badać wspólnie dla wszystkich krajów uprzemysłowionych przyczyny tego zrywu młodych i ustalać pochodzenie społeczne najaktywniejszych w tych ruchach

działaczy, na przykład przywódców SDS /Students for a Democratic Society/. Jeżeli dzieci liberalnych /-w sensie amerykańskim/ rodziców, pochodzące z dobrych rodzin burżuazyjnych stanowią stosunkowo wysoki procent członków SDS, wówczas wyciąga się stąd wniosek, że rebelia miała źródło raczej w środowiskach niż upośledzonych. Badania socjologiczne ustalają w ten sam sposób procentowy udział różnych dyscyplin w rekrutacji członków SDS w Stanach Zjednoczonych i podobnych ruchów w Niemczech, czy we Francji.

U nas zwłaszcza socjologowie zyskali reputację osób protestujących, czy to dlatego, że krytyczne z samej swej istoty socjologia popycha studentów do buntu, czy też z tej racji, że skłonni do buntu studenci wybierają ten rodzaj studiów.

Oczywiście, zamieszki uniwersyteckie, które mmożyły się wzdłuż i wszerz niekomunistycznego świata, ukazują lub sygnalizują jakiś problem, chociaż ich przyczyny są istotnie różne w Dakarze i Berkeley, w Harvardzie i Sorbonie. Ukazują one co najmniej osłabienie autorytetu dorosłych, nauczycieli, instytucji jako takich. Z tego samego stanu ducha wypływa kontestacja autorytetu w Kościele katolickim i rozkazu w armii. Rewolucja kulturalna, która osiąga swoje apogeum w latach sześćdziesiątych, tworzy kontekst i tło zamieszek. W końcu, w miasteczku uniwersyteckim Antony jednym z incydentów ostrzegawczych było domaganie się swobody kontaktów we dnie i w nocy między chłopcami i dziewczętami.

Ideologia roku 1968, inspirowana się anarchizmem, wzbudziła wiele sympatii wśród studentów; o ile René Rémond przytacza "Les Héritiers" jako jedną z książek, które wywarły wpływ na wydarzenia lub w odniesieniu do nich symbolicznych, o tyle Epistémon /D. Anzieu/ cytuje "Critique de la Raison dialectique" wraz z pojęciem "zjednoczonej grupy" - na przykład thumu, który zdobywa szturmem Bastylię. Rok 1968: nasza rewolwa intelektualna przeciwko strukturze tj. rewolta Sartre'a przeciwko Lévi-Straussowi /polityka francuska pozostaje uporczywie polityką literacką/, "praktyki" przeciwko instytucjom, lewactwa przeciwko partii komunistycznej. W Stanach Zjednoczonych akcja studentów miała również inspirację anarchistyczną/wszelka rewolta, która chce podopać władzę, a nie zastąpić ją, jest przejawem ducha anarchizmu/Jednakże, w większości uniwersytetów, stawiała ona sobie ściśle określone i na ogół dostępne cele.

Ideologiczne dysputy Maja, czy to studenckie czy też robotnicze, zdecydowały o programach partii. Podjęty na nowo i spularyzowany temat, które błąkały się po książkach: poświęconych krytyce kulturalnej, *Kulturkritik*, jak mówią w Niemczech. Książka H. Marcusego "Człowiek jednowymiarowy", zawierająca większość wywoływających wzburzenie tematów: społeczeństwo merkantylne, wymuszona konsumpcja, niezbędna dla aparatu produkcyjnego, zanieczyszczenie, represje społeczne, rozrzutność w obliczu nędzy itd. Raz jeszcze rewolucjoniści pozyskali sobie przyjaciele, popularyzując ideologię niezgodną z ideologią żadnej partii: jakoś przeciwko ilości, przedkładanie uroku życia nad poziom życia. Kult stopy wzrostu popadł w powszechną niełaszkę.

Robotnicy francuscy przystąpili masowo do strajku w odpowiedzi na zamieszki paryskie, wywołane przez studentów, tymczasem w żadnym innym kraju robotnicy nie poparli, chyba że moralnie, studentów. Związczą w Stanach Zjednoczonych *colts blues* i robotnicze związki zawodowe nie prowadziły walki przeciwko wojnie wietnamskiej. Ale nawet we Francji studenckie próby mobilizacji robotników w celu wspólnego działania spełziły, ogólnie rzecz biorąc, na niczym. Komunistom udało się ustrzec ruch robotniczy przed zażenieniem anarchistycznym, chociaż porozumienia z Grenelle rozczarowały szeregowych członków związków dlatego właśnie, że chciały one położyć kres strajkom i roszczeniom "nie takim jak inne" przy pomocy środków "takich jak inne".

Jesli przywiązuje się wagę do strajków, tym co rzuca się w oczy jest fakt, że nie wyrażają one rozgoryczenia wykłetych tej ziemi, np. wyczerpania polskich robotników w miastach, gdzie brakuje na przemian chleba, to znów owoców czy jarzyn, lecz niezadowolone robotników, których warunki pracy i życia polepszyły się odczuwalnie w jednym pokoleniu i którzy swobodnie wybierają swych związkowych przywódców. Stąd nasuwają się interpretacje klasyczne: przywołuje się albo "prawo Tocqueville'a" - właśnie wtedy, gdy zło staje się mniejsze, mnożą się skargi i dochodzi do eksplozji - albo fakt nasilania się roszczeń jakościowych w miarę, jak potrzeby elementarne są lepiej zaspokajane; albo wreszcie - fakt utrzymywania się w społeczeństwie francuskim sztywnej hierarchii i coraz mniej akceptowanego stylu zarządzania. Wszystkie te interpretacje mają oparcie w faktach i sporach; żadna z nich nie może pretendować do wyjączności i ujmowania całości, atoli mogą się one łączyć.

Francuski Maj ukazuje czysto narodowe cechy, które często można bez trudu zaobserwować: gdzie indziej mamy do czynienia z latami rozproszonego zamętu, tutaj niepokoję kumulują się w ciągu kilku tygodni; ogarniają one wszystkie uniwersytety naraz, nie zaś jeden po drugim; więcej tu czczej gadaniny niż sprecyzowanych żądań. Nasuwa się

banalne wyjaśnienie: istnieje tylko jeden Uniwersytet. Paryż nadaje ton. Intelktualiści wzięli udział w festynie, studenci zaś znaleźli natchnienie w pismach intelektualnych mistrzów.

Studenci i robotnicy, jednocześnie choć oddzielnie, przekraczają zakazy; dzień po dniu dochodzi do starć między policjantami i manifestantami, z żadnej ze stron nie padają jednak strzały; oficer policji, raczej ofiara wypadku niż świadomego zabójstwa, chłopiec, który topi się w czasie ściągnięcia go przez siły porządkowe - oto dwie śmiertelne ofiary podczas tych tygodni niemal codziennych zamieszek; w końcu, poza zgiełkiem panuje często atmosfera wesołości, święta. Napisy na murach oddają zupełnie inny nastrój niż stworzony przez lewackich studentów z Berlina *Klimat tot ermet*, na jaki natknąłem się kilka lat przed Majem. "Zabrania się zabraniać" - ta wewnętrznie sprzeczna formuła ilustruje zabawną niedorzeczność ideologii roku 1968.

W gruncie rzeczy ideologia ta nie różni się od ideologii SDS w Stanach Zjednoczonych i w Niemczech: na jednym krańcu trzy M /Marks, Mao, Marcuse/ Grożą wolańciami synów burżuazji w szeregi bandy Baader-Meinhof i miejskiej partyzantki; na drugim krańcu prowadzą one w stronę ekologii, powrotu do ziemi, w szeregi hippiesów. Niektórzy spośród wiernych trzech M ulegli pokusie przemocy. W swojej broszurze poświęconej strategii rewolucyjnej André Glucksmann marzył o ogarnięciu całej Europy, od Lizbony po Moskwę. Po Maju, partie czy ugrupowania trockistowskie kontynuowały swą działalność, ale większość intelektualistów, którzy w roku 1968 głosili bądź pasjonowali się lewicowym radykalizmem, zatrzymali się sami z siebie na pochyłości. Zdali sobie sprawę z niebezpieczeństwa: akcja bezpośrednia, taktyka zastraszania walnych zebrań, partyzantka miejska - czy była to urzeczywistniona demokracja, czy może raczej początek faszyzmu? Świadcstwa radzieckich dysydentów, przede wszystkim Aleksandra Sołżenicyna, wywarły wkrótce wrażenie na lewicy "zjednoczonej grupy". W czasie najowych tygodni lewicy obwiniali komunistów, którzy zdali się na zdradzieckie wybory i sparaliżowali rewolucyjną siłę mas. Kilka lat później komuniści byli w ich oczach już nie tylko funkcjonariuszami, zagnieżdżonymi w martwych organizacjach, lecz również strażnikami ewentualnego Gułagu, dozorcami wolnych ludzi. Oto droga od lewactwa do obrony Praw Człowieka.

Jaki stąd wniosek? Nie ma jednej interpretacji socjologicznej maja 1968 roku, Karol Marks i Alexis de Tocqueville nie wypracowali również jednej interpretacji rewolucji 1848 roku i jej następstw. Jeden i drugi napisali historię-opowiadanie, wyjaśnione i pogłębione przez analizy klasowe. Relacja socjologiczna z maja 1968 roku wydaje mi się zarazem łatwiejsza i trudniejsza niż ta, która dotyczy wydarzeń ubiegłego stulecia. Łatwiejsza, ponieważ ruchy studenckie i robotnicze działały oddzielnie i nie było rewolucji; trudniejsza dlatego, że studenci przywódcy nie zwracają się do żadnej klasy, jakkolwiek w słowach powołują się na klasę robotniczą, która zresztą nie przyznaje się do nich. W przypadku robotników postępowanie ich zależy częściowo od taktyki partii komunistycznej po części zaś od ich własnych nastrojów. Czy robotnicy z Billancourt, którzy zakrzyczyli rzecznika CGT i Partii Komunistycznej, byli posłuszni sobie, czy może niektórym, skłonym do przekroczenia Rubikonu, komunistom?

Wśród socjologów francuskich tylko jeden odważył się na przeskok od badań empirycznych do interpretacji całościowej, którą przedstawił w dwóch książkach, "Le Mouvement de Mai ou le Communisme utopique"/1968/ i opublikowanej w następnym roku "La Société post-industrielle". Poniższe cytaty streszczają myśl A.Touraine'a, aktora wydarzeń w Nanterre i na barykadach 11 maja, a wkrótce potem raczej filozofa dziejów niż socjologa wydarzeń: "Pomimo sprzeczności postaw analiza jest w istocie taka sama wówczas, gdy podziwia się nagłe wyzwolenie od sił i potrzeb stłumionych przez cywilizację i społeczeństwo kapitalistyczne i kiedy jest się wściekłym, widząc w akacji nierozumność i nieodpowiedzialność, które gwiżdżą na potrzeby ekonomii i życia intelektualnego. W jednym i w drugim przypadku kryzys okazuje się sderewieniem społeczeństwa z tym, co je łączy i co jedni uznają za głupotę, a inni za rzecz godną podziwu. Ponieważ ruch, zwłaszcza studencki, w swoich zgromadzeniach i na murach osnamia swą wolę zerwania, /z systemem - przyp. red./nie mając ani programu ani organizacji, przeto pozostanie przy fascynacji czy oburzeniu jest jeszcze bardziej kuszące".

Alan Touraine sprzeciwia się zarówno tej fascynacji, jak i temu oburzeniu: ruch mąjowy nie jest odrzuceniem społeczeństwa przemysłowego i jego kultury, lecz ujawnieniem sprzeczności i nowych konfliktów społecznych, które tkwią w jego łonie. Ponadto, powstaje on jednocześnie przeciwko anachronizmowi społeczeństwa francuskiego i technokratom rządzącego się społeczeństwa post-industrialnego. Dwa rodzaje sprzeczności nekają nasze społeczeństwo: jedne polegają na przeciwstawianiu technokratów operatorom-konsumentom społeczeństwa aktualnego; drugie każą stawiać naprzeciw siebie techniczne

i kulturalne realia tego społeczeństwa oraz formy organizacji i instytucje odziedziczone po przeszłości.

Każdy jest wstanie zilustrować za pomocą przykładów te dwa rodzaje sprzeczności: z jednej strony datująca się od końca XIX wieku organizacja uniwersytecka; piękna ona pod naciskiem liczebnej przewagi i rewolty studentów, zepchniętych na margines społeczeństwa, wciągniętych na ślepo w studia bez wyjścia i bez widoków na karierę; a z drugiej strony, protesty robotników lub zwykłych wyborców przeciwko technokratom, którzy wszechwładnie decydują o budowie i lokalizacji elektrowni jądrowych. A. Touraine sądzi, że w świetle "wydarzeń" ma prawo potępiać dominującą *"utopię władców społeczeństwa, która głosi, że problemy społeczne polegają wyłącznie na modernizacji, adaptacji, integrowaniu. Wraz z siłami walczącymi przeciwko panującej klasie ruch majowy stworzył więc sam anarchiczną i antyautorytarną, wspólnotową i żywiołową kontrutopię."*

Nie widzę ważnego powodu, aby odrzucić tę interpretację; studenci "wnieśli" anarchizyczną kontrutopię. Ale czytamy dalej Touraine'a: *"Po 13 maja ruch miał więcej okazji do wypowiedzenia się niż do prowadzenia walki./.../ Utopia zdegradowała się w rozbudzonych mirażkach lub planach modernizacji./.../ Z racji swego pochodzenia i doświadczenia uniwersyteckiego studenci są jeszcze bardzo dalecy od typu społeczeństwa, w którym istnieją problemy, jakie ujawnia ich działalność./.../ Nie zdając sobie z tego sprawy, studenci odkrywają walki przyszłości i miesają je z walkami klasowymi przeszłości."* Oto więc ruch majowy uwierzył, że w sercu kryzysu, związanego z przemianami społecznymi, odkrył starą walkę klas! Równie trudna do odrzucenia, jak i weryfikacji wydaje mi się diagnoza historyczna, związana z teorią przejścia od społeczeństwa przemysłowego do społeczeństwa post-industrialnego. Skoro, według Touraine'a, główni aktorzy wydarzeń, a mianowicie studenci, żyli w wielkim oddaleniu od społeczeństwa zawodowego i zaprogramowanego, tedy właśnie socjolog lub filozof historii winien rozszyfrować ich słowa i nadać ich utopii znaczenie przepowiedni! Widziane z tej wysokości decyzje z 11 maja, przemówienie Generała, taktyka Partii Komunistycznej, pogrążają się w ciemnościach. Zanikają szczegóły: nie pozostaje już nic oprócz sensu rzutowanego przez interpretatora na nieswiadomych swą działalnością sprawców oraz na chaos zamieszek, uporządkowanych po fakcie przez byłego zaangażowanego widza./.../

Czy Francja zrobiła dobry użytek ze swojej rewolucji lub pseudo-rewolucji? Jeżeli pokuszę się o przeprowadzenie analizy skutków tych wydarzeń, wówczas żarzykuję utratę wątku mojej opowieści. Z całą pewnością, gospodarka szybko otrząsnęła się z szoku. Spopularyzowane zostały tematy *Kulturkritic*; całe społeczeństwo zdało sobie sprawę z niskich płac./.../; technokraci otworzyli się na aspiracje ludzkie i nagle podali w wątpliwość wulgatę wzrostu /popadając nawet w drugą skrajność i oskarżając społeczeństwo konsumpcyjne/. Być może ludzie odpowiedzialni za przedsiębiorstwa wyciągnęli kilka lekcji z dni czy tygodni kontestacji. Tak jak gdzie indziej, w przedsiębiorstwach został przywrócony porządek; prawdopodobnie różni się on na korzyść od porządku dawnego.

Co się zaś tyczy uniwersytetu, kryzys przedłużał się; spór rozgorzał na nowo przy okazji ustawy Edgara Faure'a. W dniu, kiedy Zgromadzenie rozpoczęło pracę nad ustawą, le Figaro opublikował na pierwszej stronie mój artykuł pod tytułem "Iluzjonista".

Minister uczynił mi z tego tytułu zarzut w liście przeznaczonym tylko dla mnie: "Ckreślając mnie mianem iluzjonisty na kilku kolumnach pierwszej strony największego dziennika francuskiego, tłustym drukiem, i to w przeddzień decydującej debaty, zabrał Panu, jeśli już nie przyjaźni, do której odczuwania wobec mojej osoby nie jest Pan zobowiązany, to przynajmniej poczucia sprawiedliwości /albowiem cokolwiek by nie myślano o istocie sprawy, mój wysiłek nie zasługiwał na tę zniewagę/ oraz miłego bogom umiaru."

Nieuprzejme wypowiedzi przypisywane to ministrowi, to znów mnie przez Le Nouvel Observateur dodały szorstkości tym "książącym debatom". Gdy po powrocie do Sorbony : studenci wybili szyby w sali Louis-Liarda, gdzie byłem członkiem komisji przy obronie rozprawy doktorskiej i wielką ilością głosów wygwizdali mnie, krzyżując "faszystą, faszystą", Edgar Faure zatelefonował do mnie, aby mnie zapewnić o swojej dezaprobacie dla tych niezdolnych wybrzków. Upłynął czas i - mogą rzec - upłynął szybko, nasze zaś serdeczne stosunki przetrwały burzę wywołaną przez ustawę.

Nie cenilem tej ustawy, przyjętej podobno jednogłośnie. Autonomia uniwersytetów odpowiadała moim upodobaniom, ale była to autonomia z konieczności ograniczona, pomniawszy ministerstwo zachowywało kontrolę nad funduszami, a ponadto towarzyszył jej system wyborczy, który wydawał mi się niedorzeczny. Udział studentów w wyborach był nieznaczny; najlepiej zorganizowane związki studenckie, czyli związki o tendencji komunistycznej, zapewniły sobie wpływ nieproporcjonalny w stosunku do liczby ich czio-

nków. Do uniwersyteckich kłótni osobistych i pokoleniowych, do sprzeczek między szkołami naukowymi dołączyły konflikty czysto polityczne. UER-y<sup>3)</sup> i uniwersytety tworzyły się w zależności od powinowactwa politycznego. Zwiększona i zarazem uznawana polityzacja świata akademickiego była w moich oczach jedną z konsekwencji Maja - najmniej wątpliwa i najmniej przyjemna. Taki np. Uniwersytet Paryski posunął "reakcję" aż do tego stopnia, że chciał powrócić do czasów kwietnia; "reakjoniści", którzy powołują się na liberalizm, przejawiają niekiedy taką samą stroniczość, jaką zarzucają słusznym działaczom SNE-Sup<sup>4)</sup>. Zalety dawnego uniwersytetu nie zostały przywrócone przynajmniej na wydziałach nauk humanistycznych.

Poza tym, nowy podział uniwersytetów stanowi postęp w stosunku do sytuacji sprzed roku 1968. Nauczyciele mają pewną swobodę działania dzięki UER-om. Oceniane z zewnątrz nętrzą szkolnictwo wyższe, przynajmniej w uniwersytetach, wiele zyskało i jednocześnie ucierpiało wskutek trzęsienia ziemi, które zburzyło zmarszałą budowlę. Setki tysięcy chłopców i dziewcząt wstępują do UER-ów, które bez określonego projektu zastępują dawne wydziały nauk humanistycznych; coraz większy ich procent /ponad połowa/ opuszcza je bez żadnego dyplomu.

Zresztą następstwa Maja wpływają na uniwersytety w mniejszym stopniu niż fakt kryzysu rekrutacji. Nie ma już prawie stanowisk dla najlepszych studentów nowej generacji. Mniej więcej do roku 1972 jednoczesny wzrost liczby studentów i nauczycieli oraz siabosć władz publicznych ułatwiły karierę wszystkim, zarówno dobrym, jak i złym. Dzisiaj najlepsi z wychowanków szkoły pedagogicznej uzyskują docenturę i na próżno szukają stanowisk asystenckich. Kultura klasyczna dogorywa: niemal wszyscy dobrzy uczniowie wybierają sekcję C. Sekcja literacka École Normale Supérieure pogrążyła się w przeciętności: skazuje ją to na brak perspektyw dla jej wychowanków, budzi zastanowienie jej funkcja i sama racja jej bytu. Jeszcze kilka lat po roku 1968 wychowankowie szkoły pedagogicznej prowokowali do mówienia o nich. Zrezygnowałem z wykładu na ten temat, do którego wygłoszenia zaprosili mnie niektórzy z nich. Skrajnie lewicowe ugrupowanie dało bowiem do zrozumienia, że przeszkodziłoby mi w mówieniu/co wcale nie jest trudne/. Na zakończenie, nie wiem już jakiej, manifestacji wyrzucono przez okna książki z bibliotek. Stopniowo powracał spokój - jednakże nie powróciło tam już życie. W porównaniu z École Normale Supérieure z czasów mój młodości dzisiejsze budynki, pracownie i warunki życia świadczą o postępie ekonomicznym. Nie ma już jednak Wydziału Nauk Humanistycznych.

RAYMOND ARON

z francuskiego przełożył FLORIAN KRAKOWSKI

#### Przypisy:

- 1/ "La Révolution introuvable" /Niespotykana rewolucja/, Paris, Fayard 1968
- 2/ "Le mouvement de Mai ou le Communisme utopique", Paris 1968, s.9
- 3/ UER - Unité d'Enseignement et de Recherche, zastąpiły one istniejące wcześniej Facultés czyli wydziały /przyp. tłum./
- 4/ SNE-Sup. - Syndicat National d'Enseignement Supérieur /przyp. tłum./



# Małemu narodowi przychodzi na myśl

*"Ktoś idzie przez las wąską ścieżką,  
światełko latarki zatrzymuje się na  
liściach dębów, blade, żółte plamy  
nie potrafią pokonać ciemności."  
/Adam Zagajewski. "Mały Naród  
pisze list do Boga"/*

Małemu Narodowi przychodzi na myśl, iż jego, nie wiadomo jak długo trwające, marzenie o oderwaniu się od Wielkiego Narodu, może się spełnić z paradoksalnym okrucieństwem; przychodzi mu na myśl, iż Wielki Naród w decydującym momencie nie wkroczy na jego terytoria, w czym zresztą nie będzie nic dziwnego, prawdę mówiąc Wielki Naród już kilka razy nie wkraczał na jego terytoria, jednakże przyczyny najbliższego nie wkroczenia Wielkiego Narodu mogą być odmienne od poprzednich, z pewnością zaś będą różnić się od przyczyny ostatniego nie wkroczenia, do którego nie doszło, ponieważ - jak głosiła jedna z sakramentalnych formuł - Mały Naród własnymi rękami wykonał robotę Wielkiego Narodu.

Małemu Narodowi przychodzi na myśl, iż teraz Wielki Naród nie udzieli mu bratniej pomocy, ponieważ będzie zajęty pielęgnowaniem własnej wolności, która, kto wie, jak będzie wyglądać, bo przecież na razie zestawienie słowa wolność z jakimkolwiek atrybutem Wielkiego Narodu ma wciąż jeszcze brzmienie czysto oxymoroniczne, choć widać, jak ekstatycznie przybierze rozmiary Prawdziwa, nie ironicznie, nie cudysłowowe, a nie oxymoroniczna Wolność Wielkiego Narodu.

Jedno wydaje się Małemu Narodowi pewne: istnienie tej wolności będzie nader pracochłonne Wielki Naród będzie miał na tyle zajętych braknie mu czasu na inne zajęcia. Braknie mu czasu, a może także sił i ochoty.

Czy w razie czego Gorbaczow udzieli pomocy Wałęsie? - szepcze do siebie Mały Naród i roztkliwia się figlarną retorycznością tego pytania. Ach, jakby było pięknie - Mały Naród wpada w nostalgiczny zachwyt - gdyby jednak w razie czego udzielił mu pomocy. Byłoby pięknie i z grubsza wiadomo nawet, na czym by to piękno polegało. Byłoby to piękno przeistaczania się propagandowych broszur w masywne i zajmujące realistyczne powieści, piękno białoczarnych krótkometrażówek zmieniających się w filmowe eposy o niepokojącym nastroju i niespotykanej barwie, piękno tandetnych plakatów stojących się bezinteresownymi wizjami.

Byłoby pięknie - marzy Mały Naród - móc nie przestawiać drogowskazów, nie zatrzaskiwać bram i okiennic, nie kreslić na murach szyderczych napisów. Byłoby pięknie móc gremialnie wylec na ulice i kwiatami, chlebem i solą witać uśmiechniętych żołnierzyków, z brawurą i paradą prowadzących swoje transportery tanki i furmanki; bezbiednie wybierałoby miejsca popasu i tam właśnie, na kwiecistych biondach, na

skwerach, na szkolnych boiskach, trwałby sprawny rozładunek pakunków, błyskawiczny montaż solidnych straganów i polowych księgarń, z głośników buchałby oguszający łośkot muzyki ludowej, a egzotyczne piękności o oliwkowym spojrzeniu wprost spod zielonych plandek terenowych wozów rozdawałyby najnowsze wydania Aleksandra Isajewicza i wszystkich pozostałych emigrantów, dysydentów i do tej pory przemiłowanych klasyków.

Miły Naród mile podrażniony nieoczekiwanym widzeniem, tym gorliwiej pochyla się nad blatami swych biurka i stołów. Zajęty jest studiowaniem dziejów jednego z podniosłych i szlachetnych pojęć /w których się lubuje/. Sprawdza cytaty, wypełnia rewersy w Bibliotece Jagiellońskiej, czyta eseje Pawła Jasienicy, wnotowuje definicje z odpowiednich słowników. Wszystkie te czynności wykonuje z przyrodzonym mu niepokojem. Bez przerwy odnośzę wrażenie, iż coś się stanie, szepce do siebie. Nieustannie wydaje mu się, iż zdarzy się coś co spowoduje, że praca zostanie przerwana, czasowo zawieszona, zakończona grubo przed końcem. Wydaje mu się, iż lada chwila ktoś demonstracyjnie zatrzaśnie encyklopedie, schowa ołówek i z całą mocą oświadczy, iż niestudiowanie dziejów jednego z podniosłych i szlachetnych pojęć jest mniejszym złem niż ich studiowanie.

Miły Naród wie, że gdy to nastąpi, nie będzie w stanie się oprzeć. Alegoria Abnegacji weźmie na swe niedostrzegalne barki cały ciężar jego istnienia, nastana przez nikogo nie planowane i nie wiadomo jak długie wakacje /niektóre ośrodki wypoczynkowe wręcz z dnia na dzień zapełnią się kompletnymi nieoczekiwanymi gośćmi/.

Miły Naród wie, że gdy to nastąpi, nie potrafi zapanować nad swą słabością i spojrzy tam, gdzie jak powiada Wielki Poeta Małego Narodu: "*kolory sztandarów zmieniają się jak las na horyzoncie od delikatnej ptasiej żółci na wiosnę przez zieleń czerwień do zimowej czerwi*".

Ale, rzecz jasna, na zasnutym masami upalnego powietrza widnokręgu nie pojawiają się ani zmieniające barwę proporce, ani tabory wypełnione książkami, ani nawet pojedynczy cyklista samotny emisariusz, który mógłby objeżdżając terytoria Małego Narodu z cyklem wieczorów autorskich zachęcać do podjęcia przerwanej dzieła. Zza horyzontu dochodzić będzie jedynie wrzawa tamtejszej wolności, daleki tupot tamtych demonstracji, ciche jak szepc skandowanie radykałów, gasnące w przestrzeni strzępy płomiennych przemówień bratnich reformatorów. Małemu Narodowi przychodzi na myśl, iż jego odwieczne pragnienie może się spełnić w paradoksalnej, zgubnej wersji. To nie on wybije się na niepodległość i oddzieli od Wielkiego Narodu, ale wprost przeciwnie. Wielki Naród stanie się narodem takim jak inne i pozostawi go samemu sobie. Mały Naród ogarnia leniwa melancholia. Perspektywa, iż samodzielnie, bez nidyzej pomocy pograży się w malignie kabaretowych zamachów stanu, w młłej poezji mundurów kipiących latynoskim szamerunkiem, jest dlań w gruncie rzeczy mniejszym zaskoczeniem niż to, że powiodło by się to, co chodzi mu właśnie po głowie.

JERZY PILCH

DOMINIK LAN

## Homo sovieticus a homo sapiens

Kolejna publikacja Michała Hellera, wybitnego sowietologa i wnikliwego obserwatora rzeczywistości sowieckiej, nieco tajemniczo zatytułowana. "Maszyna i śrubki" - poświęcona jest problemowi człowieka sowieckiego. Traktuje ona o całym kompleksie spraw związanych z pojawieniem się i funkcjonowaniem nowego człowieka, znanego jako *homo sovieticus*, który wytworzył się w warunkach komunizmu w rezultacie planowych i zamierzonych działań rządzącej partii na niwie ulepszania rodzaju ludzkiego, stanowiąc równocześnie finalny produkt ewolucji ludzkości i co za tym idzie - gatunek jakościowo wyższy niż *homo sapiens*.

Książka Hellera jest lekturą pasjonującą do tego stopnia, że - będąc przecież pracą naukową - wciąga czytelnika i przykuwa jego uwagę niczym najlepsza powieść sensacyjna. Autor po mistrzowsku potrafi bowiem odtworzyć i umiejętnie zinterpretować sensacyjną zawartość historii Związku Radzieckiego oraz nie mniej sensacyjne twierdzenia marksizmu-leninizmu, który tworząc filozoficzne uzasadnienie istniejącego porządku /nieporządku?/, dostarcza zarazem wszystkich możliwych odpowiedzi na wszystkie możliwe pytania związane ze światem i wszechświatem.

Występujące w tytule książki "śrubki" to metafora użyta po raz pierwszy przez Stalina na oznaczenie "prostych, zwyczajnych, skromnych ludzi", którzy "utrzymują w ruchu nasz wielki mechanizm państwowy". "Śrubki" istnieją więc po to, aby wprawiać w ruch "maszynę", czyli państwo. Po co istnieje zaś sama "maszyna"? - wypada zapytać. "Ktoś musi pilnować śrubek" - dopowiedział Chruszczow. Oto cała tajemnica.

Heller zgadza się z ideologami radzieckimi, którzy głoszą, iż rewolucja bolszewicka dała początek nowej erze w dziejach. Po raz pierwszy bowiem dokonano rewolucji z zamiarem nie tylko opanowania państwa, ale - co ważniejsze - stworzenia doskonałego społeczeństwa, jakiego dotychczas nie znano. "*Celem - pisze Heller - przewrotu październikowego było urzeczywistnienie Projektu mającego doprowadzić do Celu. Po zdobyciu władzy autorzy projektu wiedzieli już, że cel osiągną tylko wówczas, jeśli stworzą nowego człowieka. Wiedzieli też, jak to zrobić: »Proletariacki przymus we wszystkich formach, poczynając od rozstrzelania... jest metodą kształtowania człowieka komunistycznego z materiału ludzkiego epoki kapitalistycznej»*". Po zdobyciu władzy Lenin rozpoczął eksperyment na żywym organizmie społecznym, by jak najszybciej przetrwać człowieka. Zainaugurowany przezeń proces trwa do czasów współczesnych. Niekiedy wśród kontynuatorów dzieła Lenina - eksperymentatorów - pojawiały się wątpliwości czy prowadzone prace nad nowym człowiekiem zakończą się sukcesem, czy aby nie jest to projekt nazbyt ambitny, wręcz niewykonalny. Mimo wszystko jednak eksperymentu nie poniechano. W końcu po upływie 30 lat od rewolucji można było obwieścić: "zbudowaliśmy nowe społeczeństwo i nowych ludzi". Potem znowu upłynęło kilkanaście lat i wreszcie w 1974 roku grono najwybitniejszych specjalistów wydało książkę pt. "Ludzie radzieccy", która przyniosła podsumowanie eksperymentu i pogiębioną refleksję ideologiczną nad całością zagadnienia. Najistotniejszym wnioskiem zawartym w tej książce było stwierdzenie, iż Związek Radziecki stał się ojczyzną "nowego, wyższego typu *homo sapiens* -

\* Michał Heller, Maszyna i śrubki. Jak hartował się człowiek sowiecki, Instytut Literacki, Paryż 1988

homo sovieticus". "Autorzy książki - zauważa Heller - związane podsumowując udany eksperyment: homo sapiens ewoluował przez miliony lat, oczyszczenie go ze zła trwało lat sześćdziesiąt i oto w Związku Sowieckim zrodził się wyższy typ homo sapiens - homo sovieticus, nowy gatunek biologiczny".

Aby zrozumieć - zdaniem autora "Maszyny i śrubek" - wyjątkowość dokonującej się w Rosji po 1917 roku pracy nad nowym człowiekiem, należy uświadomić sobie fakt, że idea ta nie pojawia się z Leninem, gdyż myślało o niej wielu rewolucjonistów XIX wieku, przygotowując tym samym niejako grunt dla twórcy bolszewizmu. Leninowska koncepcja "zawodowych rewolucjonistów" zdobywających państwa w imieniu hipotetycznego ludu, bowiem ten właściwy lud powstaje w zasadzie dopiero po rewolucji - była ostatnią s

państwo komunistyczne rozpoczęło zabiegi nad stworzeniem takiego człowieka, który będzie się uważał wyłącznie za komórkę organizmu państwowego. "Metoda kształtowania człowieka sowieckiego - mówi Heller - składała się z wektorów - głównych linii obróbki materiału ludzkiego i z instrumentów, umożliwiających tę pracę". Do wektorów zalicza on infantyilizację, upaństwowienie, planowanie, ideologizację i totalizację. Instrumentami obróbki są natomiast: strach, praca, korupcja, wychowanie, kultura i język.

Program infantyilizacji społeczeństwa sprowadza się do ustanowienia jednego powszechnie obowiązującego systemu myślenia. Rzecz jasna, jest to system naukowy, wszak przecież na nim opiera się ustrój doskonałości społecznej - komunizm. Wszelka opozycyjność staje się nieuchronnie przejawem choroby psychicznej. Rozumowanie prowadzące do takiego wniosku cechuje się nieodpartą logiką. Skoro ustrój jest doskonały, to ten, kto się mu przeciwstawia, tym samym występuje przeciw doskonałości i dostarcza dowodu, że jest psychicznie chory. Ludzie inaczej myślący to - jak pisze Heller -

"odrzućmy, materiał, który nie poddał się obróbce i zachował własne oblicze. To ci, którzy nie potrafili pokochać niewolnictwa".

Linia podziału społecznego w systemie komunistycznym generalnie przebiega między tymi, którzy wiedzą i przewodzą oraz tymi, którzy nie wiedzą i są poddani przywództwu. Przywódcy polityczni stają się ojcami, zaś rządzeni - dziećmi. Infantyilizację osiąga się przez nieumiarne stosowanie metody szokowej. Pierwszym szokiem była sama rewolucja, następnym wielki terror stalinowski. "Totalnemu terrorowi - powiada autor "Maszyny i śrubek" - przyswieca hasło: nie ma niewinnych. Od góry do dołu wszyscy są winni: temu, że działali albo temu, że nie działali, temu, że myśleli albo temu, że nie myśleli. Terror wieńczy budowę systemu, w którym wszyscy obywateli są zamienieni w dzieci, postuszne woli groźnego i bezlitosnego ojca. Jednym z oficjalnych tytułów Stalina staje się *rodzony ojciec*". Później w roli metod szokowych wystąpiły regularnie organizowane fronty walki przeciwko najrozmaitszym rzeczom, np. przeciwko kontrrewolucji, analfabetyzmowi, kuliactwu czy biurokracyzmowi.

Lenin odkrył, iż można zapanować nad czasem. Osiągnięto się to wówczas, gdy czas zostanie upaństwowiony. Założone przez niego państwo rozbiło czas na małe odcinki, których przebycie mierzy się wykonaniem odpowiedniego planu. Czas stracił zatem swój autonomiczny i zewnętrzny charakter, stając się środkiem wiodącym do komunizmu. Upaństwowienie gospodarki i planowanie bynajmniej nie służą zadaniom ekonomicznym. Są one narzędziami totalnej władzy, za pomocą których modeluje się świadomość człowieka. Plan jest kategorią państwową uzasadniająca postępowanie budowniczych nowego świata. "Władza nad czasem - mówi Heller - sprawia, że *marz* do przodu *czyli* planowanie postępu staje się kategorią etyczną".

Lenin uważał się za człowieka, który odkrył tajemnicę dziejów. Zwycięstwo rewolucji jeszcze bardziej uocniło go w tym przeświadczeniu. Posiadanie tak niesychanej tajemnicy, którą Lenin przelał w ogóle na Związek Radziecki, wymaga specjalnej ochrony. Tak więc w ZSRR praktycznie wszystkie informacje dotyczące życia polityczno-społecznego są tajne. "Atmosfera - twierdzi Heller - wszechobecnej tajemnicy, w której rodzą się, wznoszą i umierają ludzie sowieccy, jest najważniejszym czynnikiem wychowania ideologicznego. Istnienie tajemnicy, marzenie, aby się do niej zbliżyć, odgrądzanie od niej świadomości, że człowiek należy do magicznego świata systemu sowieckiego". Przekonanie o istnieniu tajemnicy dziejów i współuczestnictwo w jej ochronie daje homo sovieticusowi poczucie wyjątkowości. Heller konstatuje: "Tajemnica, która wiąże sowieckich ludzi w magiczny krąg utajemnienia i daje im poczucie przewagi jest tajemnicą cudu, który się nie udał i mocnej jak życie nadziei, że kiedyś się spełni. Najgroźniejsza antysowiecka książka to bajka Andersena *Nagi król*".

Ogromne znaczenie dla funkcjonowania systemu komunistycznego ma zasada autorytetu wodza, który ucieleśnia zbiorową mądrość partii. Zinowiew w tych słowach mówił o Leninie: "Jest on rzeczywistością wybrnięcą spośród milionów, wodzem z bożej łaski. Jest to prawdziwy przywódca, jaki rodzi się raz na 500 lat". Po śmierci Lenina dokonano ofi-

cialnej jego deifikacji. KC nie przyjął nawet do wiadomości faktów śmierci przywódcy, znajdując niejako nową formę istnienia Lenina. "Lenin - głosił list KC skierowany do partii - żyje w duszy każdego członka naszej partii. Każdy członek naszej partii jest częścią Lenina... Lenin żyje w sercu każdego uczciwego robotnika. Lenin żyje w sercu każdego biednego chłopca".

Partia komunistyczna sprawuje w państwie totalną władzę, choć się do tego nie przyznaje, rezerwując słowo "totalitaryzm" wyłącznie na oznaczenie faszystowskiego systemu rządów. Zgodnie z konstytucją partia jest siłą przewodnią i kierowniczą społeczeństwa, a także rdzeniem systemu politycznego i trzonem wszystkich organizacji państwowych i społecznych. Trudno byoby osiągnąć władzę bardziej absolutną, w dodatku potwierdzoną przepisami prawa. Partia posiada aż taką władzę, ponieważ tylko ona zna cel, drogę do celu oraz prawdę historii. "Każda próba - powiada Heller - ograniczenia totalnej władzy partii uważana jest za zamach na prawdę i historię".

Spośród różnorodnych instrumentów stosowanych w obróbcie nowego człowieka, jak np. organizowanie zbiorowego strachu, kreowanie wroga, militaryzacja pracy, ideologizacja wychowania czy korumpowanie społeczeństwa, wyodrębnić należy język, gdyż jest to najpotężniejsza broń w rękach państwa. Partia zmierza do stworzenia nowego języka, który dostarczałby środków wyrazu dla myśli mile widzianych i jednocześnie uniemożliwiałby inne sposoby myślenia. Nowy język ma być środkiem porozumienia, ale także narzędziem represji. "Sowiecki język - pisze autor omawianej książki - tym się różni od innych, że słowa stracili w nim swój immanentny sens i stały się pustą skorupą, którą Najwyższa Instancja napełnia potrzebną jej treścią". Słowa nowomowy winny maskować istniejącą rzeczywistość poprzez tworzenie szczególnej nadrzeczywistości ideologicznej i wywoływanie wrażenia, iż realne jest nie to, co istnieje, lecz to, co jest zakodowane w nadrzeczywistości. "Państwo - mówi Heller - nadaje słowom sens i decyduje o ich użyciu, tworząc w ten sposób zaczarowany krąg, w który musi wejść każdy, kto chce rozumieć i być zrozumianym - w granicach systemu sowieckiego". Jednakże, jak się wydaje, język sowiecki wciąż jeszcze znajduje się in statu nascendi i daleko mu do ideału opisanego przez Orwell'a.

W zakończeniu swej książki Heller stwierdza: "Przez siedemdziesiąt lat, które upłynęły od zwycięskiej rewolucji październikowej, społeczność ludzka i pojedynczy ludzie są przedmiotem skoncentrowanego i planowego ataku totalitarnego państwa sowieckiego. Pewne wnioski można już wyciągnąć: osiągnięto znaczne sukcesy, ale cel jest jeszcze daleki". Z pewnością diagnoza ta jest trafna i trzeba się z nią zgodzić. Heller polemizuje z opinią innego znawcy socjalizmu Aleksandra Zinowiewa, który kiedyś napisał: "Sowieckiego społeczeństwa nie uda się rozbić i za tysiąc lat... Sowiecki system przetrwa do końca dziejów ludzkości". Autor "Maszyny i śrubek" ufa, że tak się jednak nie stanie. Powstanie i działalność "Solidarności" są dla niego dowodem na to, że system komunistyczny nie jest wszechmocny i można się przeciwko niemu skutecznie zbuntować. Ponadto Heller łączy pewne nadzieje z nową rewolucją techniczną, która przekształci społeczeństwa przemysłowe w społeczeństwa informatyczne. "System sowiecki - powiada on - nie może się w nią włączyć: powszechny dostęp do informacji oznaczałby jego zagładę". A zatem nowe możliwości technologiczne, jakie pojawiają się przed ludzkością, mogą rozzerwać magiczny krąg, w którym żyje dotychczas homo sovieticus. Ostatnia nadzieja związana jest z istnieniem świata zewnętrznego, świata, do którego nie sięga władza komunizmu. unicestwienie tego świata jest niezbędnym warunkiem ostatecznego zwycięstwa. "Jeżeli - pisze Heller - system sowiecki przestanie się rozprzestrzeniać na kuli ziemskiej, ustanie również produkcja śrubek, bez których nie może funkcjonować maszyna i które mogą istnieć tylko jako elementy maszyny".

Polskie wydanie "Maszyny i śrubek" zamyka postawie, w którym autor dokonuje oceny polityki Gorbaczowa. Gorbaczow wielokrotnie podkreśla, że ZSRR poraża się w otchłanach kryzysu gospodarczego. Zdaniem Hellera, kryzys jest nieodłączną cechą systemu radzieckiego i każdy nowy przywódca rozpoczyna rządy od "udmaskowania rzeczywistej sytuacji kraju, wprawiając obywateli w zdumienie faktem, że głośno mówi o tym, o czym wszyscy wiedzą". Przyczyną zła zawsze była ogłaszana nieudolność poprzednika. Tak jest również i tym razem, bowiem Gorbaczow o wszystko oskarża Breżniewa. Podobnie też jak poprzednicy, Gorbaczow przedstawia się jako bezpośredni i jedyny następca Lenina.

Heller twierdzi, że wszystkie hasła Gorbaczowa pochodzą ze stalinowskiego wokabularza politycznego i należały do najpopularniejszych haseł lat trzydziestych. Co więcej,

Heller pisze, iż w wypowiedziach Gorbaczowa "zwracają uwagę dość częste dostawne cytaty z wypowiedzi Stalina /bez podania źródła"/. W konsekwencji autor przedstawia Gorbaczowa wręcz jako spadkobiercę Stalina.

Nie sposób nie odnieść wrażenia, iż w tym przypadku Hellera poniosła fantazja. Gorbaczow jest komunistą i nikt rozsądny nie powinien w to wątpić. Jego celem nie jest bynajmniej demontowanie komunizmu, ale okres, w którym sprawuje władzę nie przynosząc wprawdzie jakiegos zasadniczego przełomu w zakresie mechanizmu rządzenia, charakteryzuje się jednak swoistą otwartością. W stopniu nie notowanym do tej pory w jakimkolwiek okresie historii ZSRR poszerzyła się relatywna swoboda słowa, wzrosły możliwości wypowiedzania aspiracji i dążeń narodowościowych, religijnych czy społecznych. Tego nie można przeceniać, lecz nie można także całkowicie zignorować, jak czyni to Heller. A już z pewnością nie ma uzasadnienia - jak chce tego autor "Maszyny i śrubek" - dla uznania Gorbaczowa za spadkobiercę Stalina. Między komunizmem Gorbaczowa i komunizmem Stalina istnieje zasadnicza różnica.

DOMINIK LAN

J.S.

## My, jawniacy...

Kim jest "jawniak"?

*"Jawniak to ten, który postanawia, że będzie żył jak wolny człowiek w wolnym kraju, choćby wszystko wokół przemawiało przeciwko niemu, choćby robił to tylko dla siebie samego. Rozumie, że niepodległość nie jest nam dana z suwnątrą, lecz budowana w nas, przez nas i między nami. Nie boi się osamotnienia, bo wie, że "Solidarność" zbudowała indywidualności na przekór wszystkim, którzy później ich poparli. Hasłem jawniaka jest zdanie Miłosza: «Lawina biegnie od tego zmięta, po jakich toczy się kamieniac»"*

*Jawniak kalkuluje cenę odwagi i szacuje realność celu, ale nie kwestionuje racji tylko dlatego, że będzie musiał za nią zapłacić."*

Tak Maciej Poleski określa adresata swej książeczki\* mającej być - jak sygnalizuje już na pierwszej stronie tekstu - "podręcznikiem służącym tym, którzy zrozumie-li, że coś się skończyło".

Tak, skończyło się bez wątpienia. Jest to oczywiście nie tylko teraz, kiedy to piszę w ostatnich dniach stycznia 1989 mając za tło zarówno w przyspieszonym tempie podjęte ponownie prace nad ustawieniem, gdzie należy, rozmontowanego jesienią 1988 "okrągłego stołu", jak i gniewne pohukiwanie sfrustrowanych aparatczyków, od których - niby od starej i zużytej małżonki - generałowie i sekretarze domagają się teraz nie tylko zgody na rozwód, ale i odstąpienia od podziału majątku. Było oczywiście także burzliwa wiosną minionego roku, kiedy Poleski pisał swój krótki "podręcznik", jak i tą dziwną, wiele obiecującą, choć zwodniczą, jesienią 1986 roku, kiedy wraz z opustoszeniem cel więźniów politycznych zawiązały się pierwsze struktury "solidarnościowego" jawniactwa - właśnie z byłymi więźniami na honorowych pozycjach.

*"Podziemie wymarzyło się na powierachnię i nastąpiła boleena weryfikacja mitów" - komentuje tamta jesień Poleski.*

Jego podręcznik - a może "antypreręcznik" - jest głosem sprzeciwu wobec jałowości "konspiracy" w sytuacji domagającej się innych form działania, votum nieufności wobec konserwatywnu "solidarnościowego ZBOWID-u" przywiązanego /jak każdy "beton"/ do minionych dni i minionej chwały, opęją za uznaniem - choćby i bolesnej dla wielu - nieuchronnej odmiany czasu. Przecież niektórzy już w 1983 roku opuszczali podziemie, aby - w tantym jeszcze, policyjnym i wrogim wszelkiej nadziei państwie - szukać dla siebie minimalnych choćby szans na jawniactwo; byli dezertkami, czy może przenikliw-szymi niż inni prognostami? Nie podzielał poglądów politycznych Aleksandra Halla, a-le warto pamiętać, że to on ze swym kontrowersyjnym ujawnieniem i listem otwartym krytykującym "konspirę" był tu prekursorem, choć może przedczesnym.

Dzisiaj jawniactwo staniało, dość wspomnieć - obok przeróżnych jawnych komitetów i kierownictw partii politycznych - jawną redakcję "Krytyki", jawnego przedstawiciela znanego pisma "PWA", półjawną redakcję "Mazowszanki", Grzegorza Bogutę - jawnego sze-

\* Maciej Poleski, Mały jawniak, Wydawnictwo "Puls", Londyn 1988

fa niejawniej oficyny "Nowa", z którym podobno usiłuje wejść w spółkę państwowe wydawnictwo "Iskry". Oto Polska właśnie... Czy ci wszyscy ludzie - a doliczyć do nich trzeba nieprzeliczone mrowie obrotnych przedsiębiorców z opozycyjnym rodowodem - czekają na wspólny program? Czy go potrzebują? A może każdy z nich - włączając w to Czesława Bieleckiego, szefa dobrze prosperującej firmy architektonicznej "Dom i Miasto" - realizuje go już od dawna, bez teorii, ale skutecznie?

Przyrodna jednak Poleski coś, co konieczność refleksji nad programem, a może tylko zaleceniami, na czas dzisiejszy głęboko uzasadnia. Punktem wyjścia jest znane hasło Jacka Kuronia sprzed lat kilkunastu: "Zamiast palić komitety - zakładajcie własne". To hasło miało sens, umocniło fundament "Solidarności" nie mniej niż konwencje MOP-u.

*"I oto tradycja KOR-u, sprawdzona, owoce, zaczyna na naszych oczach zawodzić! mnożą się komitety, a polska praca pozostaje chora, jeśli zaś dochodzi do zdrowia, to bez ich udziału. Dlaczego tak się dzieje?" - pyta Poleski.*

Bardzo trafna obserwacja, bardzo ważne pytanie. Choć - jak bardzo często w tej książce - odpowiada unikaniem przytaczając dzieje nieudanych /włosna 1988, gdy pisał "Małego jawniaka"/ starań o zarejestrowanie warszawskiego Towarzystwa Gospodarczego jako przykład opozycji jałowej, kiedy obawa przed zwolaniem zebrania mogącego być uznanym za "nielegalne" przesłania faktyczny cel podjętych działań; takie "komitety" nie staną się niczym więcej niż kolejną "kanapą", a cała energia organizacyjnego działania pójdzie w przysłowiowy "gwizdek". Już najbliższe miesiące pokazały jak bardzo się pomylił: Towarzystwo zostało zarejestrowane łącznie z kontrowersyjnym prawem do podejmowania działalności gospodarczej, lecz bynajmniej nie w wyniku chwalebnych starań wchodzących w skład komitetu założycielskiego dziennikarzy, biznesmenów i naukowców, lecz dzięki presji strajkowej fali 1988 roku. Tak to znowu polski robotnik "załatwił" rejestrację nie tylko rzeczonożem gremium, ale kilkunastu co najmniej innych stowarzyszeń, którym poprzednio nie dawano szans, doprowadził do dalszego osłabienia cenzury, a na koniec do "okrągłego stołu"; podobnie jak w sierpniu 1980 to właśnie robotnik upomniał się o wolność słowa, wypuszczanie więźniów politycznych i reformę gospodarczą. Dla siebie zaś - zwiastująca w 1988 roku - ten strajkujący polski robotnik uzyskał bardzo niewiele, prawie nic. Warto by pamiętali o tym zaciągniętym długu ci zwiastująca, którzy faktycznie konsumują wywalczone przez strajkujących, bądź uczynione wobec obawy dalszych strajków ustępstwa rządzących: a więc przywódcy różnego szczebla i różnych orientacji, ich doradcy, biznesmeni, publicyści, pisarze, naukowcy, jawniacy wszelkiej maści. A pamięć w tym akurat względnie mamy niechętną i jakby cokolwiek krótką.

Tym niemniej, pozostaje ważnym pytanie Poleskiego o nową strategię i program na nowe czasy. Dlaczego dotychczasowe nie funkcjonują? Bo na cierpliwe czekanie - w myśl słynnego zdania prymasa Wyszyńskiego "Przyjdą nowe czasy, wymagają nowych światła, nowych mocy, Bóg da je w swoim czasie" - pozwolić sobie może tylko Kościół.

Co proponuje Poleski w "Małym jawniaku"? Jest za przekroczeniem tej granicy uprawiania polityki, którą wyznaczają kanapowe "komitety" i podpisywanie listów otwartych. Jest za "polityką na miarę czasu i miejsca" rozumianą "nie jako gadanie i pisanie, ale jako organizacyjna harówka". Jest za odrzuceniem "mentalności kolejkowej" uformowanej w "życiu przy socjalizmie", przeciw pokutującym w nas reliktom zinowiewowskiego "homososa", przeciw inteligentkiewi prometeizmowi nylącemu szlachetne złudzenia z opisem celu, a idee z rzeczywistością.

A do tego, jak to jest napisane... Maciej Poleski, który podobno narodził się w 1979 roku w paryskiej "Kulturze", a zabił się w stanie wojennym jako gwiazda pierwszej wielkości polskiej publicystyki, udowadnia, że jest wciąż w znakomitej formie. Jego więzienie i bijskotliwe zdania zasilają na pewno skarbnicę polskich aforyzmów.

Nieraz jednak cudowna elegancja formy kryje uproszczenia, nad którymi nie sposób przejść do porządku. "Ubóstwo to pozbawienie prawa do bogactwa" - pisze Poleski. No, no... Zdanie może siuszne w "realnym socjalizmie", gdzie bogactwo i bogacenie się leżą w sferze spraw nagannych, ale w państwach, gdzie każdy ma podobno równe prawa i gdzie podobno pacybut może zostać milionerem? Skąd na przykład bierze się chroniczna i dziedziczna bieda amerykańskiej "podklasy"? Moim zdaniem bariera pomiędzy nią a "społeczeństwem dobrobytu" przebiega w sferze wartości. Może się myłę, ale na pewno

nie należy jej ignorować ani naiwnie wierzyć, że kapitalizm = dobrobyt dla wszystkich.

Albo wspomnienie sporu o kształt gospodarki z 16 miesięcy "karnawau" między ekspertami "Solidarności", Bugajem a Kurowskim: Bugaj uzyskał szersze poparcie społeczne nie ze względu na potępiany przez Poleskiego prometeizm lewicowego inteligenta nadmiernie uczulonego na los warstw mogących być pokrzywdzonymi, ale po prostu dlatego, że przedstawiony przez prof. Kurowskiego plan uzyskania szybkiego postępu gospodarczego dzięki przerzuceniu produkcji przemysłu zbrojeniowego na cele cywilne był mało realny. Po pierwsze, ze względu na uwarunkowania polityczne /Układ Warszawski/, po drugie, ze względu na to, że fabryki wojskowe bez wielkich inwestycji nie są w stanie w ciągu krótkiego czasu przestawić się na produkcję "masia zamiast armat". Co więcej, polski przemysł składa się w przeważającej mierze z przedsiębiorstw wielkich, których szybka prywatyzacja jest mało realna /kto kupi "Hutę Katowice"?/ nie tylko ze względu na brak rodzimej klasy średniej; dramatyczne społecznie skutki zbyt radykalnie forsowanej fazy przejściowej też nie są tu bez znaczenia. Podziałem nadziej związane z wprowadzeniem /a może odbudową?/ w Polsce efektywnej gospodarki typu zachodniego, ale punktem wyjścia jest taka właśnie struktura gospodarcza, jaka istnieje i taki udział w strukturze zatrudnienia dość amorficznego dziś tworu określonego w XIX wieku całkiem trafnie jako "klasa robotnicza"; nawet jeśli w nowoczesnych gospodarkach zachodnich schodzi ona ze sceny, nie wolno jej ignorować w Polsce dzisiejszej. Zwłaszcza ten, kto słusznie woła o poszanowanie świata realiów przez świat idei, powinien to uwzględnić.

Gdy więc rzetelnie odciąsnąć to, co - wśród błyskotliwie sarkastycznych aforyzmów - proponuje Poleski jako program dla nas jawniaków, to pozostaje liberalizm tak ekonomiczny jak polityczny /oczywiście w europejskim, nie w amerykańskim sensie/ i zdecydowana, "niekanapowa" praca polityczna na rzecz niepodległości. Jego jawniak jest więc zapewne biznesmenem, trochę arystą, ale jednocześnie niepodległościowcem, może nawet zapracowanym i ofiarnym organizatorem jakiejś nowej partii. Jak na autora "Pomyśłów politycznych" trochę to mało, jak na szerokie spektrum jawniaków, którzy wiedzą, że coś się skończyło i nie wróci, którzy świadomie i bez złudzeń wybrali wolność w Polsce - trochę za wąsko. Przypomina się znakomity Kisiel, który przed paru laty nakreślił "Szkielet do programu opozycji", publikowany m.in. w paryskiej "Kulturze" i w krajowych broszurach "II obiegu" - nie zdając sobie chyba sprawy z tego, że pisze program, owszem, ale dla partii drobnych posiadaczy niezbędnej w każdym normalnym spektrum politycznym, lecz nie wyczerpującej bynajmniej różnorodności opozycyjnych nurtów. Nie jest więc "Małym jawniakiem" na pewno - jak obiecuje autor - "podręcznikiem" przeciwstawnym różnym "Małym konspiratorom" wydawanym przed laty dla podziemnego użytku ze słynnym "Jak knuć?" opublikowanym przez warszawskie wydawnictwo CDN - na czele. Jest raczej zbiorem myśli, aforyzmów, polemik.

Jest to poniekąd skutek przenoszenia swego punktu widzenia na niekoniecznie spójną całość i tej pochopności pióra, jaka bywa "diabłem stróżem" najbliższych znakomitości publicystycznych, do których należy tak Poleski, jak i często przywoływany przezeń Mieroszewski. Sam też nie jestem tu bez grzechu, co mi już parokrotnie wytkali z okazji różnych potyczek PT Polemiści.

Nie należy też mieszać sfery interesu ze sferą wartości. Ludzie /także ludzie władzy od pewnego czasu/ praktykują w Polsce ekonomiczną liberalizację, bo się im to opłaca, nie zaś dlatego, że uważają go za polityczny lub moralny program. Jeśli to czynią z bogatej literatury teoretycznej - będziemy dopisywać etycznie-polityczne uzasadnienia dla opcji "robienie forsy, nie konspirę", to rychło znajdziemy się na grząskim gruncie, który swego czasu pozwoiliłem sobie nazwać "kapitalizmem utopijnym". Uznanie ustroju socjalistycznego za najdłuższą i najbardziej męczącą drogę do kapitalizmu jest zapewne nieuchronnością, ale nie ma się z czego cieszyć. Wystarczy dziś bliżej popatrzyć na rozpoczynający się okres przejściowy: co sprytniejsi aparatczycy i czerwoni menadżerowie wchodzą na wysięgi do przeróżnych spółek i przedsiębiorstw kapitalizujących to, co jeszcze dziś można dogodnie zmienić w gotówkę - własne "chody", dostęp do środków produkcji i ośrodków władzy. Spory fragment rozrastającego się sektora prywatnego - po części przez takie właśnie powiązania, a po części przez rolę pasożyta bezwładnej gospodarki państwowej - wie, iż w ewentualnym systemie prawdziwej wolnej konkurencji nie będzie już jej tak dobrze i staje się nowym, silnym ekonomicznie ośrodkiem poparcia dla dzisiejszego "postkomunizmu". Szlachetni ideolodzy liberalni i ich



polskie wnuki spod znaku "kapitalizmu utopijnego" nie przewidzieli na pewno tej - realnie istniejącej - formacji, którą swego czasu pozwoiliem sobie nazwać "ubekokapitalizmem", ale obrotnym aparaczką i dyrektorom z nomenklatury nie trzeba tego dwa razy powtarzać.

Prócz ostrości spojrzenia na dzień dzisiejszy nie wyzbywamy się też historycznej pamięci. Kapitalizm jest też "realny" i nawet w swej najlepiej funkcjonującej wersji ma wady i kryje zagrożenia, o których przystoi myśleć, jeśli się rości pretensje do objęcia świata rozumem. Wałęsio - jako przywódco politycznemu - przystoi demagogicznie głosić, że "weźmiemy to, co nam się podoba i z kapitalizmem, i z socjalizmem", ale intelektualistycznie już nie. Za wszystko się płaci, niestety; za odbudowę lekomyślnie zdemontowanego kapitalizmu - także. Jak dotąd, grozi nam raczej zlepek najgorszych cech obu ustrojów, przed czym przestrzegał już niejeden, a ostatnio Leszek Kołakowski podczas swej podróży do Polski.

Związcząca na okres przejściowy należałoby coś sensownego zaproponować nie tylko arywistom, ale i "robotom", którymi jeśli się dziś ktoś - inaczej niż w Sierpniu - na serio interesuje, to tylko pytając czy są dość radykalni, by w kolejnym starciu obalić "komnę"? Bo jak nie powstaną sensowne i atrakcyjne propozycje, to wkrótce będziemy świadkami bardzo ciekawego sojuszu między "gwiazdobjorem" /tak nazywani są w Gdańsku zwolennicy Andrzeja Gwiazdy/ a gniewnym populizmem sfrustrowanych związkowców i drobnych aparaczków z dzisiejszego OPZZ-u. Ta dość ponura koalicja jest niestety realnie dziś funkcjonującym "pomysłem politycznym" /choć oczywiście nie Macieja Poleskiego/ i należy się z nią liczyć. Podobnie jak z wypłynięciem wielu dzisiejszych nomenklaturowców w roli nadzianych forsą kapitalistów.

Nie należy też upraszczać pojęć, czego przykładem jest święte słowo "Niepodległość". Jesteśmy na drodze do niej, ale ta droga biegnie - chcemy czy nie chcemy - przez Europę Środkową, nie przez platońską krainę idei; wiedzie więc nadal między Rosją a Niemcami. Jeśli ustroj komunistyczny w Polsce faktycznie się rozlatuje, to niekoniecznie w Rosji, która - nawet w porywach "pierestrojki" - znajduje się wciąż na poziomie naszych haseł z pamiętnego roku 1956, kiedy to martwy dziś w Polsce "rewizjonizm" święcił swe największe triumfy. Jeśli nawet komunizm w Rosji się rozsypie, jeśli Gorbaczow okaże się późnym generałem Franco albo Juanem Carlosem komunizmu, to i tak Rosja pozostanie i trzeba się będzie jakoś z nią ułożyć; wiedzą o tym dobrze Amerykanie - niestety, Reagana potrafilismy tylko chwalić jako "najlepszego prezydenta Polaków", nie chcieliśmy się uczyć odeń przebiegłej mądrości politycznej. Warto więc, mówiąc szczerze "Niepodległość", zastanowić się nad długimi - może bardzo różnymi - drogami, jakie powinny do niej doprowadzić, pomyśleć też o sojusznikach i ich pozyskaniu; mogą oni bowiem znaleźć się także wśród dzisiejszych "Czerwonych".

Szczerze pisze Polscy o konieczności odrzucenia całego dziedzictwa "homo sovieticus", które obywatelom nas także wtedy, kiedy dawno już odrzuciliśmy komunizm. Ale bezwiad, nietolerancja, "mentalność kolejkowa" i lenistwo "homososa" to nie tylko dziedzictwo stalinizmu. Za wszystko się płaci, niestety - zwłaszcza za własną historię. To także dziedzictwo straconego przez Polskę wieku XIX, który dla niepodległych państw europejskich był wspaniałą epoką budowania społeczeństw liberalnej demokracji i kapitalizmu, dla nas musiał być z konieczności wiekiem walki o niepodległość i pasmem narodowego cierpienia. To także spuścizna Kościoła, który w Polsce był nie tylko organizatorem życia religijnego, ale narodowego; wielkim sztandarem walki o przetrwanie. Potem dożył swoje ostatnia wojna, "realny socjalizm", wreszcie i "sentymentalna panna S.", która - jak to sentymentalne a giupitkie podlotki - chciała, aby 10 milionów dorosłych ludzi śpiewało jednym głosem i klaskało w tych samych momentach, choć akurat dokładnie przeciwnych do zalecanych przez władzę. Z haseł "kultu jednostki" to jedno okazało się najtrwalsze: "Stalin wiecznie żywy", tkwi on bowiem wciąż w naszych duszach, nawet wtedy, gdy zapisaliśmy się do KPN-u. Podobnie z bogatego dorobku piśmienniczego obecnego premiera PRL wielkopompe jest tylko jedno zdanie, wypowiedziane w sierpniu 1981 roku po zerwanych wtedy rokowaniach z "Solidarnością": "wszyscy jesteście naszymi dziećmi, niestety". Stąd ta całkowita nieumiejętność codziennego i efektywnego praktykowania demokracji, dychotomiczny podział na "władzę" i "społeczeństwo", nietolerancja, zastępowanie merytorycznej polemiki zniestawianiem przeciwnika, oczekiwanie na "wodza" /Wałęsio!/, cenzura w niektórych pismach "II obiegu"

deklarujących się jako pluralistyczne, gabinetowe metody doboru różnych ciał rzekomo reprezentatywnych, szastanie epitetem "agenta", bądź posądzeniem o defraudację. Główny przeciwnik jawniaka, "totalniak" Poleskiego nie jest bynajmniej betonem z aparatu, lecz także jednym z nas, udręczonym człowiekiem z kolejki, nieraz także działaczem niepodległościowym, pisarzem, publicystą.

Wszyscy dziś mówią na wypródkę o pluralizmie. Ale nas czeka dopiero wielka praca nad pluralizmem, podjąć musimy dopiero to wielkie wyzwanie wolności stojące przed polską myślą, polskim życiem publicznym, polską publicystyką i polityką.

Jawniak - ten, który świadomie wybiera wolność w Polsce, stoi dopiero na początku długiej drogi samowyzwolenia.

J.S.

PIOTR M UCHARSKI

## "KULTURA" w oczach przyjaciół

Po wydanej w "Pulsie" w 1987 r. pracy zbiorowej "O «Kulturze». Wspomnienia i opinie" będącej antologią - czasem laurkowych, czasem zdawkowych, niekiedy ciekawych - artykułów; dotarła do nas książka-katalog pt. «Kultura» i jej krąg<sup>1</sup>. Jest to literacki i fotograficzny zapis wystawy pod tym samym tytułem, która miała miejsce od 11 XII 1986 do 10 I 1987 w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Inicjatorami wystawy oraz wydawnictwa było zawiązane specjalnie z okazji 40 rocznicy powstania "Kultury" stowarzyszenie "Les Amis de Kultura"<sup>2</sup>. Jego członkowie są w większości autorami tekstów katalogu i scenariusza wystawy. Całość jest prezentacją eksponatów /fotografii, listów, dokumentów/, z konieczności szczuplejszą niż sama wystawa; każdy z rozdziałów książki - odpowiadający działowi wystawy - jest poprzedzony krótkim wstępem lub mikroesejem.

"Kultura" to wbrew nazwie przede wszystkim polityka - naturalny żywioł Jerzego Giedroycia. Od czasów "Buntu Młodych", a może nawet wcześniej, kiedy to w Warszawie wychodził "Dzień Akademicki", poprzez "Politykę", aż po czasy "Kultury" J. Giedroyc był Redaktorem. W roku 1931 /pierwszy numer "Buntu"/ miał 25 lat. Nawet jako przywódca marginalnej grupy młodych publicystów tworzył zręby myśli politycznej, które okazują się - przynajmniej od wydania "Stylów politycznego myślenia" Marcina Króla w 1979 r. - inspirującą tradycją dla najciekawszej myślącej grupy młodej polskiej inteligencji.

Tamte, przedwojenne jeszcze pisma, określano jako konserwatywne. Nie świadczyło to bynajmniej o temperamencie Redaktora, raczej o stylu myślenia jego i jego "piór". Inaczej "Kultura", ta szukała sojuszników raczej na lewicy. Dlaczego tam? Bo taką, a nie inną wyszła Europa z II wojny światowej; bo pierwszym piórem w redakcji był teraz nie Adolf Bocheński, lecz Juliusz Mieroszewski.

Korespondencji Giedroycia i Mieroszewskiego jest poświęcony szkic Krzysztofa Pomiana pt. "Redaktor i Publicysta - o polityce w «KULTURZE»", stanowiący pierwszą część wstępu do katalogu. Pomian korzystał z łaskawie udostępnionych przez Redaktora listów, które kursowały między Londynem, gdzie mieszkał Mieroszewski, a redakcją w

1 - "Kultura i jej krąg", Les Amis de Kultura, Paris 1988

2 - Oprócz wymienionych w tekście autorów, do stowarzyszenia "Les Amis de Kultura" należą jeszcze: Barbara Askanas /komisarz wystawy/, Teresa Dzieduszycka /Przewodnicząca/ i Jan Krawczyk.

Maïsson-Lafitte. "Jest to trwająca z górą ćwierć wieku dyskusja o Polsce i świecie, prowadzona z tą swobodą, jaką daje pełne wzajemne zrozumienie, przez dwóch wnikliwych obserwatorów i analityków biegu wydarzeń, a zarazem polityków szukających nieustannie sposobu, by wyurać nań wpływ odpowiedni". - pisze Pomian. I dalej - "Listy te są chyba najświetniejszym źródłem do historii «Kultury», pozwalają spojrzeć na nią od wewnątrz". Jest ich 1374 z lat 1962-75. Wyznaczają one puls "Kultury"; kursowało ich około 130. rocznie. Zapewne w okresach przesilen, jak marzec 68 lub przy okazji publikacji listu Kuronia i Modzelewskiego, ich częstotliwość wzrastała. /Dygresja: "Kultura" jest w ogóle pismem redagowanym korespondencyjnie i jak pisze Pomian - "Decydującą rolę odgrywa «redakcja niewidzialna». Przez co rozumie wszystkie najlepsze pióra emigracyjne...", lecz oczywiście wszystkie nici zbiegają się w rękę Redaktora/.

Tak więc, koncepcje polityczne rodziły się z wzajemnej inspiracji, a role przy ich tworzeniu były wg Mieroszewskiego rozpisane następująco: "pan jest twórcą modelu, a ja jestem krawcem, który musi ów model skroić i uszyć". /list z 1965 r./

Rok 1962, od którego zaczyna się udostępniiona poczta, to czas kiedy w kął poszły wszystkie popaździernikowe nadzieje. "Kultura", która wiele zainwestowała w nowego I sekretarza, tłumaczyła się jeszcze w 1958 r.: "Komunisty polscy mieli przed sobą dostawnie dziejową szansę wykazania światu, że potrafią przewodzić demokratycznemu społeczeństwu w oparciu o demokratyczne metody i instytucje. Mielł szansę podważyć tezę - uznaną za pewnik przez setki milionów ludzi zachodu - a mianowicie, że w komunistami nie można współpracować, a można ich tylko zwalczać". To, że "Kultura" siuszenie głosiła radykalne oddzielenie ideologii od polityki, mogło niepotrzebnie prowadzić i do takich złudzeń, jak te powyżej. Ale Redaktor i Publicysta zmieniali swe koncepcje z każdą przemianą geopolitycznego pejzażu.

Zatem jest rok 1962 i innych szuka teraz "Kultura" sojuszników, już nie w łonie władzy i okolicach; dlatego posłowie "Znaku" są "moralnymi bankrutami i oportunistami" /J.M. 1962/, stąd - krótkie zainteresowanie rewizjonizmem, który mógłby zdynamizować marazm gomulkiizmu. /To był jeden z kilku szczególnie trudnych dla "Kultury" okresów; okresów "zmęczenia chałupniczymi warunkami pracy i tą ciągłą szarpaniną bez możliwości wyjścia z getta". /J.G./

Jednak w tych właśnie latach wypracowano program polityczny, znany szeroko jako "ewolucjonizm"; zakładano, że zmiany w kraju mogą zaistnieć tylko jako skutek presji społecznej na komunistyczną władzę. Giedroyc uważał, że się o takiej potencji można znaleźć jedynie wśród robotników. Był to zresztą wniosek z czysto pragmatycznych kalkulacji: "Jest to dziś warstwa najbardziej niezadowolona i najbardziej wroga ustrojowi /.../ Jest to jednak warstwa w Polsce nowa, która nie miała czasu, a przede wszystkim możliwości wychowania sobie leaderów/.../ Dziś trzeba robotnika podnieść do wal-ki o poprawę warunków materialnych, o samorząd w związkach zawodowych, o wyjazdy za granicę /.../ Ma się rozumieć będzie z miejsca zarzut, że wskazujemy palcem, prowokujemy prewencyjne represje, ale nie ma innej drogi tak, jak nie było innej drogi, gdyśmy pisali o rewizjonistach". /J.G. - 1963/

Ten cytat dobrze ilustruje sposób myślenia Redaktora, ale także mówi wiele o postrzeganiu "Kultury" przez krajową władzę i opozycję. Wiadomo, że największą reklamę zrobił miesięcznikowi Gomulka, wymachując nim z trybuny i mianując głównym wrogiem PRL; nie bez związku z tymi ekscesami, opozycja często uważała, że "Kultura" władzę "prowokuje" i "naraża" niezależnie inijatywy, zaś władza czyta zawarte w niej artykuły, jak donosy. Cóż, jeśli nawet tak było, to niewiele to władzy pomogło.

Zwrot ku robotnikowi i bliska już Praska Wiosna powodują, że obok "ewolucjonizmu", "Kultura" pisze coraz częściej o "rewolucjonizmie". Sprzeczność? Pomian: "Dyskusja na ten temat toczy się niemal bez przerw, aż do kwietnia, gdy Mieroszewski proponuje formuły, które zyskują aprobatę Redaktora:

"/.../ Ani ewolucjonizm, ani rewizjonizm nie stanowią credo «Kultury». Naszym credo jest obalenie komunizmu. Każda metoda dobra, która prowadzi do celu".

Niebezpieczeństwa aktualnej sytuacji widzi Redaktor w tym, że radykalizującym się nastrojom nie odpowiada programotwórcza działalność elit; jak mówia jego rozmówcy z kraju: "niech się coś zmieni, niech trzaśnie, obojętne dlaczego, dla kogo i przez kogo, byle coś się zmieniło". "Kultura" stara się swą pracą koncepcyjną jakoś tę lukę wypełnić.

Sporo kontrowersji budziło i budzi nadal - szczególnie teraz, po wszystkich dyskusjach o Sierpniu - użycie słowa "socjalizm", właśnie w artykułach programowych Mieroszewskiego. Byli więc, Redaktor i Publicysta, socjalistami czy nie byli? Może ich sympatie doń wynikały z pragmatycznego wyboru opcji zgodnej ze społecznymi preferencjami? Giedroyc pisał: *"Jesteśmy za socjalizmem i demokracją, za postępowem i wolnością. Nikt nas nie przekona, że są to pojęcia sprzeczne"*. Mieroszewski wierzył w istnienie "prawdziwego, humanistycznego socjalizmu". Zdaniem Kisielewskiego *"Spotkanie z Giedroyciem"*, Puls nr 30/ Publicysta nie odróżniał socjalizmu realnego od socjaldemokracji, a Redaktor bał się *"wystąpić frontalnie przeciw socjalizmowi, aby nie zrobić osobie opinii pisma prawnicowego"*. Zostawmy te pytania... Do czego obaj przyznawali się na pewno - to europejska tradycja demokratyczna. /Jakkolwiek wieloznacznie to brzmi i różnie rozkładają się akcenty - poprzestajmy na tym hasle/.

Tu dochodzimy do kolejnego istotnego punktu. Preferencje polityczne "Kultury" nie powinny przysłonić jej krytycznych ocen stanu świadomości polskiego społeczeństwa. Szczególnie charakterystyczne są tutaj dwa, niemal identycznie brzmiące cytaty z listów J.Giedroycia: *"Musimy sobie bowiem uświadomić, że większość jest kołtuńska, nie tylko ślepo anty-, ale interesują ich poza tym tylko plotki i ploteczki. Musimy sobie zdać sprawę, o czym zresztą Pan i ja wiemy nie od dzisiaj, że wszędzie, a w historii Polski specjalnie, znikoma mniejszość zawsze narzucała wolę biernemu, ospałemu społeczeństwu i nie nie wskazuje na to, że to się zmieni"*. /w rok po marcu 68/.

Drugi cytat objaśnia zarazem pewne ideowe wybory: *"Jest prawdą, że społeczeństwo polskie w znakomitej większości jest antykomunistyczne, nienawidzi reżimu, jest też w dostópnym tego słowa znaczeniu kołtuńskie i reakcyjne. Ale fenomenem było zawsze, od końca XVII wieku począwszy, że lewica, która była nie tylko nielubiana, ale zawsze skłócona, w zasadzie rządziła. W Polsce międzywojennej rządził Piłsudski, a nie Dmowski"*. /1966/

Przywołam tu znowu Kisielela, który wspomina: *"Kiedyś powiedziały mi /Giedroyc/, że do Polski nigdy nie wróci, nawet gdyby była wolna, bo będzie wtedy endecką..."* Przyznajmy, to dramatyczne wyznanie, w ustach kogoś, kto poświęcił się sprawie niepodległości Polski.

Pomian kończy swój szkic cytatem z Mieroszewskiego: *"Co mamy do zaoferowania? Uczciwość intelektualną, nie zniewolone umysły, polską niezależną myśl polityczną. W okresie pokłękowego bagna to nie były towary pokupne. Lecz historia nie jest z CIA - ani z najsiłniejszymi batalionami. Historia w ostatecznym rachunku jest z tymi, którzy mają rację. Z jednym istotnym dodatkiem: historia jest po stronie tych, którzy mają rację i jej nie zaprzeczali"*. /1967/

Dodajmy tutaj jeszcze jego podobnie brzmiące słowa ze wstępu do tomu "Modele i praktyka" /1979/: *"Czy realne jest to, co jest stuzane - czy też stuzane jest tylko to, co jest możliwe? My wiemy z naszych doświadczeń, że stuzność nie stanie się nigdy realna jeżeli zwątpimy, że jest możliwa. Należy być pewnym tylko jednej rzeczy - to jest stuzności swojej sprawy /.../*

*Stuzność jest rzeczą trudniejszą niż realiam. Siłą można utrzymać od czasu do czasu krzywdę i jarzamo. Ale trwać i przetrwać można tylko w obronie stuzności. Dlatego jako pragmatyk sądzę, że ważniejszą jest rzecz, by nasza polityka była stuzana niż trwać" - bo realistami w ostatecznym rachunku są ci, którzy potrafią trwać i przetrwać"*.

Drugi z należących do wstępu esejów pt. "Swobodne głosy" napisał Wojciech Karpiński, jeden z tych, którzy "od zawsze" wiedzieli, że prawdziwa polska literatura współczesna powstaje na emigracji. Dawała mu ona oddech, świeżość stylu i słowa, w których dźwięczy schwytna Rzeczywistość. A są to właściwości dostępne tylko Swobodnym Głosom. Karpiński wspomina swoje literackie inicjacje - "książki zbójcekie", swoich mistrzów: Miłosza, Gombrowicza, Herlinga-Grudzińskiego, Wata, Czapskiego, Stempowskiego i Jeleńskiego. Dzisiaj to kanon lektur polskiego intelektualisty. Przybywają w nim nowe nazwiska. Doczekał się wreszcie odkrycia A. Bobkowskiego, doczeka się Z.Haupt i innych.

Nie streszczam tu eseju Karpińskiego, nie omawiam go szczegółowo, bowiem ta działka została najpełniej omówiona przy różnych okazjach i nie miejsce tu, by raz jeszcze

wymieniać tę emigracyjną plejadę od Berkeley po Londyn, od Gwatemali po Berno.

Karpiński w zakończeniu marzy "Lekcję polskiego w warszawskim liceum im. J. Giedroycia za lat kilkadziesiąt. Profesor Pimko - a może będzie to profesor Kafka? - podaje temat wypracowania: opis amierzchu w utworach W. Gombrowicza i G. Herlinga-Grudzińskiego". Niech się stanie!

Wątki poruszone w obu wstępnych esejach będą intelektualnie wspierać prezentację poszczególnych dzieł, w dalszej części książki. Jest ich dziewięć. Postaram się je streścić jako całość. Wspomnę tylko autorów: Krzysztof Pomian, Grażyna Pomian, Andrzej Mietkowski, Ewa i Krzysztof Rutkowsy, Jolanta Chojecka, Seweryn Blumsztajn i Wojciech Karpiński.

Jak wiadomo, początki "Kultury" nie były łatwe. Praktycznie osamotnieni w Europie, której najlepsze umysły z nadzieją spoglądały na Wschód; z drugiej strony w ciągłej wojnie z emigracyjnym "nieprzejednanym" Londynem.

Książki, jak "Na nieludzkiej ziemi" Czapskiego, nie mogły wejść na rynek. Francuski wydawca polecił usunąć wszystkie fragmenty krytykujące Stalina i te traktujące o - nikogo nie interesujących /tak powiedziano/ - Polakach. W Anglii natomiast w tajemniczych okolicznościach ginie cały nakład tej książki, a z bibliotek wykradziono wszystkie pojedyncze egzemplarze.

Przydarzały się wówczas i takie historie /z noty "Do naszych Czytelników w Szwajcarii"/: "W dniu 21 IX 1950 Federalny Urząd w Bernie wezwał naszego przedstawiciela na Szwajcarię i zakomunikował mi, że egzemplarze "Kultury" przesłane na jego adres zostały akonfiskowane na pocztę. Następnie oświadczone mi, że rozpowszechnianie naszego pisma w jakiegokolwiek formie i nawet posiadanie go w ilości przekraczającej jeden egzemplarz - o ile zajmie się tym emigrant, będzie uważane za zakazaną działalność polityczną. Czytanie natomiast i abonowanie "Kultury" jest emigrantom dozwolone". Nie, Szwajcaria nie była wtedy państwem komunistycznym.

Książkom Herlinga i Czapskiego przetarł drogę dopiero Solżenitsyn. "Inny świat" i "Na nieludzkiej ziemi" stały się wielkim sukcesem wydawniczym we Francji dopiero w 1985 roku /polskie wydania 1954 i 1949/. Zaś o europejskiej renomie "Kultury" dzisiaj najlepiej mówią nazwiska osób zebranych w komitecie honorowym: Levinas i Ricoeur, Le Goff i Le Roy Ladurie, Besançon i Thibaud, Montand i Ionesco, Gallimard i Laffont etc., etc.

Dlaczego "Kultura" wydała "Główne nurty marksizmu" - wyjaśnić nie trzeba; nacjonalizm to temat podejmowany co najmniej z dwóch powodów: z przekonania, że przesilenie na Wschodzie nadzieje za przyczyną narodowych, odrędkowych ruchów w Sowietach, po drugie - w związku z owym endeckim syndromem, który podcina skrzydła polskiej myśli politycznej; co do Kościoła - myliłby się ten, kto by sądził, że Kościół interesuje "Kulturę" wyłącznie jako instytucja mogąca odgrywać w PRL jakąś znaczącą polityczną rolę. O tym, że zainteresowanie jest głębsze, świadczy fakt drukowania prac Hansa Künga, zresztą o wiele wcześniej niż zyskał popularność na Zachodzie. W sporach zajmowała więc "Kultura" stanowisko antykomunistyczne, antyizolacjonistyczne i liberalne.

Wróćmy jeszcze w okolice nacjonalizmu. Przedwojenna "Polityka", również z racji kresowych rodowodów swoich redaktorów, pasjami zajmowała się kwestią ułożenia stosunków z wschodnimi sąsiadami. Również "Kultura" wzięła się za te, rozpalałając głowy, problemy, deklarując od razu swoje stanowisko. Wilno dla Litwy, Lwów dla Ukrainy. Jak łatwo rozpoznać "upiory przeszłości" w emigracyjnym i krajowym grajdołku?

Wysilków "Kultura" szedł tu w stronę ułożenia stosunków z przysięzonymi sąsiadami w Europie Środkowej wolnej od sowieckiej dominacji. Jaki był kontekst tych wysilków, niech świadczy cytat z artykułu podpisanego Redakcją: "Jest nonsensem i złą wolą każdemu, kto usiłuje wyprostować tragiczny splot stosunków ukraińsko-polskich zarzucając sprzedawczykostwo i handlowanie ziemiemi Rzplitej. /.../ Ma emigracji jest naszym obowiązkiem przedyskutować w przyjaznej atmosferze całość tych spraw w nadziei wypracowania koncepcji, która postuluje może w przyszłości za podstawę rozmów poleko-ukraińskich". Pragmatycznie uzasadniał to Mieroszewski: "O tym czy będziemy, czy nie będziemy równorzędnymi partnerami Rosji - zdecydować nie Rosjanie tylko Ukraińcy, Litwini, Białorusini, Białosini, jeżeli w korzystnej koniunkturze sdołamy praeconad te narody, że Polska ma coś więcej do zaofercowania niż Moskwa, że nasza polityka nie ma

*nie wspólnego z imperializmem/.../ Rozpatrywana w tej płaszczyźnie rezygnacja ze Lwo-  
wa jest fragmentem naszej polityki nie w stosunku do Ukraińców, lecz do Rosji..."*  
Sens tych dążeń "Kultury" rozumieją doskonale wszyscy, którzy żyją tu, na Wschodzie,  
wśród najbardziej zantagonizowanych narodów współczesnej Europy, Ksenofobia i bezin-  
teresowna pogarda dla sąsiadów - im bliższych, tym gorszych - tak wygląda praktyka  
komunistycznego internacjonalizmu.

\*

Powyższe omówienie, z konieczności fragmentaryczne, bo i fragmentaryczny z założenia był słowny materiał zamieszczony w książce, nie oddaje tego, co czyni jej największą wartość: aury, która jest w zdjęciach przeróżnych Pięknych Polaków, ludzi polityki, ludzi pióra, czasem po prostu ludzi-przyjaciół; stylu amatorskiej, ułomnej fotografii, w której nieświadoma ręka utrwaliła strzęp epopei. Ta epopea wciąż nie znalazła godnego siebie pióra. Mamy zatem okazjonalne referaty i wspomnieniowe artykuły. Najpopularniejszy z nich, najszerzej dostępny w kraju jako źródło wiedzy o "Kulturze" - referat Krzysztofa Dybciaka wygłoszony w IRL-u na sesji "Literatura źle obecna" w 1981 roku - został w omawianej książce po raz kolejny /po Marii Danielewicz-Zielińskiej/ skrytykowany za niekompetencję i - tym razem - za nieobiektywizm. Sam, pisząc to omówienie "Kultury" i jej kręgu, starałem się nie powtarzać tropów Dybciaka, jednak nie dlatego bym się zgodził z postawionymi mu zarzutami, lecz dla ekonomii sumujących się słów.

Skonstatujemy więc tylko na koniec, że monograficzna praca poświęcona działalności "Kultury" jest potrzebą chwili i nie wypada czekać na czas, gdy ten rozdział historii Drugiej Wielkiej Emigracji zamknie się nieodwołalnie.

PIOTR MUCHARSKI

## List Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Czechów i Słowaków w Polsce do kardynała Franciszka Macharskiego

Jego Eminencja ks. kardynał Franciszek Macharski  
Metropolita Krakowski

Orędzie Jego Świątobliwości papieża Jana Pawła II "Poszanowanie mniejszości w warunkach pokoju" zostało bardzo pozytywnie przyjęte przez słowackie środowiska narodowościowe na terenie Diecezji Krakowskiej. Wywołało zrozumiałe zainteresowanie wśród mieszkańców Spisza i Orawy narodowości słowackiej.

Stało się jednak, iż Orędzie to nie zostało odczytane w kościołach na tym terenie, co tym bardziej wzmożło zainteresowanie jego, jakżeż ważnymi dla tego środowiska, treściami.

Pragniemy dlatego poinformować Jego Eminencję o sytuacji, jaka zaistniała w parafii Trybsz 29 stycznia 1989 roku.

Proboszcz tej parafii ks. Jan Michałek podczas kazania na mszy św. o godzinie 11.00 po przeczytaniu odpowiedzi udzielonej przez kanclerza Kurii Krakowskiej ks. Jana Dyducha naszemu członkowi Józefowi Matoniakowi /która ksiądz proboszcz otrzymał do wiadomości/ w sprawie Orędzia papieża Jana Pawła II na XXII Światowy Dzień Pokoju "Poszanowanie mniejszości w warunkach pokoju" stwierdził, że tamtejsi Słowacy "są opłacani przez Skupinę Czechów i Słowaków w Krakowie, w związku z czym muszą podejmować jakies działania, muszą rozrabiać w Kościele". Ponadto twierdził, że Słowacy żyjący w Trybszu nie są mniejszością narodową, w związku z czym orędzie papieskie ich nie dotyczy.

W związku powyższym oraz z uwagi na fakt, iż nie jest to przypadek odosobniony w historii Słowaków na Spiszu i Orawie, pragniemy poinformować Jego Eminencję, że negatywny stosunek księży narodowości polskiej do spraw mieszkańców narodowości słowackiej, jaki na przestrzeni lat zaobserwaliśmy, wzbudza nasz głęboki niepokój.

Wielu członków poinformowało nas o fakcie cenzurowania lub wręcz nieczytania orędzia w sprawach jakżeż ważnych dla każdej mniejszości narodowej. Podobno nie było w tej sprawie jasnego zalecenia, jednak pozwolimy sobie zauważyć, iż istotnie - zgodnie z Orędziem - moralnym obowiązkiem wszystkich instytucji państwowych i innych /w tym również Kościoła/ jest akceptowanie różnorodności i praw mniejszości, które winny mieć zagwarantowane swobodę kultu religijnego w ich języku narodowym.

Pomimo iż działalność naszego Towarzystwa dotyczy przede wszystkim spraw świeckich, to jednak przytaczająca większość członków jest wierząca i ma prawo domagać się respektowania swoich praw również w Kościele, o czym najdobitniej świadczy Orędzie papieża Jana Pawła II.

Prosimy zatem Jego Eminencję o interwencję w sprawie publicznego przeproszenia naszych członków mieszkających w Trybszu oraz sprostowanie nieprawdziwych stwierdzeń. Uważamy również, iż osoba głosząca tego typu poglądy nie powinna prowadzić pracy duszpasterskiej w środowisku mniejszościowym.

Głównym celem naszego Towarzystwa jest pielęgnowanie słowackich tradycji narodowych i troska o rozwój kultury słowackiej wśród tych mieszkańców Spisza i Orawy, którzy świadomie deklarują swą słowacką narodowość. Uważamy, że winno to być szanowane również przez przedstawicieli Kościoła.

Z wyrazami szacunku

Urzędujący Członek Zarządu

# Jak łatwo zostać ubekiem

Słyszałem od znajomych opowieści o próbach zwerbowania ich do SB. O naiwnych i przebiegłych pułapkach, o szantażu i graniu na miłości własnej /"właśnie takich inteligentnych i samodzielnie myślących ludzi nam trzeba"/. O przemaganii własnego strachu, odrzucaniu pokus materialnych, o radości płynącej z wygranej.

Słyszałem też o takich, którzy ulegli. Teraz mają mieszkania, samochody, niezłe pensje, ale za to są w kompletnej izolacji społecznej i ich znajomi to wyłącznie koledzy z pracy i zawodów pokrewnych.

Mnie los pozbawił wszystkich tych atrakcji. Zostałem ubekiem nagle i właściwie bez mojego udziału, chociaż jeżeli się dobrze zastanowić, to okaże się, że pracowałem na to już od dawna.

Wszystko zaczęło się od tego, że postanowiłem napisać reportaż o pobiciu przez "nieznanych sprawców" dwojga pracowników naukowych UW. Zarówno czytelnicy, jak i dziennikarze są od dawna znudzeni szeptowymi informacjami o represjonowaniu przez policję działaczy opozycyjnych i właściwie nikt - poza bezpośrednio zainteresowanymi - nie zwraca uwagi na kolejne BRUTALNE /to słowo już nie nie znaczy, bo używa się go do opisanego zarówno ciężkiego pobicia, jak i banalnej przepychanki/ akcje MO i SB.

Odwiedziłem poszkodowanych, aby zebrać materiał do reportażu. Spotkałem się z podwójną niechęcią. Pierwsza płynęła z naturalnej obrony przed wdzieraniem się w życie prywatne /dziennikarz jest blisko spokrewniony z inienaj...: im większe nieszczęście, tym większa szansa na dobry tekst/, druga wzięła się stąd, że przed laty studiowałem z pobitą pracownicą UW i serdecznie się wtedy nienawidziliśmy.

Ta podwójna niechęć sprawiła, że nie osiągnąłem zbyt wiele. Orszem, umówiliśmy się na wywiad, ale w rozmowach wstępnych w użyciu był głównie tryb warunkowy.

Pobita dziewczyna kurowała się u swojej koleżanki. W kilka godzin po naszej rozmowie koleżanka wyszła z psem na spacer i została ciężko pobita przez "nieznanego sprawcę". I tu zaczyna się właściwa opowieść. Dwojka pobitych w pierwszej kolejności, po konsultacjach ze znajomymi, doszła do wniosku, że jestem ubekiem i zaczęła rozgłaszać tę radosną nowinę. Po pewnym czasie odszukał mnie jeden z tych znajomych i przeprowadził coś w rodzaju przesłuchania. Na wstępie uprzedził, że rozmowa będzie dla mnie nieprzyjemna, następnie przygwoździł mnie pytaniami: Skąd wiedziałem, w kogo leży pobita nr 1? Dlaczego się tym interesowałem? Dlaczego od razu poszłem do mieszkania, zamiast kontaktować się przez łączników?

Moje odpowiedzi /wiedziałem od osoby powszechnie szanowanej, interesowałem się tym, bo jestem dziennikarzem, z pośrednictwa łączników nie korzystałem z głębokiej niewiedzy, że mam do czynienia z tak tajną organizacją/. trochę rozładowały napięcie, ale nie przeszkodziło to przesłuchującemu powiedzieć do wspólnej znajomej, że jestem "jakis taki mętny".

Dla dziennikarza opozycyjnego posiadanie o współpracy z SB może grozić śmiercią cywilną, dlatego mój szef wpadł w panikę i zażądał ode mnie ostrego przeciwdziałania.

Łatwo powiedzieć, Jak udowodnić, że nie jestem ubekiem? Iść na Mógilską po zaświadczenie, że u nich nie pracuję? Zażądać publicznego odszczekania pomówień? Ale co zrobić, jeżeli oszczercy nie odszczekają? Z facetami można, by przynajmniej wdać się w biatykę, ale co zrobić z dziewczyną?



Starzę to na tym, że nie zrobiłem nic, poza rozmowami z tymi, którzy nie uważają mnie za ubeka. Przy okazji odkryłem, że niektórzy z nich też byli w swoim czasie posądzeni przez innych o współpracę z SB. Na przykład znany opozycyjny adwokat wiele lat temu został pobity przez policję. Niektórzy koledzy ze studiów niedokładnie uszyśleli o tym incydencie i na wszelki wypadek zaczęli uważać go za ubeka.

Ale czy fakt, że nie mnie jednego to spotkało, jest wystarczającą pociechą? Ubeków rzeczywistych pocieszają dobra materialne i atrybuty władzy. Postanowiłem iść tą drogą: założę stowarzyszenie ludzi posądzanych o współpracę z SB i zostanę prezesem tego stowarzyszenia. Jak się nas uzbiera wielu, to być może dorobię się biurka z telefonem i służbowego samochodu z kierowcą.

Czekam na zgłoszenia.

KONRAD STRUGA

## OD REDAKCJI

### PODZIĘKOWANIE

W "Bez Dekretu" staraliśmy się od 1984 roku zapelnąć lukę spowodowaną na rynku czytelnictwem państwowym monopolom wydawniczym i cenzurą. Opór społeczeństwa przeciwko polityce stanu wojennego, w tym wpływ wywierany przez drugi obieg wydawniczy na oficjalną prasę, doprowadził do nowej sytuacji. Jest ona wyznaczona z jednej strony przez relegalizację "Solidarności", a z drugiej przez liberalizację polityki kulturalnej państwa, w tym m.in. liberalizację cenzury.

Kończąc wydawanie "Bez Dekretu" dziękujemy wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób pomagali nam w ciągu tych 5 lat: drukarzom, kolporterom, autorom tekstów. Szczególne podziękowanie kierujemy pod adresem pani Ireny Lasoty z Paryża za wydatną pomoc finansową.

Żegnając się z Czytelnikami pragniemy ich zapewnić, że osoby związane z "Bez Dekretu" nie wstrzymują swej aktywności na polu wydawniczym i dziennikarskim. Będą to odtąd robić w inny sposób. A jeśli wolność słowa z powrotem zostanie ograniczona, trzeba będzie wrócić do podziemia.

REDAKCJA

1000